

# Coulter Catherine

Zatoka cykuty

Książka VI z FBI



calibre 0.9.43

ZATOKA CYKUTY

1

*W pobliżu Plum River, Maryland*

Był koniec października. Dzień był chłodny. Wiatr ogałacał drzewa z ostatnich kolorowych liści. Ostre promienie słońca oświetlały wyblakłą farbę na niegdyś czerwonej stodole, której nie odnawiano od czterdziestu lat. Stodoła straciła cały swój urok. Agent specjalny FBI, Dillon Savich, z SIG Sauerem w wyciągniętej do przodu ręce, przesuwał się bezszelestnie pod ścianą stodoły. Poruszał się tak cicho, że nie spłoszyłby nawet myszy. Trzech agentów w kuloodpornych kamizelkach - jednym z nich była jego żona - szło za nim, osłaniając go, gotowych do natychmiastowej akcji. Kilkunastu innych przesuwało się ostrożnie po drugiej stronie stodoły, czekając na sygnał Savicha. Szeryf Dade z hrabstwa Jedbrough i trzech jego ludzie zajęli stanowisko w kępie klonów, w odległości około dziesięciu metrów od stodoły. Jeden z nich, strzelec wyborowy, trzymał broń w pogotowiu.

Do tej pory wszystko przebiegało gładko. Savich miał nadzieję, że ta operacja odbędzie się zgodnie z planem, chociaż równie dobrze mogła wymknąć się spod kontroli. No cóż, i tak nie miał wyboru.

Był niezadowolony, że stodoła jest taka duża - ogromna przestrzeń na górze do składowania siana i mnóstwo ciemnych zakamarków, w których ktoś mógł urządzić zasadzkę. Po prostu zbyt wiele miejsc, z których można zostać obsypanym gradem kul.

Tommy i Timmy Tuttle, których media nazwały „Demonami Zła”, mieliby tu doskonałą kryjówkę. Grasowali po całym kraju, dopóki, jak przypuszczano, nie zaszyli się gdzieś w Maryland wraz z dwoma nastoletnimi chłopcami.

Chłopcy zostali porwani w Stewartville, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd, z boiska, gdzie po lekcjach grali w koszykówkę. Savich czuł, chociaż nie miał na to żadnego racjonalnego uzasadnienia, że oni jednak są w Maryland. Specjaliści od portretów psychologicznych nie mieli tu wiele do powiedzenia poza tym, że Maryland leży na wybrzeżu Atlantyku, więc tamci nie mogli już posunąć się o wiele dalej na wschód.

Laptop Savicha, MAX, odszukał w księgach hipotecznych stanu Maryland, że cioteczna siostra braci Tuttle, Marilyn Warluski, która, co również odkrył MAX, w wieku siedemnastu lat miała dziecko z Tommym Tuttle, jest właścicielką wąskiego paska lądu w pobliżu krętej rzeki Plum, obok dość dużego klonowego lasu. Na tym skrawku stoi, nieużywana od lat, stodoła. Wiadomość ta zelektryzowała Savicha.

Po czterech godzinach byli już na miejscu. Nie widać było samochodu, ale Savich się tym nie martwił. Stara honda stała pewnie w stodole. Nadśluchiwał, powstrzymując oddech. Wszędzie panowała cisza.

Savich obawiał się, że nie zastaną tu już braci Tuttle. Znajdą tylko ich ofiary: nastoletnich chłopców - Donny'ego i Roba Arthurów, już nieżywych i potwornie okaleczonych, znajdą ich ciała w środku obwiedzonego czarną linią kręgu.

Savich nie chciał czuć zapachu krwi. Nie chciał oglądać nowych zwłok. Nie dzisiaj. I nigdy więcej.

Spojrzał na zegarek. Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy ci zbrodniarze są w stodole.

Nadszedł czas, żeby zacząć nadstawiać karku. Nadszedł czas działania.

MAX odkrył, że w skomputeryzowanym archiwum hrabstwa istnieje narysowany przed pięćdziesięciu laty prymitywny plan wnętrza stodoły i leży gdzieś, odłożony do akt. Ale gdzie go trzymano? Znaleźli wreszcie ten rysunek w starej szafie z segregatorami w piwnicy Biura Planowania Przestrzennego. Okazał się wystarczająco przejrzysty. Po zachodniej

stronie stodoły były niskie, wąskie drzwi. Savich znalazł je ukryte za pozbawionym już liści krzakiem. Były z lekka uchylone i na tyle szerokie, żeby mógł się przez nie wślizgnąć do środka.

Obejrzał się, pomachał swoim SIG Sauerem w kierunku trzech agentów, którzy wyglądali zza rogu. To był sygnał, że mają pozostać na miejscu. Sam położył się na brzuchu. Popychał wąskie drzwi powoli po kilka centymetrów. Wszędzie było potwornie brudno, widział dużo zdechłych szczurów. Posuwał się na łokciach, trzymając SIG Sauera w pogotowiu.

W stodole panował półmrok. Kurz wirował w promieniach światła, wpadających przez górne okna, niektóre z nich pozbawione były szyb. Leżał przez chwilę nieruchomo, żeby przyzwycząić oczy do mroku. Zobaczył skamieniałe ze starości bele siana, zardzewiałe części maszyn i dwa drewniane koryta.

W odległym kącie stodoły były jeszcze inne drzwi, odległe o kilka metrów od szerokich wrót. Składzik uprząży, pomyślał, którego nie zaznaczono na rysunku. Zauważył też zarysy, uprząży, co do tego nie miał wątpliwości. A Donny i Rob Arthur? Proszę cię, Boże, pozwól im żyć.

Przed wezwaniem pozostałych agentów musiał mieć dokładne rozeznanie sytuacji.

Wszędzie panowała cisza. Podniósł się na nogi, pochylił się i bezszelestnie podbiegł do składziku, trzymając broń w pogotowiu. Przyłożył ucho do drzwi.

Usłyszał wyraźnie męski głos, w którym brzmiała złość.

- Słuchajcie, małolaty, czas wejść do kręgu. Ghule już na was czekają, kazały mi się pospieszyć. Miałyby ochotę pokrajać was nożami i siekierami, bo bardzo lubią to robić, jednak tym razem chcą was wsadzić do swoich toreb podróżnych i odlecieć. Kto wie, może dostaniecie się na Tahiti. Nigdy przedtem nie miały takich pomysłów, ale nam to nie robi

żadnej różnicy. Ghule już nadchodzą!

Rozległ się głośny śmiech, który zmroził Savicha do szpiku kości. To był śmiech szaleńca.

Po chwili odezwał się inny męski głos, znacznie niższy.

- Jesteśmy już prawie gotowi na przybycie Ghuli. Nie chcemy ich zawieść, prawda?

Ruszajcie się, małolaty.

Zbliżali się do drzwi. Savich słyszał płacz śmiertelnie przerażonych chłopców i przekleństwa braci Tuttle. Dopiero teraz zauważył ogromny, zaznaczony czarną farbą krąg na drewnianych deskach stodoły.

Godzina zero. Nie było czasu na wezwanie posiłków.

Savich ledwie się zdążył ukryć za belą zgniłego siana, kiedy jeden z braci otworzył drzwi składziku upręży, popychając przed sobą drobnego, bladego chłopca. To był Donny Arthur. Był niewątpliwie bity, głodzony i potwornie przerażony. Po chwili ze składziku został wypchnięty drugi wystraszony chłopak - zaledwie czternastoletni Rob Arthur. Savich jeszcze nigdy w życiu nie widział tak potwornego przerażenia na twarzach dzieci.

Gdyby teraz zagroził braciom bronią mogliby użyć chłopców jako tarczy. Lepiej było zaczekać. Co miały znaczyć te niedorzeczne wzmianki o jakichś ghulach? Patrzył, jak dwaj mężczyźni popychają chłopców do przodu i wrzucają ich silnym ciosem do środka kręgu.

- Jak się któryś poruszy, to wyjmę nóż i przygwożdżę mu rękę do desek. Tammy robi to drugiemu. Ona jest w tym dobra. Rozumiecie, małolaty?

Tammy? Ona? Przecież to byli dwaj bracia - Tommy i Timmy Tuttle, wystarczająca liczba powtarzających się głosek, żeby się nie pomylić. Na pewno się przesłyszał. Patrzył na dwóch młodych mężczyzn - obaj byli wysocy i szczupli, ubrani na czarno, nosili czarne, sznurowane aż do kolan buty; mieli noże i strzelby.

Chłopcy klęczeli w środku kręgu, przytuleni do siebie, i głośno płakali. Mieli zakrwawione twarze, ale mogli się poruszać, a więc nie połamano im kości.

- Gdzie są ghule? - rozległ się głos Tammy Tuttle. Savich wiedział iż, że się nie przesłyszał. To nie byli bracia Tuttle, to był brat i siostra.

Co to za ghule, Które mają przyjść i zamordować chłopców?

- Ghule! - krzyczała Tammy, odrzuciwszy głowę do tyłu, a jej głos odbijał się echem od ścian stodoły. - Gdzie jesteście? Mamy dla was dwa przysmaki, takie jakie lubicie - dwóch słodkich chłopców. Weźcie noże i siekiery! Ghule, przybywajcie!

Zawodziła coraz głośniej, powtarzając to trzy razy. Za każdym razem jej głos miał coraz bardziej złowieszcze brzmienie, a te absurdalne słowa niosły przerażającą treść.

Tammy Tuttle kopnęła chłopca, który chciał wypełznąć z kręgu. Savich widział, że musi działać. Gdzie są te ghule?

Usłyszał jakiś dźwięk, całkowicie różny od ludzkiego głosu, jakby głośny, jękliwy syk, dźwięk, który nie pochodził z tego świata. Poczul na rękach gęsią skórę. Przejęło go nagłe uczucie zimna. Już miał wyskoczyć z kryjówki, kiedy otworzyły się wrota stodoły, oślepiające światło zalało jej wnętrze, a w jego blasku zobaczył jakby lejkowate słupy piasku, poruszające się z ogromną prędkością, jak trąba powietrzna. Kiedy światło przygasło, te słupy piasku przybrały formę wirujących białych stożków, obracających się wokół własnej osi, podnoszących się do góry i opadających w dół, łączących się ze sobą i znowu się rozdzielających. Nie, to tylko słupy powietrza, jeszcze białe, bo nie zdążyły zassać kurzu. Ale co to był za dźwięk? Coś dziwnego, czego nie potrafił zidentyfikować. Śmiech? Nie, to jakieś szaleństwo, a jednak on to słyszał.

Chłopcy zobaczyli wirujące nad ich głowami słupy powietrza i zaczęli krzyczeć ze strachu. Rob podskoczył, chwycił swojego starszego brata i wyciągnął go z kręgu.

Tammy Tuttie miała wzrok skierowany ku górze, ale obróciła się zaraz i podniosła nóż do góry.

- Wracajcie tam, małolaty! - wrzasnęła. - Nie wolno wam rozgniewać ghuli. Wracajcie natychmiast do kręgu! WRACAJCIE!

Chłopcy odpełzli jeszcze dalej. Tommy Tuttie rzucił się na nich i zaczął popychać ich do środka. Tammy Tuttie właśnie miała ugodzić nożem Donny'ego Arthura, kiedy Savich wyskoczył zza beli siana i strzelił do niej. Kula trafiła ją w ramię. Upadła; nóż wyleciał jej z ręki.

Tommy Tuttie obrócił się szybko, mierząc ze strzelby nie do Savicha, tylko do chłopców. Savich wpackował mu kulę w środek czoła.

Tammy Tuttie jęczała na podłodze, trzymając się za ramię. Chłopcy stali przytulani do siebie i razem z Savichem patrzyli na wirujące białe stonki.

- Co to jest? - szepnął jeden z chłopców.

- Nie wiem, Rob, - Savich przyciągnął ich do siebie. - Jakaś przedziwna wirowa burza tropikalna, nic więcej.

Tammy usiłowała się podnieść, miotając przekleństwa, ale znowu upadła. Rozległ się głośny świst i jeden ze stożków podskoczył w ich kierunku. Savich nie zastanawiał się, tylko przestrzelił go na wylot. To przypominało posyłanie kul we mgłę. Stożek podskoczył w górę, potem dołączył do swojego towarzysza. Zaczęły wirować jak szalone, a po chwili już ich nie było. Po prostu zniknęły.

- Już wszystko dobrze. Donny, Rob - Savich przyciągnął chłopców jeszcze bliżej do siebie. - Jestem z was dumny, wasi rodzice też będą dumni. To naturalne, że jesteście przerażeni. Ja też się bałem. Ale teraz jesteście już bezpieczni.

Chłopcy tak mocno przytulili się do niego, że czuł, jak łomoczą im serca. Łkali

spazmatycznie, ale wiedzieli już, że są ocaleni.

- Wszystko w porządku - uspokajał ich Savich. - Niedługo będziecie w domu. Rob, Donny, wszystko jest OK.

Oślaniał ich przed Tammy Tuttle, która już nie jęczała. Nie obchodziło go, w jakim ona jest stanie.

- Ghule - powtarzał w kółko jeden z chłopców załamującym się głosem. - Opowiadali nam, co ghule zrobiły z innymi chłopcami - zjadały ich w całości, a jak nie były głodne, to rozszarpały ich na kawałki, i ogryzały kości.

- Tak, wiem - powiedział Savich.

Nie pojmował tego wszystkiego, a przecież widział słupy i stożki powietrza na własne oczy. To były na pewno zwykłe wiry powietrza, nic więcej. Nie było tam żadnych siekier ani noży. A może przekształcały się w jakiś sposób w coś bardziej materialnego? No nie, to przecież czyste szaleństwo. Czuł, że coś mu się zastopowało w głowie. Chyba poczucie rzeczywistości. Rozsądek domagał się odrzucenia tego, co widział, unicestwienia ghuli, sprawienia, by nigdy nie istniały. To na pewno było jakieś łatwo wytłumaczalne, naturalne zjawisko, a może iluzja, która powstała w umysłach dwójki psychopatów. Jednak cokolwiek to było, to, co rodzeństwo Tuttle nazywało ghulami, on je widział, strzelał do nich, a ich obraz na zawsze wrył mu się w pamięć. A może jednak to były zwykłe wiry powietrzne, które odebrały mu jasność widzenia? Może tak było.

Stał nieruchomo, przytulając do siebie chłopców i starając się ich uspokoić. W środku było już pełno agentów oraz szeryf ze swoimi ludźmi. Jeden z agentów pochylił się nad Tammy Tuttle. Inni przeszukiwali stodołę i składzik uprzęży, cal po calu.

Wszyscy byli radośnie podnieceni. Odbili chłopców i pokonali dwójkę psychopatów.

Tammy Tuttle odzyskała przytomność i trzymając się za ramię, wrzeszczała na całe



gardło. Przeklinała Savicha, krzyczała, że dopadną go ghule, że ona tego dopilnuje, że zginie razem z tymi małolatami. Przerażeni chłopcy trzymali się go kurczowo. Wreszcie jeden z agentów uderzył ją pięścią w szczękę.

- Uśmierzyłem jej ból - uśmiechnął się szeroko. - Nie mogłem patrzeć na cierpienia takiej wytwornej, delikatnej damy.

- Dziękuję ci - Savich zwrócił się do chłopców: - Przysięgam wam, że ona już nikomu nie zrobi krzywdy. Przysięgam wam.

Podeszła do nich Sherlock i bez słowa wzięła Roba i Donny'ego w ramiona.

Weszli sanitariusze z noszami. Prowadził ich Duży Bob o byczym karku. Powstrzymał ich gestem.

- Zaczekajcie chwilę - powiedział, patrząc na dwoje agentów, którzy obejmowali chłopców, starając się dodać im otuchy. - Wydaje mi się, że te dzieciaki dostają teraz najlepsze lekarstwo. Zajmijcie się kobietą. Facet nie żyje.

Po trzech godzinach w stodole nie było już nikogo. Zabrano również wszystkie dowody rzeczowe, jak pudełka po pizzy, łańcuchy i kajdanki, kilkadziesiąt papierków po batonikach. Chłopców zawieziono natychmiast do biura szeryfa w Stewartville, gdzie czekali na nich rodzice. Mieli danie. Postanowiono, że FBI przesłucha ich dopiero za kilka dni.

Wszyscy agenci wrócili do centrali i wjechali na piąte piętro, do Biura Dochodzeń Karnych, żeby napisać raporty.

Klepali się po plecach, uradowani. Zwyciężyli. Nie było fałszywych tropów, wszystko poszło gładko. Zdążyli uratować chłopców. Mówili tylko o tym, jak Savich załatwił tamtą dwójkę.

Savich zwołał wszystkich, którzy brali udział w akcji.

- Słuchajcie, czy wtedy gdy otworzyły się wrota stodoły, ktoś z was zobaczył coś

dziwnego?

Nikt niczego nie zauważył.

- A czy ktoś widział, żeby coś wydostawało się ze stodoły, cokolwiek to było?

Przy stole konferencyjnym panowało milczenie.

- Niczego nie widzieliśmy, Dillon - odezwała się Sherlock. - Wrota stodoły otworzyły się do środka, w powietrzu wisiał gęsty pył, i to wszystko. - Popatrzyła na innych agentów.

Pokręcili głowami. - Nie widzieliśmy też, żeby coś wychodziło ze stodoły.

- Rodzeństwo Tuttle nazywało ich ghulami - powiedział wolno Savich. - Były tak wyraźne, że do jednego z nich strzeliłem. Potem zniknęły. Staram się patrzeć na tę sprawę obiektywnie. Zrozumcie, nie spodziewałem się zobaczyć niczego niezwykłego, a jednak coś widziałem. Chciałbym wierzyć, że to był tylko wir powietrza, który rozpadł się na dwie części. Nie wiem, co o tym myśleć. Może ktoś z was znajdzie jakieś wytłumaczenie.

Zadawano mu wiele pytań, padały różne domysły, po czym wszyscy zamilkli.

- Chłopcy ich widzieli - powiedział Savich do Jimmy'ego Maitlanda. - Wszystkim o nich opowiadają. Mogę się założyć, że Rob i Donny nie nazwą tego naturalnym zjawiskiem ani wirem powietrznym.

- Nikt im nie uwierzy - odparł Jimmy. - Musimy te ghule trzymać w tajemnicy. FBI ma wystarczająco dużo problemów bez rozgłaszania, że widzieliśmy jakieś zawieszony w powietrzu stożki, które towarzyszyły dwójce psychopatów. O ile pamiętam, ghul to zły duch, demon, który pożera ludzi.

Przygotowując swój raport dla Jimmy'ego Maitlanda, Savich zdał sobie nagle sprawę, że pisze „Ghule” dużą literą, jakby miały własną, niezależną egzystencję.

Pół godziny później Sherlock poszła za Savichem do męskiej toalety. Kiedy tam wchodzili, Ollie Hamish, agent najwyższy po Savichu w hierarchii służbowej, właśnie mył

ręce.

- Cześć - powiedział. - Gratulacje, Savich. Wspaniała robota. Żałuję, że nie mogłem tam z tobą być.

- Lubię patrzeć, jak mężczyzna myje ręce. - Sherlock szturchnęła go w ramię. - Za parę minut ja też będę myła ręce, ale najpierw muszę wbić trochę rozsądku do głowy mojego męża, tego bezmyślnego stwora. Idź sobie, Ollie. Wiem, że będziesz go bronił, a ja nie chciałabym zrobić krzywdy także i tobie.

- Sherlock, przecież on jest bohaterem. Chcesz zrobić krzywdę bohaterowi, który uratował tych małych chłopców przed demonami zła i przed ghulami?

- Po tym, co ci już o nich powiedziałem, czy myślisz o ghulach przez duże G? - zapytał Savich.

- Aha, mówiłeś, że były tam dwa. Savich, jesteś pewien, że czegoś nie paliłeś? A może nawdychałeś się zapachu stęchłego siana?

- Chciałbym móc przyznać ci rację.

- Wynoś się, Ollie.

Kiedy zostali sami, Sherlock podeszła do męża i otoczyła go ramieniem.

- Byliśmy już w bardzo niebezpiecznych sytuacjach. - Przytuliła się do niego i pocałowała go w szyję. - Jednak dzisiaj, w tej przeklętej stodole, igrałeś ze śmiercią, a ja byłam zmartwiła z przerażeniem. Twoi przyjaciele zresztą też.

- Nie było czasu, żeby was wezwać - powiedział. - Jezu, a jak ja się bałem, ale nie miałem wyboru. A na dodatek te zjawy. Nie potrafię powiedzieć, co mnie bardziej przeraziło

- Tammy Tuttle czy to coś, co ona nazywała ghulami.

- Nie rozumiem tego. - Sherlock odsunęła się nieco. - Tak to wyraziście opisałeś, że prawie widziałam, jak wirują we wrotach stodoły. Ale dlaczego ghule?

- Tak je nazywało rodzeństwo Tuttle. Byli jak gdyby ich pomocnikami. Chciałbym móc przyznać, że doznałem jakichś halucynacji, że tylko ja się tego przestraszyłem, ale chłopcy również to widzieli. Wiem, że to dziwnie brzmi, szczególnie że nikt z was niczego nie zauważył.

Trzymała go w ramionach, a on opisywał jej dokładnie to, co widział.

- Wiesz, Sherlock, nie sądzę, żebyś to jakoś wytłumaczył - powiedział wreszcie. - Ale to było naprawdę przerażające.

Do toalety wszedł Jimmy Maitland.

- Hej, gdzie mam się wysikać?

- Och, sir. Ja tylko chciałam sprawdzić, czy z Dillonem jest wszystko OK.

- I co?

- W porządku.

- Kiedy szedłem do biura, Ollie zatrzymał mnie w holu i powiedział, że jesteś w niebezpiecznej sytuacji w męskiej toalecie. Mamy teraz wszystkie media na karku. - Jimmy Maitland uśmiechnął się szeroko. - Wiecie co? Tym razem nikt nie będzie się mógł do nas przyczepić. Mamy tylko dobre wiadomości, dzięki Bogu. Wspaniałe wiadomości. Savich, ty byłeś w samym środku akcji, więc chcemy cię wysunąć na pierwszy plan. Oczywiście, będzie tam Louis Freeh i weźmie na siebie całe gadanie. Musisz tylko stać i wyglądać jak bohater.

- Żadnej wzmianki o tym, co widzieliśmy?

- Nie, ani słowa o ghulach, żadnych domysłów na temat wirującego kurzu. Media nie dałyby nam spokoju, gdybyśmy powiedzieli, że zaatakowały nas jakieś dziwne stożki kurzu, wezwane do stodoły przez dwójkę psychopatów. A jeśli chodzi o chłopców, to mogą sobie mówić, co im się podoba. Gdy media będą nas o to pytać, to będziemy tylko kręcić głowami i robić współczujące miny. To będzie sensacja na dwadzieścia cztery godziny i na tym koniec.

A ludzie z FBI będą bohaterami. To naprawdę miłe.

- Ale tam było coś naprawdę dziwnego, sir - powiedział Savich. - Coś takiego, że włos się jeżył na głowie.

- Zapomnij o tym, Savich. Mamy braci Tuttle, a dokładnie jednego nieżywego brata i jedną siostrę, której właśnie amputowano rękę. Nie będziemy się wdawać w żadne nadprzyrodzone historie - powiedział, wychodząc z toalety.

Sherlock i Savich poszli za swoim szefem.

Chłopcy przysięgali, że widzieli ghule, nie potrafili mówić o niczym innym.

Opowiadali, jak agent Savich przestrzelił jednego na wylot i w ten sposób zmusił je do opuszczenia stodoły. Ale chłopcy byli roztrzęsieni, a ich opowieść wydawała się tak mało przekonująca, że nikt im nie wierzył, nawet rodzice.

Jeden z reporterów spytał Savicha, czy widział jakieś ghule.

- Przepraszam, o co pan pytał? - zdziwił się Savich. Jimmy Maitland miał rację. Na tym się skończyło.

Tego wieczoru Savich i Sherlock tak długo bawili się ze swoim synkiem Seanem, że mały usnął w trakcie zabawy. O drugiej w nocy zadzwonił telefon.

- Przyjedziemy najszybciej, jak zdołamy - powiedział Savich.

Powoli odłożył słuchawkę i spojrzał na podpartą na łokciu żonę.

- Moj a siostra Lily jest w szpitalu. To poważna sprawa.

**2**

*Hemlock Boy, Kalifornia*

Promienie słońca wpadały przez wąskie okna. Dziwne... przecież okna w jej sypialni były o wiele szersze i na pewno nie takie brudne. Nie, to nie była jej sypialnia. Przestraszyła się, lecz to uczucie szybko ustąpiło. Była tylko trochę zdezorientowana i odczuwała lekki ból

lewej ręki, przy igle kroplówki.

Kroplówka?

To oznaczało, że jest w szpitalu. Oddychała swobodnie. Podawano jej tlen. A więc żyła. A dlaczego miałyby nie żyć? Dlaczego ją to dziwiło?

Jej umysł nie funkcjonował prawidłowo, była oszołomiona. A może umiera i dlatego zostawili ją samą. Gdzie Tennyson? Ach, prawda, dwa dni temu pojechał do Chicago. Była zadowolona, że wyjechał, że nie musi słuchać jego łagodnego, pokrzepiającego głosu, który doprowadzał ją do szału.

Do pokoju wszedł jakiś łysy mężczyzna w białym fartuchu, z lekarskimi słuchawkami na szyi. Pochylił się nad nią.

- Pani Frasier, czy mnie pani słyszy?

- Oczywiście.

- Jak się pani czuje? Coś boli?

- Nie, jestem tylko otumaniona.

- To efekt morfiny. Jestem chirurgiem, nazywam się Ted Larch. Musiałem usunąć pani śledzionę. To poważna operacja, więc aż do wieczora będziemy podawać pani odpowiednie dawki morfiny, a potem stopniowo je zmniejszać. Postaramy się, żeby pani organizm wkrótce zaczął normalnie funkcjonować.

- Co mi jeszcze dolega?

, - Najpierw chciałbym panią zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Brak śledziony nie jest żadnym problemem dla dorosłej osoby. Po operacji, jeszcze przez kilka dni, będzie panią wszystko bolało. Będzie pani musiała stosować dietę i, tak jak już mówiłem, wkrótce doprowadzimy pani organizm do porządku.

Poza tym ma pani dwa stłuczone żebra, trochę skaleczeń i siniaków, ale nie ma się

czym martwić. Świetnie sobie pani radzi, biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło.

- A co się wydarzyło?

Doktor Larch zamilkł na chwilę; jego łysina błyszczała w słońcu.

- Nie pamięta pani? - spytał, uważnie się jej przyglądając. Długo się zastanawiała.

Wreszcie lekarz dotknął lekko jej ręki.

- Proszę sobie nie przypominać niczego na siłę. Rozboli panią tylko głowa. A ostatnia rzecz, jaką sobie pani przypomina, pani Frasier?

- Pamiętam, jak wyjeżdżałam ze swojego domu w Hemlock Bay powiedziała z namysłem. Mieszkam na Crocodile Bayou Avenue, Akwen Krokodyli, w miasteczku, które nazwano Zatoką Cykuty. - Uśmiechnęła się słabo. - Pamiętam, że miałam jechać do Ferndale, żeby zawieźć doktorowi Bakerowi jakieś medyczne slajdy mojego męża. Nigdy nie lubiłam jeździć po ciemku szosą 211. To przerażająca droga. Sekwoje pochylają się nad tobą, otaczają cię ze wszystkich stron. Ma się uczucie, że jest się żywcem pogrzebanym.

Zamilkła. Zobaczył, że zaczyna się denerwować, więc szybko jej przerwał.

- W porządku. Ciekawy opis szosy z tymi sekwojami. Wszystko sobie pani przypomni we właściwym czasie. Miała pani wypadek, pani Frasier. Pani explorer wpadł wprost na drzewo. Teraz zawołam innego lekarza.

- Kogo?

- Psychiatrę.

- Po co mi... - Lily ściągnęła brwi. - Nie rozumiem. Dlaczego psychiatra?

- Hm... możliwe, że pani wpadła na tę sekwoję celowo. Proszę się nie denerwować i niczym nie martwić, tylko odpoczywać. Zobaczymy się później, pani Frasier. Jeśli będzie pani odczuwać ból, to proszę zadzwonić. Siostra doda trochę więcej morfiny do kroplówki.

- Myślałam, że pacjent w razie potrzeby sam może sobie dozować morfinę.

- Przykro mi, ale nie możemy pani na to pozwolić - powiedział po chwili.

- Dlaczego?

- Ponieważ zachodzi podejrzenie próby samobójstwa. Nie możemy pozwolić na to, żeby pani podała sobie śmiertelną dawkę morfiny.

Odwróciła głowę do okna, do blasku słońca.

- Pamiętam tylko wczorajszy wieczór. Jaki dzisiaj dzień? Jaka pora dnia?

- Jest czwartek, późny ranek. Miała pani wypadek wczoraj wieczorem.

- Tyle czasu mi umknęło.

- Wszystko będzie dobrze, pani Frasier.

- Nie jestem tego pewna - powiedziała, zamykając oczy.

Doktor Russell Rossetti zatrzymał się w drzwiach, obrzucając wzrokiem leżącą na szpitalnym łóżku młodą kobietę. Na jej blond włosach, które wymykały się spod bandaży, widać było zakrzepłą krew. Była bardzo szczupła. Ciekaw był, o czym ona myśli.

Doktor Ted Larch, chirurg, powiedział mu, że ona niczego sobie nie przypomina.

Powiedział też, że nie sądzi, żeby ona chciała się zabić. Jest na to zbyt rzeczowa.

Ted był romantykiem, dziwna cecha u chirurga. Oczywiście, że próbowała się zabić.

Już drugi raz. Nie było najmniejszych wątpliwości. Klasyczny przypadek.

- Pani Frasier.

Lily powoli odwróciła głowę. Ten mężczyzna miał zbyt wysoki głos, któremu starał się nadać łagodne brzmienie.

Nie odezwała się, obserwując eleganckiego, wysokiego, ale dość otyłego faceta z czarnymi kręconymi włosami i podwójnym podbródkiem. Podeszedł bardzo blisko do łóżka.

- Kim pan jest?

- Jestem doktor Rossetti. Doktor Larch chyba uprzedził panią o mojej wizycie?



- Jest pan psychiatrą?

- Tak.

- Mówił mi, ale ja nie chcę z panem rozmawiać. Nie widzę powodu.

Odmawia współpracy, pomyślał, to świetnie. Miał już dosyć pacjentów, którzy się przed nim wyplakiwali, rozczulali nad sobą i błagali o leki. Co prawda Tennyson mówił mu, że Lily jest zupełnie inna, ale to go nie przekonywało.

- Na pewno potrzebuje pani mojej pomocy - powiedział swobodnym tonem. -

Skierowała pani swój samochód wprost na drzewo.

Czyżby? Nie, na pewno tak nie było.

- Szosa, którą się jedzie do Ferndale, jest bardzo niebezpieczna. Czy jechał pan tam kiedyś po zmierzchu?

- Tak.

- Nie sądzi pan, że trzeba bardzo uważać?

- Oczywiście, ale ja nigdy nie owinąłem swojego samochodu wokół sekwoi. Leśnicy już się zajęli tym drzewem. Sprawdzają, czy zostało bardzo uszkodzone.

- Skoro ja straciłam trochę kory, to domyślałam się, że drzewo też doznało uszczerbku.

Chciałabym, żeby pan już wyszedł, doktorze Rossetti.

Przysunął krzesło do łóżka i usiadł bardzo blisko. Założył nogę na nogę i splótł palce.

Miał ohydnie białe, pulchne dłonie.

- Proszę poświęcić mi chwilę czasu, pani Frasier. Czy nie ma pani nic przeciwko temu, żebym mówił do pani Lily?

- Mam. Nie znam pana. Proszę odejść.

Chciał wzięść ją za rękę, ale szybko schowała ja pod kołdra.

- Lily, powinna pani ze mną współpracować.

- Nie jestem dla pana Lily, tylko pani Frasier. Nachmurzył się. Zwykle kobiety lubiły, kiedy mówił im po imieniu. Uważały go wtedy za przyjaciela, któremu mogą zaufać, i były bardziej otwarte.

- Siedem miesięcy temu, po śmierci swojego dziecka, próbowała się pani zabić.

- Beth nie umarła. Uderzył ją samochód, który jechał z taką prędkością, że odrzucił ją sześć metrów do rowu. Ktoś ją zamordował.

- A pani obwiniła siebie.

- Ma pan dzieci?

- Tak.

- Czy nie obwiniąłby pan siebie, gdyby pana dziecko umarło, a pana by przy nim nie było?

- Nie, gdybym sam nie prowadził samochodu, który to dziecko uderzył.

- A pana żona nie miałaby poczucia winy?

Przed oczami stanęła mu twarz Elaine i nachmurzył się znowu.

- Nie sędzę. Płakałaby tylko. Jest bardzo słabą, mało samo dzielną kobietą. Ale nie o to chodzi, pani Frasier.

I rzeczywiście tak było. Dzięki Bogu, już niedługo uwolni się od Elaine.

- A o co chodzi?

- Pani tak bardzo się obwiniła, że połknęła pani całą buteleczkę proszków nasennych.

Gdyby nie to, że w porę nadeszła gosposia, umarłaby pani.

- Tak mi mówiono.

- Nie przypomina pani sobie, że pani je brała? ' - Nie.

- A teraz nie pamięta pani, że skierowała samochód prosto na sekwoję. Szeryf

stwierdził, że jechała pani z prędkością około dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a

może nawet szybciej. Miała pani szczęście, pani Frasier. Jakiś facet wyjeżdżał właśnie zza zakrętu, zobaczył, jak pani uderza w drzewo, i wezwał karetkę.

- Zna pan jego nazwisko? Chciałabym mu podziękować.

- To nie jest teraz ważne, pani Frasier.

- A co jest teraz ważne? Ach, rzeczywiście. Czy ma pan przypadkiem jakieś imię?

- Mam na imię Russell. Doktor Russell Rossetti.

- Efektowna aliteracja, Russell.

- Wolałbym, żeby nazywała mnie pani doktorem Rossettim - powiedział.

Zacierał swoje pulchne dłonie. Widziała, że jest zły.

Zdawała sobie sprawę, że była dla niego niegrzeczna, ale nic jej to nie obchodziło.

Była potwornie zmęczona, pragnęła zamknąć oczy i korzystać z dobroczynnego działania morfiny.

- Niech pan wyjdzie, doktorze Rossetti.

Lily odwróciła głowę i zapadła w sen. Dopiero po pewnym czasie usłyszała stuk zamykanych drzwi.

Potem pojawił się doktor Larch. Z trudem otworzyła oczy.

- Doktor Rossetti jest protekcyjnym debilem i ma tłuste dłonie. Nie chcę go więcej widzieć.

- On uważa, że nie jest pani w dobrej formie.

- Wręcz przeciwnie. Jestem w świetnej formie, czego nie da się powiedzieć o nim.

Powinien chodzić na siłownię.

Doktor Larch nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Mówił również, że pani postawa obronna i niegrzeczne zachowanie są oznaką wyczerpania nerwowego i że bezwarunkowo potrzebuje pani pomocy.

- Jestem tak wyczerpana, że mam ochotę się przespać.

- Jest tu pani mąż. Chce się z panią widzieć.

Nie miała ochoty go oglądać. Jego donośny, pewny siebie głos przypominał jej głos doktora Rossettiego, jakby ukończyli te same kursy wysławiania się w szkole dla psycholi.

Byłaby szczęśliwa, gdyby już ich obu nie musiała nigdy więcej widzieć.

Za plecami doktora Larcha zobaczyła mężczyznę, który od jedenastu miesięcy był jej mężem. Stał w drzwiach ze ściągniętymi brwiami i rękami skrzyżowanymi na piersi. Był przystojny i budził zaufanie. Miał jasne, falujące włosy, nie łysiał jak doktor Larch. Nosił szpanerskie lotnicze okulary, które co chwila poprawiał na nosie. To było urocze - przynajmniej tak się jej wydawało, kiedy go poznała.

- Lily?

- Tak? - Marzyła o tym, żeby się do niej nie zbliżał.

- Doktorze Frasier - powiedział doktor Larch - jak już panu mówiłem, żona musi teraz dojść do siebie po operacji i dużo odpoczywać. Proponuję, żeby pana wizyta nie trwała dłużej niż kilka minut.

- Teraz jestem bardzo zmęczona. - Głos jej lekko drżał. - Możemy porozmawiać później?

- Ależ nie - zaprotestował.

Zaczekał, aż doktor Larch wyjdzie z pokoju. Lily zastanawiała się, dlaczego chirurg wydał jej się zdenerwowany. Tennyson zamknął drzwi, podszedł do łóżka i wziął ją za rękę.

- Dlaczego to zrobiłaś, Lily? Dlaczego? - spytał cichym, smutnym głosem.

Zabrzmiało to tak, jakby dla niej już wszystko było skończone.

- Nie wiem, co zrobiłam, Tennyson - powiedziała. - Nie pamiętam tego wypadku.

- Wiem. Może to rzeczywiście był wypadek, może straciłaś panowanie nad

samochodem i skierowałaś go na sekwoję. Powiedziała mi pielęgniarka, że leśnicy sprawdzają teraz, czy drzewo zostało bardzo uszkodzone.

- Doktor Rossetti już mi to mówił. Biedne drzewo.

- Nie ma w tym nic śmiesznego, Lily. Zostaniesz szpitalu jeszcze przynajmniej przez trzy dni. Chciałbym, żebyś porozmawiała z doktorem Rossettim. On ma doskonałą opinię.

- Już się z nim widziałam i nie chcę go więcej widzieć. Jego głos miał teraz łagodne, kojące brzmienie, ale tym razem nie zbierało się jej na płacz i nie oczekiwała od niego pociechy i zapewnienia, że on odpędzi od niej wszystkie strachy. Czuła się wystarczająco silna, żeby mu się przeciwstawić.

- Lily, ponieważ niczego nie pamiętasz, to dobrze by było zgłębić ten problem. Koniecznie musisz się z nim zobaczyć.

- Nie lubię go, Tennyson. Jak mam rozmawiać z kimś, kogo nie lubię?

- Spotkasz się z nim, Lily, a jeśli nie, to obawiam się, że będziemy musieli pomyśleć o hospitalizacji.

- Och? Będziemy musieli pomyśleć o hospitalizacji? Jakiego rodzaju?

Dlaczego nie bała się teraz tego okropnego słowa i patrzyła mu śmiało w oczy? To na pewno był skutek działania morfiny.

- Jestem lekarzem, Lily, psychiatrą jak doktor Rossetti. Wiesz, że to byłoby niezgodne z etyką, gdybym sam cię leczył.

- Przecież przepisałeś mi e - mail.

- To zupełnie coś innego. To pospolity lek w leczeniu stanów depresyjnych. Nie mógłbym jednak z tobą rozmawiać tak, jak może to zrobić doktor Rossetti. Pamiętaj, że pragnę tylko twojego dobra. Kocham cię i stale się modliłem, żebyś jak najszybciej wyzdrowiała. Wydawało mi się, że jesteś na dobrej drodze, myliłem się jednak. Porozmawiaj

z doktorem Rossettim albo będę musiał skierować cię na hospitalizację.

- Wybacz, Tennyson, ale nie wydaje mi się, żebyś mógł to zrobić. Jestem przytomna, widzę, słyszę i potrafię myśleć, i mam coś do powiedzenia na temat własnego losu.

- To się okaże. Lily, porozmawiaj z doktorem Rossettim. Opowiedz mu o swoim bólu, poczuciu zagubienia, poczuciu winy. Powiedz mu, że już zaczynasz godzić się z tym, do czego doprowadziła twoja wygórowana ambicja.

Wygórowana ambicja? A więc była tak ambitna, że przez to zginęła jej córka?

Chciała postawić sprawę jasno.

- Co przez to rozumiesz, Tennyson?

- Mówię o śmierci Beth.

To był cios w samo serce. Zalało ją nagłe poczucie winy, ale postanowiła się temu przeciwstawić. Chciała być sobą, chciała nadal rysować swój komiks *Nieustraszony Remus*, chciała... Czy to była ta wygórowana ambicja, która zabiła jej córkę?

- Nie mogę teraz o tym mówić, Tennyson. Proszę cię, idź już. Rano będę się czuła lepiej.

Nieprawda. Jeśli zmniejszą mi dawkę morfiny, będę się czuła potwornie, pomyślała, ale teraz jej to nie obchodziło. Odwróciła od niego głowę i zaczęła zapadać w spokojny, pozbawiony koszmarów sen. Zbawienne działanie morfiny.

- Przyjdę wieczorem, Lily - usłyszała jego głos. - Teraz wypoczywaj.

Nachylił się i pocałował ją w policzek. Niegdyś uwielbiała jego pocałunki i dotyk rąk, teraz jednak ta pieśczość była jej całkowicie obojętna.

Co mam teraz zrobić, pomyślała, kiedy wyszedł z pokoju. Wiedziała, co ma robić.

Otrząsnęła się ze snu, wzięła do ręki słuchawkę i wystukała numer brata w Waszyngtonie.

Usłyszała kilka trzasków, potem czyjś oddech i nic więcej. Spróbowała ponownie, ale znowu

nie uzyskała połączenia. Wreszcie na całej linii zapanowała martwa cisza.

Zapadała już w sen, czując jednocześnie, że paraliżuje ją strach, którego przyczyny nie potrafiła zrozumieć - wiedziała tylko, że nie był to strach przed tym, że chcą ją hospitalizować wbrew jej woli.

3

Lily obudziła się, czując, że ktoś leciutko wodzi palcem po jej brwiach. Dźwięk głębokiego męskiego głosu, który był jej zawsze tak drogi, skłonił ją do otwarcia oczu.

- Lily, otwórz oczy, spójrz na ranie i uśmiechnij się. Zrób to, kochanie. Otwórz oczy.

Szybko otworzyła oczy i z uśmiechem spojrzała na brata.

- Mój wielki, uwielbiany Federalny Brat. Uwielbiam cię od czasu, kiedy pokazałeś mi, jak kopnąć Billy'ego Ciappera w krocze, żeby przestał mnie obmacywać. Pamiętasz to?

- Tak, pamiętam. Miałaś dwanaście lat, a ten mały drań, który miał już czternaście, wkładał ci łapę pod sukienkę.

- Nieźle mu się wtedy ode mnie dostało, Dillon. Już nigdy się do mnie nie zbliżał.

Uśmiechnął się szeroko, pokazując piękne, białe zęby.

- Pamiętam.

- Powinnaś była kopać w krocze wszystkich facetów. Wtedy nic złego by ranie nie spotkało. Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Jestem tu, Lily. Sherlock też przyjechała. Zostawiliśmy Seana z mamą.

Powiedzieliśmy jej, że miałaś wypadek, ale że to nic groźnego, chcemy się z tobą zobaczyć.

Możesz potem zadzwonić do niej, żeby ją uspokoić. A jeśli chodzi o resztę rodziny, to zostaw tę sprawę mamie.

- Nie chcę, żeby się martwiła. Naprawdę nic mi nie będzie, Dillon. Tęsknię za

Seanem. Tak dawno go nie widziałam. Ślicznie wygląda na tych zdjęciach, które mi

przysłałeś mailem.

- Tak, ale to nie to samo, co być przy nim, kiedy gryzie ci palec i zasmarowuje ci sweter krakersami.

- Cały dom jest zasypany okruskami - dodała Sherlock.

- Mama musi być szczęśliwa, że ma go teraz przy sobie. - Lily uśmiechnęła się.

- Tak - przyznał Savich. - Tak potwornie go psuje, że trudno z nim potem wytrzymać.

- On jest rozkoszny, Dillon. Tęsknię za nim. - W oczach Lily zabłyśły łzy.

- Rozumiem cię. My też za nim tęsknimy, kiedy wyjeżdżamy na dłużej niż jeden dzień. Jak się czujesz, Lily?

- Znowu zrobiło się ciemno.

- Dochodzi siódma wieczór. Dziś jest czwartek. Powiedz mi, kochanie, jak się czujesz.

- Chyba dają mi teraz mniejsze dawki morfiny.

- Tak mi powiedział doktor Larch. Mówił, że przez dzień, najwyżej dwa, będziesz się źle czuła, ale potem ból stopniowo ustąpi.

- Kiedy przyjechaliście?

- Dosłownie przed chwilą. - Widząc, że Lily zaczyna się pograżać w swoim bólu,

dodał szybko: - Na lotnisku w San Francisco Sherlock kupiła dla Seana grubą rękawicę kuchenną z widokiem Złotych Wrót.

- Później ci ją pokażę, Lily - dodała Sherlock.

Stała po drugiej stronie łóżka, uśmiechając się do niej, nie okazując, jak bardzo

niepokoi się o tę śliczną młodą kobietę, która jest jej szwagierką. Najchętniej ogryzałaby paznokcie, czego się oduczyla dopiero trzy lata temu.

- Mieliśmy wybór pomiędzy rękawicą z widokiem Alcatraz i rękawicą z widokiem

Złotych Wrót. Ponieważ Sean teraz wszystko gryzie, Dillon uznał, że Złote Wrota będą



zdrowsze dla jego dziaseł niż więzienie federalne.

Lily roześmiała się, ale poczuła natychmiast tak silny ból, że z trudem złapała powietrze.

- Dość żartów - stwierdziła Sherlock, całując ją lekko w policzek. - Jesteśmy tu i wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci.

- Kto was zawiadomił?

- Twój teść. Zadzwoił wczoraj, około drugiej w nocy.

- Ciekawa jestem, dlaczego to zrobił.

- Nie spodziewałaś się tego po nim?

- Już rozumiem. - Oczy Lily zwęziły się ze złości. - Bał się, że zadzwoni do was pani Scruggins i będziecie zdziwieni, dlaczego nie zrobił tego nikt z rodziny. Wiesz, Dillon, myślę, że on się ciebie boi. Pyta mnie zawsze, jak ci się powodzi i gdzie jesteś. Wydaje mi się, że nieźle go wystraszyłeś, kiedy byłeś tu ostatnim razem.

- Dlaczego miałbym go wystraszyć?

- Bo jesteś duży, bystry i jesteś agentem specjalnym FBI.

- Wielu ludzi czuje się nieswojo w towarzystwie agentów FBI - roześmiała się Sherlock. - Ale Elcott Frasier? Ledwie rzuciłam na niego okiem, od razu wiedziałam, że tego faceta niełatwo jest wystraszyć.

- Może pomyślał, że będziemy chcieli przyjechać, żeby się z tobą zobaczyć - zauważył Savich. - Może wcale nie jest taki twardy, jak się wydaje.

- Jest taki. Wcześniej był tu Tennyson. - Lily skrzywiła się z bólu. - Dzięki Bogu, że wreszcie sobie poszedł.

- Co się stało, Lily? - spytał Savich, wymieniając spojrzenie ?. Sherlock. - Powiedz nam.

- Wszyscy myślą, że znowu chciałam się zabić.
- Niech sobie myślą. To nieważne. Mów, Lily.
- Nie wiem, Dillon. Przysięgam ci. Wiem tylko, że musiałam pojechać tą krętą szosą do Ferndale, i to wszystko. Nic poza tym nie pamiętam.
- No dobrze - wtrąciła się Sherlock. - Wszyscy myślą, że chciałaś się zabić, bo wtedy, po śmierci Beth, nałykałaś się proszków nasennych.
- Chyba tak.
- Dlaczego?
- Nie byłam z wami zupełnie szczerą, bo nie chciałam was martwić. Jest jednak faktem, że byłam w depresji. Chwilami czułam się lepiej, lecz potem to znowu wracało. W ostatnich tygodniach mój stan stopniowo się pogarszał. Dlaczego? Sama nie wiem. A wczoraj wieczór to się wydarzyło.

Savich przysunął sobie krzesło, usiadł przy łóżku i wziął ją za rękę.

- Wiesz co, Lily? Nawet kiedy byłaś małą dziewczynką i miałaś jakiś problem, to nigdy się nie poddawałaś. Ojciec mówił, że jeśli od razu nie odpowiedział ci na jakieś ważne pytanie, to tak długo ciągnęłaś go za nogawkę, dopóki ci tego nie wyjaśnił.
- Brakuje mi ojca.
- Mnie też. Nadal nie rozumiem tego wypadku z proszkami nasennymi. To nie była ta Lily, którą znałem. Jednak po śmierci Beth była zupełnie inna sytuacja. Teraz minęło już siedem miesięcy. Jesteś bystra, utalentowana, nie jesteś kimś, kto wycofuje się z życia. Ta twoja depresja zupełnie do ciebie nie pasuje. Co się dzieje, Lily?
- Jak ci mówiłam, przez ostatnie miesiące czasami czułam się lepiej, myślałam, że potrafię znowu podbijać świat, ale później wpadałam w depresję i nie chciało mi się wstawać z łóżka. Z jakiegoś powodu wczoraj czułam się naprawdę źle. Tennyson zadzwonił z Chicago

i powiedział, żebym zażyła dwie tabletki antydepresyjne. Tak zrobiłam. Te tabletki zupełnie mi nie pomagają. Kiedy jechałam do Ferndale, może rzeczywiście coś się ze mną stało. Może skierowałam samochód na tę sekwoję. Nie pamiętam.

- Czy teraz jesteś w lepszej formie? - spytała Sherlock.

- Nie jestem już tak bardzo otepiała, pewnie dlatego, że dostaję mniej morfiny.

- Czujesz się przygnębiona?

- Nie. Jestem wściekła na tego idiotę psychologa, którego do mnie przysłali. Okropny facet, który udaje, że jest dobry i miły, a tak naprawdę jest protekcyjnym kretynem.

- Powiedziałaś mu coś do słuchu?

- Chyba tak.

- To dobrze - stwierdziła Sherlock. - Ostatnio byłaś zbyt potulna.

- Och, nie.

- Co nie?

Ale Lily już się nie odezwała. Patrzyła tylko na drzwi.

Savich i Sherlock obrócili się i zobaczyli Tennysona Frasiera, który właśnie wchodził do pokoju.

Lily nie chce widzieć swojego męża, pomyślał Savich.

O co tu chodzi? Przed siedmioma miesiącami, po pogrzebie Beth, Lily przyjechała do Maryland, żeby przez kilka tygodni pomieszkać z matką. W tym czasie Savich robił wszystko, co możliwe, żeby dowiedzieć się, czyj samochód potrącił Beth i kto uciekł z miejsca wypadku. Bez rezultatów. Później Lily chciała wrócić do Hemlock Bay, do swojego męża. Czowała się już dobrze, a on ją kochał i potrzebował jej obecności.

To był błąd, nie trzeba było jej na to pozwolić, pomyślał Savich i postanowił, że tym razem już jej tu nie zostawi.

Tennyson podszedł do niego i uściśnął mu rękę.

- Bardzo się cieszę, że was widzę. Ojciec powiedział mi, że telefonował do was w środku nocy.

- Miło cię widzieć, Tennyson - powiedziała Sherlock. Był przystojnym mężczyzną.

Było widać, że bardzo martwi się stanem żony. Dlaczego Lily nie chce go widzieć?

- Dobrze się czujesz, Lily? - Tennyson podszedł do łóżka, wyciągając do niej rękę.

Lily schowała rękę pod kołdrę.

- Dość dobrze - powiedziała. - Wiesz, że ja sama chciałam zadzwonić do Dillona i Sherlock? Mój telefon przestał nagle działać. Czy teraz jest czynny?

- Tak - powiedziała Sherlock, trzymając słuchawkę przy uchu.

- Czy to nie dziwne?

Tennyson nachylił się i pocałował ją lekko w policzek.

- Byłaś pod działaniem morfiny, pewnie dlatego coś ci się pomyliło.

- Najpierw był sygnał, potem w słuchawce usłyszałam czyjś oddech, potem klik, klik, i zapadła cisza.

- Hm, sprawdzę to, ale teraz telefon działa, więc nic się nie stało. - Zwrócił się do Savicha. - Przyjechaliście bardzo szybko.

- Lily jest moją siostrą - powiedział Savich, uważnie przypatrując się szwagrowi. - Spodziewałaś się czego innego?

Lubił Tennysona, uważał go za poważnego, odpowiedzialnego człowieka, zupełnie innego niż pierwszy mąż Lily, Jack Crane. Wierzył, że Tennyson był równie jak Lily wstrząśnięty śmiercią Beth. Pomagał Savichowi w poszukiwaniu kierowcy, który zabił małą.

Natomiast szeryf nie wykazywał żadnego zainteresowania. Coś tu było nie w porządku.

Dlaczego Lily nie chce go widzieć?

- Nie mogę się doczekać, kiedy już wrócisz do domu. - Tennyson ponownie ucałował Lily. - Przy mnie będziesz bezpieczna.

Przecież wcale nie była bezpieczna, pomyślała Sherlock. Skierowała explorera na sekwoję, a to nie był bezpieczny manewr. Coś się tu nie zgadza.

- Co z tym psychiatrą, Tennyson?

- Mówisz o doktorze Rossettim? Lily, chciałbym, żebyś z nim porozmawiała. On może ci pomóc.

- Powiedziałaś, że jeśli się z nim nie spotkam, oddasz mnie do zakładu.

Savich nie wierzył własnym uszom.

- Do zakładu? - roześmiała się Sherlock. - No wiesz, Tennyson.

- Nie, nie, źle zrozumieliście. Jest bardzo prawdopodobne, że wczoraj Lily celowo uderzyła w tę sekwoję. Już po raz drugi chciała popełnić samobójstwo. Oboje byliście tu po jej pierwszej próbie. Widzieliście, w jakim była stanie. Jej matka też to widziała. Bierze leki, ale wcale jej nie pomagają. Chcę, żeby porozmawiała z doskonałym psychiatrą, którego osobiście bardzo cenię.

- Ja go nie lubię, Tennyson. Nie chcę go więcej widzieć.

- Dobrze, Lily. - Tennyson westchnął ciężko. - Jeśli nie lubisz doktora Rossettiego, to znajdę ci innego lekarza, który będzie mógł ci pomóc.

- Wołałabym kobietę.

- Wszystko jedno. Co prawda nie znam kobiety psychiatry, poza tymi, które zajmują się poradnictwem rodzinnym.

- Lily, jutro będę miał dla ciebie kilka nazwisk - uciał Savich. - Nie ma problemu. W tej chwili chodzi mi o coś innego. Chcę znać nazwę leków antydepresyjnych, które przyjmowała Lily, i chcę wiedzieć, dlaczego odnosiły wręcz przeciwny skutek.

- To bardzo popularny lek - tłumaczył cierpliwie Tennyson. - Elavil. Możesz o to spytać każdego lekarza.
- Nie wątpię w to. Przypuszczam, że nie wszyscy jednakowo.
- Niestety, masz rację. Zastanawiałem się, czy nie zmienić go na inny lek, na przykład prozac.
- Może zaczekałbyś z wypróbowywaniem tych leków, dopóki Lily nie spotka się z nowym psychiatrą - zaproponował Savich. - Co się stało z doktorem McGill? Chodziłaś do niego, prawda, Lily?
- Chodziłam do niego niecałe dwa tygodnie i on zaraz umarł. Był strasznie kochany, ale był stary i chory na serce. Umarł na zawał.
- To się zdarza. - Tennyson wzruszył ramionami. - Savich, widziałem cię w telewizji razem ze wszystkimi dygnitarzami z FBI. Dopadłeś Demony Zła.
- Okazało się, że był tylko jeden demon, a ten drugi był wiedźmą.
- Tak, brat i siostra. Jak to się stało, że nikt tego nie odkrył?
- To dobre pytanie. - Savich zauważył, że Lily uważnie przysłuchuje się rozmowie. Uwielbiała słuchać opowieści o ich pracy, więc mówił dalej. - Okazało się, że jedno z nich nie było facetem, tylko tak się ubierało. Timmy była kobietą. Mówiła niskim głosem i miała krótkie włosy. Eksperci od portretów pamięciowych niczego nie zauważyli. Agenci też nie. Przestała być Tammy i stała się Timmy.
- Czy ona sypiała ze swoim bratem? - spytał Tennyson.
- Tego nie wiemy.
- To MAX znalazł tę stodołę? - zaciekała się Lily.
- Tak. Kiedy już wiedzieliśmy, że rodzeństwo Tuttle wróciło do Maryland, byłem przekonany, że pozostaną tam dłużej, że wrócili do domu, chociaż urodzili się i wychowywali

w Utah. Porwali tych chłopców w Maryland. Kiedy wiemy, kim jest podejrzany, MAX zawsze sprawdza wszystkich krewnych. Odnalazł Marilyn Warluski, kuzynkę; była właścicielką tej posiadłości, na której stała stara, opuszczona stodoła.

Dzięki Bogu, że nikt nie wspomniał o ghulach. ; - Sherlock, ilu chłopców oni zabili? - spytała Lily.

- Dwunastu, a może i więcej. W całym kraju. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, jeśli Tammy nie zechce nam sama powiedzieć, a to jest mało prawdopodobne. Amputowano jej rękę po tym, jak Dillon ją postrzelił. Na szczęście obaj chłopcy są cali i zdrowi.

- Postrzeliłeś ją? Zabiłeś też brata? - zainteresował się Tennyson.

- Tak, jej brat nie żyje. To była zespołowa akcja - skwitował Savich.

- Ci biedni chłopcy - odezwała się Lily. - Ich rodzice musieli przechodzić katusze, kiedy ich porwano.

- Naturalnie, ale, jak mówiłem, wszystko dobrze się skończyło.

W drzwiach stanęła pielęgniarka Carla Brunswick.

- Możemy spać spokojnie, kiedy FBI jest w naszym mieście, ale teraz muszę wszystkich stąd wyprosić, nawet pana, doktorze Frasier. Pani Frasier dostanie proszki nasenne. Tak nakazał doktor Larch.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie - powiedział Tennyson, kiedy byli już na szpitalnym parkingu - że ledwie co przyjechaliście. Zatrzymacie się u mnie, prawda?

- Chętnie - odrzekł Savich. - Dziękuję ci, Tennyson. Chce my być blisko.

Minęła godzina. Savich zadzwonił już do matki, żeby ją uspokoić, i porozmawiał ze swoim synkiem, po czym wszedł do ogromnego łóża w gościnnym pokoju, pocałował żonę i przytulił ją do siebie.

- Jak myślisz, dlaczego Elcott Frasier do nas zadzwonił? - spytał.

- Pierwsze, co się nasuwa: martwił się o swoją synową i chciał nas jak najszybciej zawiadomić. Nie dzwonił do waszej mamy, żeby jej nie wystraszyć.

- Może masz rację. Po tym wariactwie z rodzeństwem Tuttle jestem skłonny podejrzewać najgorsze.

Sherlock pocałowała go w szyję i przyłgnęła do niego jeszcze bliżej.

- Słyszałam tyle psychologicznego bełkotu na temat Lily. Ona chce się zabić, bo tylko w ten sposób znajdzie ukojenie. Musi skierować swojego explorera na sekwoję, żeby odkupić swoją winę. To nie pasuje do Lily. Tak, pamiętam, co było za pierwszym razem, ale to było już dawno.

- A teraz to inna sprawa.

- Tak. Minęło siedem miesięcy. Lily nie jest neurasteniczną.

Zawsze uważałam, że jest silna i opanowana. Teraz czuję się winna, że nie odwiedzaliśmy jej przez te ostatnie miesiące.

- Sherlock, w niespełna tydzień po pogrzebie Beth urodziłaś dziecko.

- I Lily była wtedy ze mną.

- Ale nie podczas porodu, tak jak ja. Mój Boże, Sherlock, to był najdłuższy dzień w moim życiu. Nigdy nie klniesz, a wtedy wyzywałaś mnie takimi wyrazami, jakich nie słyszałem nawet podczas meczów piłkarskich w college'u.

Roześmiała się i pocałowała go w ramię.

- Posłuchaj, wiem, że Lily miała wystarczający powód, żeby wpaść w depresję.

Przecież rozmawialiśmy z nią wielokrotnie po śmierci Beth. Jednak jakoś nie mogę uwierzyć, że znowu chciała się zabić.

- Nie wiem - powiedział. - To, co się dzieje z Lily, poważnie mną wstrząsnęło. Nie wiadomo, co teraz robić.



Objęła go mocno, myśląc o tym, jak strasznie nieszczęśliwa była Lily po śmierci córeczki. A potem połknęła te proszki i omal nie umarła. Savich wraz z matką poleciał powtórnie do Kalifornii, kiedy Lily była w szpitalu, w tydzień po pogrzebie Beth. Było jej tak strasznie przykro, że wprawiała wszystkich w przerażenie, a potem wróciła z nimi do Waszyngtonu, żeby spokojnie dojść do siebie. Po trzech tygodniach zdecydowała jednak, że wraca do męża, do Hemlock Bay.

*A po siedmiu miesiącach skierowała explorera na sekwoję.*

- Powiedziałaś, że nie możesz w to uwierzyć - odezwał się po chwili Savich. -

Sherlock, co masz na myśli?

- W zeszłym tygodniu Lily przysłała nam nowego *Nieustraszonego Remusa*, pierwszy komiks, jaki zrobiła od śmierci Beth, i była tym bardzo podniecona. Co się więc zdarzyło w ciągu ostatnich czterech dni, że znowu zapragnęła się zabić?

4

*Hemlock Bay, Kalifornia*

Ukradłem butelkę z tabletkami - powiedział Savich, wchodząc do kuchni.

- Jak je sprawdzimy? - Sherlock patrzyła na męża.

- Dzwoniłem do Clarka Hoyta, do biura terenowego w Eureka. Dzisiaj dostaną tabletki, a on odezwie się do mnie jutro. Wtedy będziemy już mieli jakieś rozeznanie.

- Ach, Dillon - Sherlock uśmiechnęła się szeroko znad filiżanki herbaty - muszę ci coś wyznać. Zabrałeś nie te tabletki, o które ci chodziło. Wiesz, ja już wcześniej je ukradłam i wsypałam tam sudafed, który znalazłam w apteczce.

Ona czasem po prostu zwałała go z nóg. Wzniósł toast filiżanką herbaty.

- Około piątej rano, kiedy wszyscy jeszcze spali. Zaraz przyjdzie gosposia, pani Scrugginsgins. Zobaczymy, co o tym wszystkim powie.

Odpowiedzią pani Scruggins na pytania Sherlock były głębokie westchnienia.

Gospoia była prawie wzrostu Savicha, silna i muskularna, a na każdym palcu nosiła pierścionek. Musiała mieć przynajmniej sześćdziesiąt lat, na parapecie kuchennym stały zdjęcia jej wnuków. Była zadziwiającą osobą. Sherlock wolałaby z nią nie zadzierać.

Savich odchylił się w krześle i obserwował zabiegi Sherlock.

- To okropne - mówiła, potrząsając głową. - Nie potrafimy tego zrozumieć. Pani na pewno coś o tym może powiedzieć, pani Scruggins, stale będąc z naszą biedną Lily. Jestem pewna, że pani trafnie ocenia tę sytuację.

Pani Scruggins zacisnęła swoje upierścienione palce na filiżance kawy.

- Myślę, że jej stan się poprawiał. Sherlock i Savich skinęli głowami.

- Potem znów coś się z nią działo i przez dwa dni leżała skulona w łóżku. Nic nie jadła, tylko tak leżała. Myślała pewnie wtedy o małej Beth.

- Tak, wiemy o tym. - Sherlock, przesunęła się na brzeg krzesła, gotowa do wysłuchiwania dalszych zwierzeń.

- Czasami była w dobrej formie, ale to nigdy nie trwało długo. W zeszłym tygodniu bardzo dobrze się czuła. Słyszałam, jak się śmiała w swojej pracowni. Rysowała ten swój komiks i co chwila wybuchała śmiechem.

- A później co się stało?

- Trudno mi powiedzieć, pani Savich. Doktor Frasier wrócił wcześniej do domu i słyszałam, jak rozmawiali. Kiedy przyszłam następnego dnia, ona już była w okropnym stanie. To poszło bardzo szybko. Wesoła i roześmiana, a po niecałych dziesięciu godzinach już była w depresji. Chodziła po domu, jakby niczego nie widziała. Potem poszła do swojego pokoju i słyszałam, że płacze. Myślałam, że serce mi pęknie.

- A te tabletki, pani Scruggins, elavil, czy to pani pobiera je na receptę?

- Zwykle ja. Czasem doktor Frasier je przynosi. One wcale jej nie pomagają, prawda?

- Nie - potwierdził Savich. - Może byłoby lepiej tymczasem je odstawić.

- Święte słowa. Biedactwo, takie nieszczęście ją spotkało. - Pani Scruggins westchnęła

ponownie, aż zatrzeszczały guziki bluzki na jej obfitym biuście. - Mnie samej tak bardzo

brakowało małej Beth, że miałam czasem ochotę położyć się i płakać bez końca. A nie byłam

jej mamą jak pani Frasier.

- A doktor Frasier? - spytał Savich.

- Co pan ma na myśli?

- Czy też był zrozpaczony po śmierci Beth?

- Ach, on jest mężczyzną, panie Savich. Może przez tydzień miał ponury wyraz

twarzy. Ale przecież pan wie, że mężczyźni nie biorą sobie takich rzeczy za bardzo do serca.

Mój ojciec był taki sam, kiedy moja mała siostrzyczka umarła. Może doktor Frasier wszystko

to tłumi w sobie, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Niech pan nie zapomina, że on nie był

ojcem Beth. Znał małą tylko przez jakieś pół roku.

- Ale bardzo się martwił o Lily, prawda? - spytała Sherlock. Pani Scruggins skinęła

głową, a małe brylanciki w jej kolczykach zamigotały w porannym słońcu. Brylanty, mięśnie

i pierścionki, pomyślała Sherlock.

- Biedny człowiek - ciągnęła pani Scruggins. - Zawsze się o nią boi, przynosi jej

kwiaty i prezenty, ale to nic nie pomaga, przynajmniej nie na długo. A teraz to.

Pani Scruggins pokręciła głową. Jej bujne, siwe włosy upięte były w kok z tyłu głowy,

przytrzymywany przez niesłychaną liczbę szpilek.. Sherlock zastanawiała się, czy pani

Scruggins naprawdę rzeczywiście była towarzyszką Lily, a może nawet kimś w rodzaju

ochrony?

Skąd taka myśl przyszła jej do głowy? No tak, to pani Scruggins uratowała życie Lily,

kiedy ta zjadła całą butelkę proszków nasennych, zaraz po pogrzebie Beth.

- Mam małego chłopca, pani Scruggins - powiedział Savich. - Mam go dopiero od siedmiu miesięcy i może mi pani wierzyć, że byłbym zdruzgotany, gdyby mu się coś stało.

- To dobrze. Nie wszyscy mężczyźni są jednakowi, prawda?

Z mojego taty był niezły kawał drania. Nawet nie zapłakał, kiedy moją małą siostrzyczkę przejechał traktor. No tak, muszę się teraz zabrać do roboty. Kiedy pani Frasier wraca do domu?

- Może nawet jutro - odparła Sherlock. - Miała poważną operację i przez kilka dni będzie się niezbyt dobrze czuła.

- Zajmą się nią - stwierdziła stanowczo pani Scruggins. Sherlock podziękowała jej za pomoc, uścisnęła jej dłoń, czując, jak te wszystkie pierścionki wrzynają się jej w palce. Zanim wyszli z kuchni, usłyszeli jeszcze głos pani Scruggins.

- Jestem bardzo zadowolona, żeście się tu zatrzymali. Nie jest dobrze, kiedy pani Frasier jest sama.

Savicha ogarnęło głębokie poczucie winy. Nie protestował, kiedy Lily po pobycie u matki postanowiła wrócić do męża. Wydawało mu się wtedy, że ona już się dobrze czuje, że Tennyson Frasier ubóstwia żonę i że Lily podziela jego uczucie.

Podczas tych kilku miesięcy, które spędziła w domu, nigdy nie zadzwoniła, żeby prosić o pomoc. Jej e - maile były pogodne, a kiedy oni do niej telefonowali, Lily zawsze miała dobry humor.

A teraz to się wydarzyło. Przecież powinien był wtedy coś zrobić, zamiast odprowadzić ją na lotnisko i pozwolić, żeby odleciała i oddaliła się o prawie pięć tysięcy kilometrów od swojej rodziny i powróciła do tego miejsca, gdzie zginęła Bern.

Poczuł, że Sherlock ściska go za rękę.

- Zajmiemy się tym, Dillon - powiedziała tylko. - Tym razem wszystkim się zajmiemy.

- Chciałbym spotkać się z teściami Lily. Wydaje mi się, Sherlock, że my ich nie znamy.

- Dobrze. Zajmiemy się nimi po wizycie u Lily.

W Szpitalu Hrabstwa Hemlock panowała cisza. Dopiero kiedy doszli do pokoju Lily, usłyszeli głosy i zatrzymali się w drzwiach. Był tam Tennyson. I jego ojciec, Elcott Frasier.

- Lily, odczuliśmy ogromną ulgę, że przeżyłaś ten wypadek - mówił Elcott Frasier grobowym głosem. - Nie masz pojęcia, jak bardzo przejęła się tym Charlotte. Stale płakała, załamywała ręce i mówiła, że jej mała Lily umiera i jakie to okropne w tak krótkim czasie po śmierci Beth. W każdym razie explorer nadaje się tylko na złom.

To najdziwniejszy wyraz troski, jaki kiedykolwiek usłyszałem, pomyślał Savich.

- To bardzo miło z waszej strony - powiedziała Lily: Savich usłyszał w jej głosie ból i coś jeszcze. Co to było? Strach? Niechęć? Nie wiedział. - Bardzo mi przykro, że rozbiłam explorera.

- Nie martw się tym, Lily - odezwał się Tennyson i wziął ją za rękę. Nie odwzajemniła uścisku.

- Kupię ci nowy samochód. To będzie prezent dla mojej ślicznej synowej - stwierdził Elcott.

- Nie chcę drugiego explorera - zaprotestowała.

- Oczywiście, że nie - ciągnął Elcott. - Drugi explorer przypominałby ci wypadek, prawda? A my chcemy, żebyś wyzdrowiała. Zrobimy wszystko, żebyś wyzdrowiała, Lily.

Dziś rano Charlotte mówiła mi, że wszyscy w Hemlock Bay tylko o tym mówią, dzwonią do niej i składają wyrazy współczucia. To działa na nią przygnębiająco.

Savich miał ochotę wyrzucić Elcotta Frasiera przez okno. Wiedział, że jest on twardym, bezkompromisowym facetem. Mimo to był zdziwiony, że nie stać go na odrobinę delikatności. Czemu miało służyć zawarte w jego słowach okrucieństwo?

Wszedł do pokoju krokiem człowieka szykującego się do fizycznej konfrontacji, ale pohamował go widok bladej twarzy i szklistych oczu siostry. Nie zwracając uwagi na znajdujących się w pokoju mężczyzn, podszedł wprost do łóżka, nachylił się nad nią i dotknął jej czoła.

- Boli cię, maleńka?

- Trochę - szepnęła, jakby się bała mówić głośno. - A nawet bardzo. Jeśli nie oddycham głęboko, nie śmieję się i nie płaczę, to nie jest tak strasznie.

- To więcej niż trochę - powiedział Savich. - Pójdę do doktora Larcha, poproszę, żeby dał ci leki. - Spojrzał na żonę, skinął głową i wyszedł z pokoju.

Sherlock uśmiechnęła się promiennie do obu mężczyzn. Elcott Frasier nie zmienił się od czasu, kiedy go poznała jedenaście miesięcy temu. Był wysokim mężczyzną, o jasnoniebieskich, z lekka skośnych oczach, podobnych do oczu syna, i gęstej, siwej czuprynie. Czy on rzeczywiście kocha Lily i dobrze jej życzy? - zastanawiała się przez chwilę.

Wiedziała, że Elcott ma sześćdziesiąt lat, ale nie wyglądał na swój wiek. W młodości musiał być bardzo przystojny, może równie przystojny jak jego jedyny syn.

Miał też córkę, Tansy. Ile ona mogła mieć lat? Dwadzieścia osiem? Trzydzieści? Była starsza od Lily, pomyślała Sherlock. Tansy - dziwne imię, równie wyszukane jak Tennyson.

Tansy mieszkała w Seattle i była właścicielką kawiarni. Sherlock wiedziała od Lily, że niezbyt często przyjeżdża do Hemlock Bay.

Elcott Frasier podszedł do Sherlock, chwycił ją za rękę i mocno nią potrząsnął.

- Pani Savich, jak mi miło.

Wyglądał, jakby był niezwykle uradowany, że ją widzi, ale ona wiedziała, że pan Frasier nie ma wielkiego szacunku dla kobiet. Widziała to w jego oczach, w protekcyjnej postawie.

- Panie Frasier - powiedziała, obdarzając go swoim firmowym, słonecznym uśmiechem. - Mam nadzieję, że nasze następne spotkanie odbędzie się w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Bardzo dobrze, że uważasz mnie za idiotkę, pomyślała.

- Pani biedny mąż jest tym wszystkim bardzo zmartwiony - zauważył Frasier. -

Trudno mu się zresztą dziwić.

- Oczywiście, że jest zmartwiony - odrzekła Sherlock, siadając na skraju łóżka Lily. -

Tennyson, miło cię znowu widzieć - zwróciła się do szwagra.

Widziała ból w oczach Lily i chciało jej się płakać.

- Dillon zaraz wróci. Lily, nie musisz tak cierpieć. Do pokoju weszła pielęgniarka, a za nią Dillon.

- Już czas, żeby podać leki przeciwbólowe - powiedziała. Nikt się nie odzywał, kiedy wstrzykiwała lekarstwo do kroplówki Lily. Pochyliła się nad nią, zbadała puls i wygładziła kołdrę.

- Ból zaraz ustąpi. Proszę dzwonić, jeśli będzie panią znów zbyt mocno bolało.

Lily przymknęła oczy.

- Dziękuję ci, Dillon - szepnęła. - Bardzo mnie bolało, ale już przeszło. Dziękuję. - Po chwili zasnęła.

- To dobrze - stwierdził Savich, nakazując gestem, żeby wszyscy opuścili pokój. -

Chodźmy do poczekalni. Jest właśnie pusta.

- Razem z żoną jesteście wam bardzo wdzięczni, żeście przyjechali - powiedział

Elcott Frasier. - Tennyson potrzebuje teraz wsparcia. W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy miał zbyt wiele ciężkich przeżyć.

- Tak właśnie myślałem - odrzekł Savich. - Wypadek Lily to doskonały pretekst, żeby przyjechać w celu wspierania Tennysona.

- Ojciec wcale nie miał tego na myśli - zaprotestował Tennyson. - To był trudny okres dla nas wszystkich. - Spojrzał na zegarek. - Muszę iść do swoich pacjentów. Przyjdę do Lily za jakieś cztery godziny.

Odszedł razem z Elcottom Frasierem, który poprosił przechodzącą pielęgniarkę, żeby mu, przyniosła filiżankę kawy. Zrobiła to bez wahania. Nie jest głupia, pomyślała Sherlock. Potrafi rozpoznać ważnego faceta ze szpitalnego zarządu. Sherlock miała ochotę porządnie mu przywalić.

Savich pochylił się i pocałował ją w usta.

- Nie rób mu krzywdy. Mam w uszach kilka ostrzegawczych dzwonków. Teraz spojrzę na ten samochód. Upieczemy ojca naszego szwagra na grillu, OK?

- Nie ma sprawy - zgodziła się Sherlock.

Po dwóch godzinach Dillon znalazł żonę w szpitalnej kafeterii. Jadła sałatkę i rozmawia z doktorem Theodorem Larchem.

- Myśli pan, że była w takiej depresji, że postanowiła zrobić z tym koniec? Po raz drugi?

- Jestem chirurgiem, pani Savich, nie psychiatrą. Nie mogę snuć domysłów.

- Wiem, doktorze Larch, ale widuje pan stale ludzi dotkniętych cierpieniem. Co pan sądzi o stanie umysłu Lily Frasier?

- Sądzę, że fizyczny ból tłumi teraz inne objawy - to znaczy, jeśli ona w ogóle ma



jakieś objawy. Ja sam niczego nie zauważyłem. Ale cóż mogę siedzieć?

- A co pan myśli o doktorze Rossettim?

- On jest, hm... - doktor Larch unikał jej wzroku. - On jest nowym pracownikiem i niewiele o nim wiem. Doktor Frasier bardzo dobrze go zna. Byli razem na studiach w Nowym Jorku.

- Nie wiedziałam o tym - zdziwiła się Sherlock. Chętnie poznałaby tego doktora Rossettiego, którego nie lubiła Lily, a Tennyson tak bardzo naciskał, żeby się z nim spotykała.

Uśmiechnęła się do doktora Larcha i zaczęła jeść sałatkę, która okazała się niezwykle smaczna.

- Wie pan, doktorze, jeśli Lily nie próbowała się zabić, to może oznaczać, że ktoś ma tu złe zamiary. Co pan na to?

Doktor Ted Larch omal się nie udławił kostką lodu.

- Nie wyobrażam sobie tego, nie to niemożliwe. Jeśli nie zrobiła tego celowo, to bardziej prawdopodobne jest, że coś się zepsuło w samochodzie, to wypadek, nic więcej niż tragiczny wypadek.

- Pewnie ma pan rację. Jestem policjantką, więc od razu najgorsze rzeczy przychodzą mi do głowy. Skrzywienie zawodowe. Już wiem - może przez szosę przebiegał szop, nie chciała go zabić, więc uderzyła w sekwoję.

- To bardziej prawdopodobne niż przypuszczenie, że ktoś chciał ją zabić, pani Savich.

- Tak, opowieść o szopie praczu zawsze jest łatwiejsza do przełknięcia, prawda?

Kątem oka spostrzegła Dillona. Wstała od stolika i poklepała doktora Larcha po ramieniu.

- Niech się pan dobrze opiekuje Lily, doktorze.

Teraz, pomyślała, idąc szybko w kierunku Dillona, doktor Larch będzie bardzo strzegł Lily, bo nie zapomni tego, co mu powiedziałam. Wolałby potraktować to jak całkowitą bzdurę, ale to mu się tak łatwo nie uda.

Savich z daleka skinął głową doktorowi Larchowi i uśmiechnął się do żony. Widząc, jak błyszczą jej jasnoniebieskie oczy, wiedział, że czegoś dokonała i jest z siebie bardzo zadowolona.

- Co z samochodem?

- Nic. Już został sprasowany.

- Niesłuchanie szybko, prawda?

- Tak. Podobnie jak kremacją ciała przed sekcją zwłok.

- Dokładnie. Doktor Larch uważa, że umysł Lily jest w absolutnym porządku. Wydaje mi się, że ona bardzo mu się podoba. Nie lubi za to doktora Rossettiego, ale nie wiem dlaczego. Wiedziałaś, że doktor Rossetti i Tennyson studiowali razem?

- Nie. To interesujące. OK, Sherlock. Znam ten wyraz twoich oczu. Albo chcesz zaciągnąć mnie do sypialni, albo czegoś dokonałaś. Nie do sypialni? Szkoda. No dobrze. Co zrobiłaś?

- Umieściłam taką małą pluskwę pomiędzy listewkami łóżka Lily. Zdążyłam już odsłuchać kilka interesujących rozmów. Chodź, to ci je odegram.

W pokoju Lily nie było nikogo, a ona jeszcze spała. Sherlock zaniknęła drzwi, podeszła do okna, przewinęła taśmę na malutkim odtwarzaczu i nacisnęła guziczek „play”.

*Do diabła, ona potrzebuje większej dawki na uśmierzenie bólu.*

- Czyj to głos? - spytał Savich.

- Doktora Larcha.

*Zmniejszyłem dawkę na pana polecenie, ale to było zbyt drastyczne. Proszę posłuchać,*

*nie ma potrzeby, żeby musiała tak cierpieć.*

*Ona źle reaguje na leki przeciwbólowe. Mówiłem to panu już kilkakrotnie. One powodują, że robi się jeszcze bardziej szalona niż zazwyczaj. Niech pan mocno zredukuje ilość leków przeciwbólowych. Nie chcę, żeby jej stan jeszcze bardziej się pogorszył.*

- To był Tennyson Frasier - powiedziała Sherlock, naciskając guziczek stopu i chowając maleńki odtwarzacz do kieszeni. - Jak myślisz, co to może oznaczać?

- Może to nie mieć żadnego znaczenia - powiedział Savich. - Jednak, z drugiej strony, explorer został sprasowany. Dowiedziałem się od faceta ze złomowiska, że doktor Frasier kazał mu przyholować explorera i natychmiast go sprasować. Czy to twoje urządzenie włącza się, gdy ktoś zaczyna mówić?

- Tak, a wyłącza się po sześciu sekundach ciszy. Dostałam je od Dickiego z Wydziału Łączności. Ma hysia na punkcie gadżetów, a obiecał mi jeden z nich po tym, jak posłałam za kratki chłopaka jego siostry, dealera narkotyków, który poza tym ją bił.

- Sherlock, czy ci kiedyś mówiłem, że zawsze zdołasz mnie czymś podekscytować?

- Ostatnio nie. To znaczy nie od wczorajszego wieczoru, ale wtedy miałeś chyba co innego na myśli.

Roześmiał się, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Zadzwońmy teraz do mamy i porozmawiajmy z Seanem.

**5**

*Eureka, Kalifornia*

Clark Hoyt, naczelnik nowego biura terenowego FBI w Eureka, wręczył Savichowi butelkę z tabletkami.

- Przykro mi, agencie Savich, ale to jest tylko zwykły lek antydepresyjny, elavil.

- To niedobrze - stwierdził Savich, wyglądając przez okno. Patrzył na drzewa, których

liście mieniły się kolorami jesieni, i na Stare Miasto, z jego wiktoriańskimi budynkami.

Eureka była bardzo pięknym miastem.

- Mogę jeszcze w czymś pomóc, agencie Savich? Wygląda na to, że dzieje się coś, co się panu wcale nie podoba.

- Chciałbym, żeby coś zostało znalezione, ale te tabletki są tym, czym powinny być. -

Savich. pokręcił głową. - Byłoby o wiele łatwiej, gdyby tak nie było. Mówiłem panu, że explorer, którego rozbiła moja siostra, został już sprasowany. Wiązałem wielkie nadzieje z tymi tabletkami. Ach, tak, proszę mówić do mnie Savich.

- OK. A do mnie Hoyt. A ten explorer to była strasznie szybka akcja.

- Może nawet zbyt szybka. W tym zawodzie trzeba być podejrzliwym, chociaż równie dobrze to może nic nie oznaczać. W każdym razie już nic się tu nie da zrobić. Muszę teraz zainteresować się bliżej moim szwagrem, doktorem Tennysonem Frasierem.

Clark Hoyt, który słyszał już o niektórych wyczynach Sherlock, Savicha i jego laptopa MAXA, który na dodatek był transwestytą, ponieważ występował czasem w charakterze MAXINE, podrapał się po głowie.

- Nie uwierzę, że nie sprawdził pan tego faceta jeszcze przed ślubem z pana siostrą.

- Oczywiście, że przeprowadziłem wywiad, ale nie dość gruntowny. Sprawdziłem tylko, czy nie jest notowany, czy nie był na odwyku i tym podobne.

- A że nie popełnił bigamii?

- Tego nie sprawdzałem. Lily powiedziała mi, że nie ukrywał przed nią, że już był żonaty i że jego żona umarła. Ciekaw jestem, jak długo byli małżeństwem - powiedział i oczy mu się nagle zaświeciły.

- Savich, chyba pan w to nie wierzy, że on chciał zabić swoją żonę? Te tabletki były takie, jakie powinny być.

- Nie jestem niczego pewny. Ale jak pan wie, dla policjanta najważniejszą rzeczą jest dobra informacja. - Savich zatarł ręce. - MAX się ucieszy.

- Chyba pan wie, że Frasierowie są bardzo ważnymi osobistościami w Hemlock Bay i w okolicach. O ile wiem, papa Frasier prowadzi interesy w całym stanie.

- Tak. Przedtem nie widziałem potrzeby zajmowania się finansami i interesami papy, ale teraz nadszedł czas, żeby wszystko dokładnie sprawdzić.

- Czy pana siostra szybko z tego wyjdzie?

- Tak, nic jej nie będzie.

- Tu są nazwiska świetnych psychiatrów - same kobiety, tak jak pan chciał. Mam nadzieję, że któraś z nich będzie mogła pomóc pana siostrze.

- Ja też mam taką nadzieję. Ale wie pan co... chociaż nie ma innych dowodów i wszystko wygląda na to, że ona celowo uderzyła w tę sekwoję, ja po prostu nie mogę uwierzyć, że Lily próbowała się zabić. To mi się zupełnie nie zgadza.

- Ludzie się zmieniają Savich. Nawet ci, których najbardziej kochamy. Czasem nie zauważamy tych zmian, bo jesteśmy zbyt blisko.

Savich przez chwilę patrzył na drzewa za oknem.

- Kiedy Lily miała trzynaście lat, postanowiła zarabiać na bookmacherstwie. W najbliższym sąsiedztwie zaczęła przyjmować zakłady na wyniki zarówno zawodowych, jak i amatorskich meczów. Moi rodzice dostawali szału. Ojciec był agentem FBI, więc miejscowa policja nie podejmowała żadnych kroków, miała za to powód do drwin, Oni chyba podziwiali jej odwagę, ale ojciec miał moc zmartwień z tego powodu, bo nazywali ją nieodrodną córką tatusia. Kiedy skończyła osiemnaście lat, doszła nagle do przekonania, że lubi rysować i że jej to dobrze idzie. Jest teraz bardzo utalentowaną artystką.

- Nie słyszałem o niej.

- Odziedziczyła talent po naszej babce, Sarah Elliot!

- Sarah Elliott? Ta Sarah Elliott, której obrazy wiszą we wszystkich muzeach?

- Tak. Ale Lily jest świetna w rysowaniu komiksów. Zna pan *Nieustraszonego Remusa*?

Agent Hoyt potrząsnął głową.

śmierci córki, niewiele zrobiła, ale jestem przekonany, że do tego powróci, wiele gazet w tym kraju będzie chciało kupić prawo do publikowania jej komiksów.

- Ona jest aż tak dobra?

- Tak sędzę. Czy wierzy pan teraz, że ona rzeczywiście chciała popełnić samobójstwo w siedem miesięcy po śmierci córki?

- Dziewczyna, która była lokalną bookmacherką, a później autorką komiksów? - Hoyt westchnął głęboko. - Chciałbym powiedzieć, że nie, bo nie potrafię sobie tego wyobrazić, ale kto to może wiedzieć? Mówi się przecież o artystach, że są bardzo nerwowi. Mówi pan, że ona zupełnie nie pamięta tego wypadku?

- Jeszcze niczego sobie nie przypomniała.

- Co pan teraz robi?

- Zastanowię się, kiedy MAX dostarczy mi wszystkich informacji. W każdym razie zabieramy Lily ze sobą do Waszyngtonu. Wydaje mi się, że nie trzeba udowadniać, że Hemlock Bay jej nie służy.

- To mógł być zwykły wypadek - powiedział Hoyt. - Mogła stracić panowanie nad samochodem.

- Tak, ale wie pan co? Tym razem popatrzyłem na swojego szwagra innym okiem, z perspektywy Lily. To nie jest ładny widok. Mam ochotę go udusić. A jego tatusia chciałem wyrzucić ze szpitala przez okno.

Clark Hoyt roześmiał się głośno.

- Proszę mnie zawiadomić, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

- Zrobię to. Dzięki, Hoyt. Dziękuję też za nazwiska psychiatrów.

*Hemlock Bay, Kalifornia*

W niedzielę po południu, cztery dni po operacji, Lily czuła się na tyle dobrze, że mogła opuścić szpital. Doktor Larch zaopatrzył ją w tabletki przeciwbólowe i chociaż chodziła zgięta jak staruszka, miała jasne spojrzenie i dobry nastrój.

Sherlock chciała porozmawiać z doktorem Larchem na temat obniżania dawek morfiny z polecenia doktora Frasiera, ale Savich się na to nie zgodził.

- Zatrzymajmy tymczasem tę wiadomość dla siebie - powiedział.

- Nie ma nic więcej interesującego na tej taśmie - stwierdziła z niesmakiem Sherlock, usuwając pluskwę z łóżka, kiedy Lily była w łazience. - Nawet pielęgniarki nie plotkowały.

Po upływie dziesięciu minut Lily siedziała już na wózku i Savich popychał go w kierunku windy.

- Zawiadomiłem Tennysona, że razem z Sherlock zabieramy cię do nowego psychiatry. To mu się nie podobało. Powiedział, że nic o tej kobiecie nie wie, że jeśli ona jest zwykłym szarlatanem, to on straci mnóstwo pieniędzy, a ty wpadniesz w jeszcze większą depresję. Pozwoliłem mu się wygadać, a potem posłałem mu swój firmowy uśmiech.

- Ten uśmiech - powiedziała Sherlock - oznacza: „Tylko spróbuj mi podskoczyć, bratku, a wtedy poznasz, co znaczy prawdziwy ból”.

- Tak czy inaczej, pogadał sobie i nic więcej nie mógł zrobić. Próbował mnie namówić, żebym cię przekonał do doktora Rossettiego. Ciekaw jestem, dlaczego uważa, że on jest taki wspaniały.

- Jest okropny - powiedziała Lily i wstrząsnęła się na samo wspomnienie. - Przyszedł

znowu dzisiaj rano. Pielęgniarka umyła mi właśnie głowę, więc wyglądałam przyzwoicie i czułam się na tyle dobrze, żeby mu się ostro przeciwstawić.

- Jak to się odbyło? - spytała Sherlock.

Savich wepchnął wózek do windy i nacisnął guzik. Byli sami.

- Wydaje mi się - powiedziała Lily - że on znowu rozmawiał z Tennysonem i próbował zmienić taktykę. Był bardzo przymilny, przynajmniej na początku. Kiedy wślizgnął się do mojego pokoju - nie wszedł, tylko się wślizgnął - pielęgniarka Carla Brunswick właśnie skończyła suszyć mi włosy. Zaraz ci odegram tę scenę:

- Tak, panie doktorze? - spytałam i obróciłam się do niego.

- Proszę nas zostawić samych, siostrze - polecił.

- Nie chcę, żeby wyszła siostra Brunswick, doktorze Rossetti - powiedziałam. - Chcę, żeby pan stąd wyszedł.

- Proszę mi poświęcić chwilę czasu, pani Frasier. Obawiam się, że przedtem zbyt wcześnie chciałem z panią rozmawiać, tuż po operacji. Tylko kilka minut, bardzo proszę - nalegał.

Siostra Brunswick uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po rękę i wyszła z pokoju.

- Czego chcesz, Russell? - spytałam.

Jeśli moja obcesowość go rozzłościła, to nie dał tego po sobie poznać. Z uśmiechem podszedł do łóżka. Spojrzałam na jego pulchne dłonie - tym razem miał na palcu pierścień z ogromnym brylantem.

- Chciałem tylko porozmawiać z panią, pani Frasier... Lily. Może jednak zdołamy się porozumieć, może mi pani zaufa i pozwoli sobie pomóc.

- Nie.

- Coś cię boli, Lily?



- Tak, Russell. Wszystko mnie boli.

- Czy chcesz, żebym ci dał łagodną tabletkę antydepresyjną?

- Mój ból pochodzi z żeber i brakującej śledziony.

- Ten ból przytłumi na jakiś czas ten drugi, głębszy ból.

- Mam taką nadzieję.

- Pani Frasier... Lily, może spotkamy się w moim gabinecie, na przykład za tydzień, w poniedziałek?

- Nie, Russell. Ach, przyszedł doktor Larch. Proszę wejść, doktorze. Doktor Rossetti właśnie wychodzi - powiedziałam na koniec.

Savich miał wściekłą minę, ale Lily tylko się roześmiała.

- Nie musisz się złościć, Dillon. On wyszedł bez słowa, a doktor Larch nie mszył się z miejsca, dopóki tamten nie zamknął za sobą drzwi.

- Nie rozumiem tego - powiedziała z namysłem Sherlock. - Dlaczego Tennyson tak bardzo chce, żebyś była pacjentką Rossettiego? Traktujesz go okropnie, a on nadal nie rezygnuje.

- Tak - potwierdził Savich. - To dziwne. Trzeba będzie zobaczyć, co MAX nam powie o doktorze Russellu Rossettim. Chciał ci dać tabletkę antydepresyjną, tam, na miejscu?

- Chyba tak.

Kiedy Lily siedziała już w samochodzie, opatulona poduszkami, z luźno założonym pasem, Savich zawiadomił ją o wyniku swoich poszukiwań.

- Mam dla ciebie psychiatrę, Lily. Na pewno nie będzie cię karmiła lekami. To kobieta, specjalistka od hipnozy. Co o tym myślisz?

- Hipnoza? Ta kobieta mi pomoże, żebym sobie przypomniała, co się wydarzyło?

- Mam nadzieję. Trzeba spróbować. Dzisiaj jest niedziela, więc ona otworzy gabinet

specjalnie dla ciebie.

- Dillon, od razu poczułam przyływ energii. I wreszcie się dowiem, czy rzeczywiście jestem wariatką - dodała szeptem.

- A więc jedziemy wprost do Eureka.

Doktor Marlena Chu była filigranową Chinceczką która nie wyglądała na tyle dorośle, żeby mogła kupować alkohol. Lily była wysoka, miała przeszło metr siedemdziesiąt wzrostu, i patrząc na doktor Chu, zastanawiała się, czy będzie mogła zaufać takiej maleńkiej kobiecie, którą z łatwością mogłaby nosić pod pachą.

Doktor Chu powitała ich w poczekalni, w której z powodu niedzieli nie było żadnych innych pacjentów.

- Pani brat powiedział mi, co się wydarzyło. To musi być bardzo trudne dla pani, pani Frasier. - Ujęła dłonie Lily w swoje malutkie rączki i dodała: - Musi pani usiąść. Widzę, że jest pani jeszcze osłabiona. Może podać szklankę wody?

Jakie ona ma ciepłe dłonie, pomyślała Lily, a głos taki uspokajający. To było dziwne, ale zaraz się rozluźniła, nawet mniej odczuwała ból żeber. Uśmiechnęła się do doktor Chu, nie wypuszczając jej dłoni.

- Dobrze się czuję, jestem tylko trochę zmęczona.

- Proszę wejść do gabinetu i usiąść. Mam bardzo wygodne krzesło i wysoki stołeczek pod nogi; nie będą panią bolały szwy. Proszę bardzo.

Gabinet był kwadratowym pokojem z szaroniebieskimi meblami i dębowym parkietem. Lily znowu ogarnęło uczucie ciszy i spokoju.

- Pozwoli pani, że pomogę pani usiąść, pani Frasier.

- Proszę mówić do mnie Lily.

- Z przyjemnością.

Kiedy Lily już usiadła, doktor Chu przysunęła sobie krzesło i ujęła lewą rękę Lily w swoją dłoń. Stwierdziła z zadowoleniem, że Lily całkowicie się odprężyła. Uważnie obserwowała swoją pacjentkę. Lily miała piękne jasnoniebieskie oczy, które doskonale harmonizowały z blond włosami. Była uroczą młodą kobietą, ale to w tej chwili nie miało znaczenia. Ważne było to, że miała kłopoty. A jeszcze bardziej istotne, że tak szybko absorbowwała siłę żywotną, którą przekazywała jej doktor Chu.

- Lily to takie romantyczne imię. Brzmi jak łagodna muzyka, skłania do marzeń.

- To imię mojej babki. Może to przypadek, ale ona hodowała przepiękne lilie -  
uśmiechnęła się Lily.

- To rzeczywiście ciekawy zbieg okoliczności.

Doktor Chu wiedziała, że Lily jest artystką, a zdolne, kreatywne osoby zwykle łatwo poddawały się hipnozie.

- Mam pani pomóc w przypomnieniu sobie tego, co się wydarzyło w środę wieczorem.

Czy pani tego chce? - spytała.

- Tak. Bardzo chcę się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić. Nigdy przedtem nie byłam hipnotyzowana.

- Nic szczególnego. Chcę tylko, żeby się pani odprężyła. - Lekko uściśnęła dłoń Lily.

Lily czuła, jak przenika ją fala ciepła i ogarnia uczucie całkowitego spokoju. Dziwiła się, że spowodowały to maleńkie rączki doktor Chu.

Savich usiadł po drugiej stronie Lily i też wziął ją za rękę.

Jaką ma silną dłoń, pomyślała. Jego dłoń nie przekazywała jej ciepła, dawała natomiast poczucie bezpieczeństwa. Nie odzywał się, ale był przy niej. Sherlock siedziała cichutko na kanapie, za krzesłem Lily.

Lily, może pani uzna to za dziwne, ale nie będę kołysać zegarka przed pani oczami ani

nie położę pani na kanapie i nie będę niczego powtarzać śpiewnym tonem. Posiedzimy sobie tylko i porozmawiamy. Wiem, że pani rysuje komiks, *Nieustraszony Remus*. To bardzo interesujący tytuł. Co oznacza?

Lily uśmiechnęła się.

- Remus jest amerykańskim senatorem, ze stanu Zachodniej Demencji, który leży na Środkowym Zachodzie. Jest bardzo zdolny, całkowicie pozbawiony skrupułów i moralności, chorobliwie ambitny i uwielbia niszczyć swoich przeciwników. Znany jest też pod imieniem Łebski Remus, jako przeciwieństwo do kiepskiego, ponieważ jest bardzo elastyczny w działaniu, kiedy chce coś osiągnąć. Mistrz uników. Nigdy się nie poddaje, nie zwraca uwagi na to, co ludzie mówią, ponieważ wie, że i tak wkrótce o wszystkim zapomną; mija się z prawdą i dąży wytrwale do celu. Teraz jego celem jest prezydentura i nie zawahał się przed oszukaniem swojego przyjaciela, żeby ją dostać.

Doktor Chu uniosła cienką pięknie zarysowaną brew i uśmiech.

- Interesujące studium charakterologiczne i dość dobrze znane.

Tym razem Lily roześmiała się głośno.

- W zeszłym tygodniu skończyłam jeden odcinek. Jego przyjaciel, gubernator Braveheart, nie pogodził się z tym oszustwem i podjął walkę. Chociaż jest twardym i walecznym mężczyzną, ma jeden mankament - jest uczciwy. Wydaje mi się, że to dobry odcinek.

- Zniosła go pani do gazety?

- Nie. nie zrobiłam tego. - Lily przymknęła oczy.

- Czemu?

- Bo znowu poczułam się źle.

- Co pani przez to rozumie?

- Czułam, że nic nie ma znaczenia. Beth zginęła, a ja żyję i nic nie przedstawia już wartości, łącznie ze mną i moją pracą.

- Była pani wesoła, pełna sił twórczych i nagle ogarnęła panią depresja?

- Tak.

- W ciągu jednego dnia?

- Tak, może nawet w krótszym czasie. Nie pamiętam.

- A tego dnia, kiedy pani mąż wyjechał do Chicago, jak się pani czuła?

- Nie pamiętam, żebym odczuwała wtedy coś szczególnego. Po prostu... czułam się normalnie.

- Rozumiem. Mąż zadzwonił do pani następnego dnia, to była środa, i chciał, żeby pani zawiozła jego slajdy do doktora w Ferndale, tak?

- Tak.

- A tam prowadzi tylko szosa 211?

- Tak. Nienawidzę tej drogi. Jest niebezpieczna. A wtedy był zmierzch. Nie lubię prowadzić samochodu o zmierzchu, chociaż staram się jeździć bardzo ostrożnie.

- Ja też tego nie lubię. Zażyła pani wtedy dwie tabletki antydepresyjne, prawda?

- Tak. Zasnęłam i miałam okropne koszmary.

- Proszę powiedzieć, co pani zapamiętała z tych koszmarów. Doktor Chu nie trzymała jej już za rękę, ale Lily nadal czuła, jak wzbiera w niej ciepło, które ogrzewa jej duszę.

- Widziałam, jak to auto uderza Beth, ten obraz się powtarzał, a ona krzyczała i wołała mnie. Kiedy się zbudziłam, płakałam, a potem leżałam tylko, całkowicie otępiała.

- Czuła pani, że nie ma już dla niej nadziei?

- Dokładnie tak. Czułam, że nic nie ma wartości, szczególnie ja nie jestem nic warta.

Wszystko było zasnute czarną mgłą. Nic nie miało znaczenia.

- Teraz, Lily, wyjechała pani samochodem z domu. Siedzi pani w swoim czerwonym explorerze. Co pani myśli o tym samochodzie?

- Tennyson wrzeszczy na mnie, kiedy nazywam to auto samochodem. To jest explorer i nic nie może się z nim równać.

- Nie lubi pani explorera, prawda?

- Teściowie podarowali mi go na urodziny. To było w sierpniu. Właśnie skończyłam dwadzieścia siedem lat.

Nie wyglądało na to, żeby doktor Chu chciała sondować czy też zgłębiać problemy Lily; rozmawiała z nią jak z przyjaciółki! i nic więcej. Gładziła ją lekko po lewej ręce. Po chwili obróciła się do Savicha i skinęła głową.

- Lily?

- Tak, Dillon.

- Jak się czujesz, kochanie?

- Jest mi tak ciepło, Dillon. Nic mnie nie boli. To cudowne. Chcę wyjść za mąż za doktor Chu. Ona ma magiczne dłonie.

- Cieszę się, że jest ci dobrze. - Savich uśmiechnął się. - Jedziesz teraz szosą 211?

- Tak. Właśnie na nią wjechałam. Początek drogi jest w porządku, ale potem wjeżdża się pomiędzy sekwoje, robi się ciemno, a drzewa napierają na siebie. Zawsze uważałam, że te drogę zaprojektował jakiś wariat.

Zgadzam się z tobą. O czym myślisz, Lily?

- Myślę, że ciemności zarzucają całun na te wszystkie sekwoje. Beth też była przykryta całunem. Jestem w depresji, Dillon, i chcę skończyć z tym wszystkim. Myślę, że nigdy nie pozbędę się tego bólu, a nie jestem w stanie już dłużej go znosić.

- Ten ból - wtrąciła doktor Chu, biorąc Lily za rękę - proszę opowiedzieć o tym bólu.

. - Wiem, że kiedy ten ból przeniknie mnie całą, kiedy się z nim utożsamię, wtedy będę mogła odpokutować swoją winę.

- Doszła pani do przekonania, że musi pani popełnić samobójstwo, które będzie zadośćuczynieniem? Przywróceniem równowagi?

- Tak. Życie za życie. Moje życie, niewiele warte, za jej cenne życie.

Lily ściągnęła brwi.

Doktor Chu przesunęła lekko dłonią po jej czole i znowu wzięła ją za rękę.

- Lily, o czym pani teraz myśli?

- Przyszło mi do głowy, że tu się coś nie zgadza. Ja nie zabiłam Beth. Byłam wtedy w redakcji i pokazywałam komiks.

- Podobał się, prawda?

- Tak. Później szeryf powiedział...

Lily ścisnęła dłoń doktor Chu tak silnie, aż zbieleły jej nadgarstki.

- Niech się pani uspokoi, Lily. Wszystko w porządku. Jestem koło pani, jest tu pani brat i pani Savich. Nieważne, co powiedział szeryf. Zrozumiała pani, że to nie pani zabiła Beth.

- Tak - szepnęła Lily i powieki jej zadrgały. - Zdaję sobie teraz sprawę, że coś się nie zgadza. Przypomniałam sobie właśnie o tych proszkach nasennych, które Tennyson postawił przy łóżku. Połknęłam ich tyle, że butelka była prawie pusta, i nagle pomyślałam, że nie chcę umierać, ale było już za późno. Było mi smutno, że Beth straciła życie, i smutno, że ja tracę swoje.

- Nie rozumiem tego, Lily - powiedział Savich. - Mówiłaś o proszkach, które połknęłaś zaraz po pogrzebie Beth. Dlaczego teraz o tym myślisz, kiedy jedziesz samochodem?

- Ponieważ zdałam sobie sprawę, że zupełnie sobie nie przypominam, żebym łykała te prostki. Czy to nie jest dziwne?

- To bardzo dziwne. Mów dalej.

- Zdałam sobie sprawę, że nie chciałam wtedy umrzeć i teraz też nie chcę umierać.

Dlaczego więc mam tak straszne poczucie winy? Co powoduje, że, mam ochotę skierować explorera w stojące przy drodze drzewa?

- Znalazłaś na to odpowiedź, Lily?

- Tak.

Lily nagle zasnęła.

- Dajmy jej trochę odpocząć, panie Savich, później obudzę ją i zobaczymy, czy zajdzie potrzeba, żeby ją znowu poddać hipnozie.

- Coraz bardziej ciekawi mnie ta sprawa z proszkami nasennymi. Może powinniśmy się nad tym dłużej zatrzymać. Jak pan sądzi, panie Savich?

- Konieczne - odezwała się z tyłu Sherlock. Nagle Lily otworzyła oczy.

- Wszystko pamiętam - powiedziała. - Nie usiłowałam popełnić samobójstwa. Na pewno nie.

Doktor Chu ujęła jej dłonie i nachyliła się nad nią.

- Lily, proszę nam dokładnie o tym opowiedzieć.

- Oprzytomniałam, miałam już całkowitą jasność umysłu i byłam przerażona tym, co mi przedtem przychodziło do głowy. Wjechałam w zakręt, za którym zaczynał się ostry spadek szosy. Zorientowałam się, że jadę zbyt szybko, i zaczęłam hamować.

- I co się wtedy stało? - Savich wychylił się do przodu.

- Nic się nie stało.

- Wiedziałałam, ja to wiedziałam - szepnęła Sherlock.



- Czy pompowałaś hamulec, jak cię kiedyś uczył ojciec?

- Tak, kilkakrotnie lekko naciskałam, ale bez efektu. Prze raziałam się. Szybko zaciągnęłam ręczny hamulec. Wiem, że on działa tylko na tylne koła, ale pozwoliłoby mi to zmniejszyć szybkość.

- I co, hamulec ręczny też nie zadziałał? - zapytał Savich.

- Nie, nie działał. - Lily potrząsnęła głową i z trudem przełknęła ślinę. - Samochód zjeżdżał na lewą stronę drogi, w stronę głębokiego wąwozu. Skręciłam w prawo, ale niezbyt gwałtownie, bo tam był gęsty las sekwoi. Jechałam za szybko, droga robiła się coraz bardziej stroma, a przede mną było jeszcze wiele zakrętów.

- Czy przesunęłaś dźwignię biegów na luz? - spytała Sherlock.

- Oczywiście. Rozległ się straszny zgrzyt, jakby skrzynia biegów rozlatywała się na kawałki. Explorer zatrząsnął się i wszystkie koła zostały zablokowane. Wpadłam w poślizg. Próbowałam otrzeć się bokiem samochodu o sekwoje, żeby stracić szybkość, ale droga była zbyt kręta i wiedziałam już, że zginę.

Savich podniósł ją z krzesła, posadził na kolanach i przytulił. Lily oparła mu głowę na ramieniu. Doktor Chu nie wypuszczała jej dłoni, a Sherlock głaskała ją delikatnie po włosach.

. Odetchnęła głęboko.

- Pamiętam doskonale, że kiedy leciałam czołowo na tę biedną sekwoję, pomyślałam w ułamku sekundy, że to drzewo opierało się przez sto lat gwałtownym burzom od Pacyfiku, a teraz nie oprze się mnie. Pamiętam też głośny dźwięk klaksonu, a potem nie było już nic.

Lily uśmiechnęła się. Był to piękny uśmiech - uśmiech, który zwiastował nadzieje.

- To bardzo dziwne, Dillon. Nie działały hamulce. Czy ktoś próbował mnie zabić?

Doktor Chu trzymała ją ciągle za rękę, więc Lily niczego się nie bała. Wręcz przeciwnie, tak dobrze się czuła, że te okropne słowa wypowiedziała z tym samym

czarującym uśmiechem.

- Tak. - Savich patrzył jej prosto w oczy, - Pewnie tak.

- A teraz - powiedziała doktor Chu - cofnijmy się do przeszłości i zobaczmy, jak to się stało, że znalazła się pani w szpitalu, z żołądkiem pełnym proszków nasennych.

- Tak, cofnijmy się - zgodziła się chętnie Lily.

**6**

*Hemlock Bay, Kalifornia*

Okay, MAX, co znalazłeś?

Sherlock podeszła do męża i spojrzała na ekran laptopa.

- Przecież on nic nie robi. Czy myślisz, że znowu przeobraził się w MAXINE? Jest w złym humorze?

- Nie. MAX jest nadal MAXEM, tylko się teraz zastanawia. Zaraz nam coś pokaże.

- Mhm, bardzo byś chciał...

- Zadrzał z lekka, a to oznacza, że stara się do czegoś dogrzebać. Czy Lily śpi?

- Tak. Niedawno do niej zagłądałam. Stwierdziła, że nie potrzebuje środków przeciwbólowych. Czy to nie zadziwiające?

- Powiedziała, że lekarz, który potrafi ją podnieść na duchu, nie sprawiając jej bólu, jest o niebo lepszy od męża, który tego nie potrafi.

- Niestety, doktor Chu nie trzymała nas za ręce, więc będziemy musieli pozbyć się stresu na siłowni. - Sherlock roześmiała się nagle.

- Pamiętasz, jak Lily prosiła doktor Chu, żeby ta ją poślubiła? To było doskonałe.

Dillon, twoja siostra chce się wreszcie wyrwać na wolność. Pani Scruggins sądzi, że Tennyson wróci do domu za jakieś dwie godziny. Powiedziała mi też, że specjalnie dla ciebie przygotowuje wegetariańską kolację, swoją specjalność: lasagne z cukinią oraz potrawę z

jabłek i cebuli, która ma ci zapewnić utrzymanie doskonałej hmm... formy. Wydaje mi się, że ona ma na ciebie ochotę, Dillon. Co o tym myślisz?

Roześmiał się i poklepał MAXA.

- Ona ma do ciebie słabość. Kiedy wymawia twoje nazwisko, w jej oczach widać pożądanie. Wpadłeś jej w oko, kiedy zobaczyła cię w samym podkoszulku i w niedopiętych spodniach.

- Przestań, Sherlock. To mnie przeraża.

Pomyślała o tym, co sama czuje, kiedy widzi go w podkoszulku, albo i bez, więc potrafiła zrozumieć fascynację pani Scruggins. Pocałowała go w kark.

MAX zabuczał.

- Jest zazdrosny.

- Nie, on tylko mruknął. Może chce mi powiedzieć, że to go rozprasza, kiedy kładziesz mi się na plecy.

Sherlock zaczęła się przeciągać, żeby rozluźnić mięśnie.

- Najwyższy czas, żeby iść na siłownię. Myślisz, że znajdziemy jakąś w Hemlock Bay?

- Na pewno. Jeśli Lily będzie się dobrze czuła, pójdziemy tam jutro rano.

- Uważasz, że Tennyson dawał, jej tabletki, żeby wpadła w depresję, prawda?

Zamienił je, zanim pojawił się Wielki Federalny Brat?

- Na to wygląda. Doktor Chu nie uzyskała potwierdzenia informacji, że Lily usiłowała popełnić samobójstwo po pogrzebie Beth. Wydaje mi się więc, że ona nigdy nie próbowała się zabić.

- To było dziwne. Lily niby sobie coś przypomiwała, ale nie do końca. Jeśli ona tego nie zrobiła, to znaczy, że to sprawka tego łajdaka Tennysona, jego pierwsza próba. Pomyśl

tylko, Dillon, oni byli wtedy dopiero cztery miesiące po ślubie. Udowodnijmy to i zabierzmy się za niego.

- Spróbujemy, Sherlock. Już coś mamy. Dobra robota, MAX.

Kiedy przeczytali tekst, który ukazał się na ekranie, Savich podniósł wzrok na żonę.

- Niezbyt wielka niespodzianka, prawda? Nasz Tennyson był już żonaty i powiedział o tym Lily. Zapomniał tylko wspomnieć, że jego pierwsza żona popełniła samobójstwo trzynastu miesięcy po ślubie.

- Sherlock, jestem idiotą. - Savich uderzył się w czoło. - Nie powinienem był kierować się zasadą domniemania niewinności, nie powinienem był szanować jego prywatności. Jaki ze mnie brat, szczególnie po doświadczeniach z tym łobuzem, jej pierwszym mężem. Po historii z Jackiem Crane'em powinienem był przejrzeć wszystkie szafy w domu Tennysona i sprawdzić jego konto z ostatnich dwudziestu lat. Wiesz, co jeszcze powinienem był zrobić? Spytać, na co zmarła jego żona.

- Pewnie by skłamał.

- To bez znaczenia. Dobrze wiem, kiedy ktoś kłamie. Powinienem był zrobić to wszystko, co robię teraz. Lily mogła stracić życie przez to, że nie chciałem się wtrącać i szanowałem jej decyzję.

Sherlock owijała wokół palca pasmo swoich rudych, kręconych włosów, co było oznaką przygnębienia.

- Dillon, ja też się czuję winna - powiedziała. - Myślisz, że Lily wyszłaby za niego, gdyby wiedziała, że jego pierwsza żona popełniła samobójstwo?

- Teraz oczy się jej otworzyły, ale jedenaście miesięcy temu wierzyła, że go kocha i że znalazła wspaniałego ojca dla Beth. Pewnie i tak by za niego wyszła.

- Wiesz co, Dillon, my, kobiety, myślimy przeważnie sercem, kiedy wy, mężczyźni,

myślicie... chyba lepiej będzie tego nie precyzować.

- Chyba tak - uśmiechnął się do niej.

- A to wszystko okazało się iluzją. Zwróć uwagę, że jego pierwsza żona, Linda, była bardzo bogata. Dziadek zostawił jej mnóstwo pieniędzy. O mój Boże, ona miała dopiero dwadzieścia pięć lat.

- Sherlock, popatrz teraz na to. To łajdak bez skrupułów. Jak zwykle chodzi o pieniądze. Tatuś wpadł w tarapaty, a synek stara się mu pomóc. Może obaj wpadli w bagno? To też jest możliwe.

Savich skończył czytać informacje, które odnalazł MAX.

- Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że Tennyson zabił swoją pierwszą żonę, a teraz próbował zabić Lily. Czy tatuś też brał w tym udział? Być może. Ale to nieważne. Nie chcę już ryzykować. Lily musi się stąd wynieść. Chcę, żebyś ją zabrała do tego miłego pensjonatu w Eureka, w którym się kiedyś zatrzymaliśmy. Jak on się nazywał?

- To była „Rusałka”, w pobliżu Calistoga Street. Jest późna jesień, sezon turystyczny już się skończył, więc na pewno będą wolne miejsca. Co teraz zrobisz?

- Zjem razem i Tennysonem dobry, wegetariański obiad.; Uwielbiam lasagne. Może uda mi się coś wydusić z tego faceta. Chcę go przyprzeć do muru. Przyjadę do was później.

- Zabierz ze sobą MAXA. - Wstał i przytulił ją do siebie. - Zobacz, co uda mu się znaleźć na temat papy Frasiera i jego planów budowy ośrodka wypoczynkowego na wybrzeżu. Stara się też o to, żeby Wybudowano tam szosę dojazdową. Jeśli nie zatwierdzą tego władze stanowe, jego projekt upadnie. Ma kłopoty. Może nie starcza mu już pieniędzy na łapówki.

- Nie zapominaj, że chce też wybudować osiedle mieszkaniowe.

- Tak, z tego też miałby duży zysk. Elcott Frasier już zainwestował masę pieniędzy.

Może znowu są w tarapatach finansowych i dlatego chcieli pozbyć się Lily. Pakujcie się, dziewczyny, i wynoście z tego domu.

Ale Lily nie chciała się na to zgodzić. Była wypoczęta, prawie nic jej nie bolało i miała wyjątkowo jasny umysł.

- Popatrzcie na mnie. W ogóle nie jestem przygnębiona. Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym być przygnębiona.

Rozmawiali w holu, przed jej sypialnią. Lily była w dżinsach, w zbyt obszernym swetrze, miała włosy ściągnięte w kucyk i ręce oparte na biodrach. Przypominała Savichowi tę buntowniczą szesnastolatkę, która odpierała ataki rodziców na swoje bukmacherskie wyczyny.

- Nie, Dillon, nie wyjdę stąd z podkulonym ogonem. Chcę przeczytać wszystko, co do tej pory odkrył MAX, i porozmawiać na ten temat z Tennysonem. Mam prawo wiedzieć, czy człowiek, który od jedenastu miesięcy jest moim mężem, ożenił się ze mną tylko po to, żeby mnie zabić. Jest tylko jeden problem. I po co miałby to robić? Przecież ja nie mam pieniędzy.

- Niestety, kochanie - powiedział cicho Savich - jesteś bardzo bogata. My wszyscy stale zapominamy o tym, co nam zostawiła babcia.

- Ach tak, moje obrazy Sarah Elliott. Masz rację, zapominam o nich, bo są oddane w depozyt do muzeum.

- Tak, ale ty jesteś prawną właścicielką tych ośmiu obrazów, dostałaś je w spadku.

Właśnie wysłałem e - mail do Nowego Jorku, do Simona Russa. Chyba go pamiętasz? Spotykałaś go, kiedy byliśmy w jednym college'u.

- Tak, ale to było strasznie dawno, w tych ponurych czasach, kiedy jeszcze nie zdążyłam rozwinąć skrzydeł.

- Już wtedy próbowałaś je rozwijać - roześmiał się Savich. - Pamiętasz, ile kiedyś

zarobiłaś na zakładach meczu bokserskiego? A ojciec dowiedział się, że nasz sąsiad, pan Hodges, przegrał na tym dwadzieścia dolarów.

- Schowałam się pod twoim łóżkiem i nie wychodziłam, dopóki nie przestał się wściekać.

Roześmieli się. Lily ma depresję? Patrząc na nią, Sherlock pomyślała, że trudno uwierzyć, by kiedykolwiek ją miała.

- Tak, pamiętam Simona Russa - przyznała Lily. - Był z niego niezły nudziarz, ale ty mówiłaś, że to nie ma znaczenia, ponieważ jest genialnym bramkarzem.

- Simon zajmuje się teraz handlem dziełami sztuki. Natychmiast zareagował na mojego maila i poinformował mnie, że osiem obrazów Sarah Elliott ma teraz wartość rynkową pomiędzy ośmioma a dziesięcioma milionami dolarów.

Lily patrzyła na niego oniemiała.

- Nie do wiary. Ty żartujesz, prawda, Dillon?

- Nie. Te obrazy od siedmiu lat, czyli od śmierci babci, stale zyskiwały na wartości.

Każdy z czworga wnuków dostał osiem obrazów, a każdy obraz jest teraz wart, według tego, co mówi Simon, około miliona dolarów.

- Dillon, to nakłada na nas wielką odpowiedzialność.

- Wydaje mi się, że podobnie jak ty, wszyscy spadkobiercy babci uważają za swój obowiązek udostępnianie obrazów szerokiej publiczności. Pamiętam, że twoje były wypożyczone Instytutowi Sztuki w Chicago. Są tam jeszcze?

- Nie - powiedziała z namysłem Lily. - Kiedy wyszłam za Tennysona, uznał, że obrazy powinny być tu, w miejscowym muzeum. Przeniosłam je więc do Muzeum Sztuki w Eureka.

- Czy Tennyson zna kogoś, kto pracuje w tym muzeum? - spytał szybko Savich.

- Elcott Frasier jest w zarządzie.

- Bingo! - zawołała Sherlock.

Kiedy Tennyson Frasier wrócił wieczorem do domu, Lily stała przy schodach.

Zauważyła, że w jego oczach pojawił się wyraz czułości i troski. Szybko się jednak zorientował, że coś złego wisi w powietrzu, więc zwolnił kroku. Podszedł do Lily i ujął jej dłoń.

- Lily, moja droga, jesteś bardzo blada - powiedział łagodnie. - Proszę cię, kochanie, połóż się do łóżka. Musisz odpocząć.

- Zupełnie dobrze się czuję, Tennyson. Nie musisz się mną martwić. Pani Scruggins przygotowała wspaniałą kolację. Jesteś głodny?

- Jeśli chcesz usiąść ze wszystkimi przy stole, to ja się chętnie przyłączę. - Rzucił nieufne spojrzenie Savichowi i Sherlock, którzy właśnie wchodzili do holu. - Cześć, Sherlock, witaj, Savich.

Savich skinął tylko głową.

- Mam nadzieję, Tennyson, że miałeś dobry dzień - powiedziała Sherlock z promiennym uśmiechem. Miała również nadzieję, że on się jeszcze nie domyśla, że chętnie udusiłaby go jego własnym krawatem.

- Nie, nie miałem dobrego dnia. - Tennyson odsunął się od Lily i włożył ręce do kieszeni. - Moje leki przestały już pomagać staremu panu Daily'emu. Powiedział mi, że chyba włożył sobie do ust lufę strzelby. Przypomina mi ciebie, Lily, w tej swojej beznadziei. Miałem okropny dzień. Nie zdążyłem nawet cię odwiedzić, zanim wyszłaś ze szpitala. Przykro mi.

- To się zdarza, prawda, Tennyson? - Sherlock poklepała go po ramieniu.

Savich mrugnął do niej porozumiewawczo, kiedy wchodzili do jadalni.

ten pokój. Kiedy się wprowadziła, kazała pomalować ściany na jasnożółty kolor, wyrzuciła ciężkie meble i urządziła całą jadalnię w stylu art deco.



Weszła pani Scruggins z tacą. Zwykle wychodziła wcześniej, zostawiając jedzenie w piekarniku. Dzisiaj była wyjątkowa sytuacja.

- Dobry wieczór, pani Scruggins - powiedział Tennyson. - To miło, że zechciała pani zostać.

- To mnie jest miło, doktorze Frasier.

Sherlock patrzyła, jak gospośnia nakłada jedzenie na talerz Lily, i była przekonana, że ona wcale nie ma ochoty iść do domu.

- Jak mogłabym wyjść wcześniej, kiedy pani Frasier wróciła dziś ze szpitala?

Savich z trudnością powstrzymał uśmiech. Pani Scruggins czuła, że coś się wydarzy, i umierała z ciekawości.

Lily ugryzła kawałek domowej bułeczki i zwróciła się do męża.

- Myślę, że będziesz zadowolony, jeśli ci powiem, że nie próbowałam popełnić samobójstwa, kiedy explorer uderzył w sekwoję. Hamulce nie działały, ręczny też nie. Byłam na krętej szosie 211 i nie miałam żadnych szans. Czy to cię uspokaja?

Tennyson podnosił właśnie do ust kawałek lasagne. Przełknął i ściągnął brwi.

- Przypomniałaś to sobie, Lily?

- Tak, przypomniałam sobie.

- Chcesz powiedzieć, że zmieniłaś zamiar, ale było już na to za późno, bo zawiodły hamulce.

- Właśnie tak było. Zdałam sobie sprawę z tego, że nie chcę się zabić, ale to już nie miało znaczenia, ponieważ ktoś celowo zepsuł hamulce.

- Ktoś? Ależ, Lily, to absurd.

- Niestety, explorer został sprasowany następnego dnia po wypadku. - Savich mówił swobodnym tonem. - W tej sytuacji nie możemy sprawdzić, czy to jest, czy też nie jest

absurdem.

- Lily - powiedział łagodnie Tennyson - może po prostu chcesz, żeby tak było? Wolisz w ten sposób pamiętać swój wypadek?

- Nie wydaje mi się, Tennyson. Przypomniałam to sobie pod hipnozą. A kiedy się obudziłam, przypomniła mi się cała reszta.

Tennyson uniósł brew. Savich nigdy przedtem nie widział, żeby brew potrafiła wykonać tak pionowy skok. Tennyson obrócił się do Savicha i zaczął mówić spokojnie, chociaż było oczywiste, że jest wściekły.

- Zaprowadziliście Lily do hipnotyzera? Jednego z tych szarlatanów, którzy zaśmiecają umysł pacjenta?

- Ależ nie - wtrąciła się Sherlock, ujmując pod stołem zaciśniętą dłoń Lily. - Ta lekarka niczym nie zaśmieciła umysłu Lily. Pomogła jej tylko przypomnieć sobie wydarzenia tamtego wieczoru. Oboje byliśmy przy niej przez cały czas; w naszej pracy stale mamy do czynienia z hipnozą. Ten seans był szalenie profesjonalny. Nie uważasz, że to dziwne, że hamulce odmówiły posłuszeństwa? Opierając się na tym, co powiedziała Lily, czy nie sądzisz, iż jest możliwe, że ktoś je zepsuł?

- Nie. Uważam, że Lily nie zapamiętała, jak było naprawdę. Nie jestem pewny, czy zrobiła to celowo, czy tylko podświadomie pragnie, żeby właśnie tak było. Nie rozumiecie? Wymyśliła awarię hamulców, bo nie chce przyjąć do wiadomości tego, co zrobiła. To przekracza granice zdrowego rozsądku i martwi mnie fakt, że ona się przy tej wersji upiera. Nie chcę, by Lily brała pod uwagę taką możliwość, bo znowu straci grunt pod nogami. Jestem psychiatrą, prawdziwym lekarzem, który nie bawi się w żadne hokus - pokus, żeby dowiedzieć się od pacjenta tego, co sam sobie wymyślił. Savich, to mi się nie podoba. Jestem mężem Lily i ponoszę za nią odpowiedzialność.

- Jakoś nie osiągnęłaś zbyt dobrych wyników, prawda? - spytała Sherlock lodowatym tonem, mierząc w niego widelcem.

7

Tennyson miał taką minę, jakby chciał rzucić w nią talerzem. Ciężko oddychał.

Sherlock spokojnie zjadła to, co miała na widelcu, zanim zaczęła mówić.

- Zastanowiło mnie też rozplanowanie tej całej sprawy w czasie. Zadzwoiłaś, żeby Lily zawiozła twoje slajdy do Ferndale, wiedząc, że znajdzie się na szosie 211 już po zmierzchu. Potem hamulce odmówiły posłuszeństwa. To dziwny zbieg okoliczności, prawda?

- Niech was szlag, spiskujecie za moimi plecami i robicie to, czemu jestem przeciwny!

Lily nie potrzebuje już waszej pomocy. Jestem jej mężem i sam się nią zajmę. A jeśli chodzi o wasze śmieszne, zakamuflowane oskarżenia, to nie zniżę się nawet do odpowiedzi.

- Sądzę, Tennyson, że powinieneś się jednak zniżyć - zauważyła Sherlock.

Frasier miał mord w oczach. Savich odczekał, aż szwagier się uspokoi.

- Do niczego się teraz nie zniżajmy, tylko idźmy do przodu. Załóżmy, że Lily dokładnie pamięta to, co się wydarzyło. W związku z tym powstają pytania. Dlaczego hamulce zawiodły? Czy mógł to być problem techniczny? Przecież nie zadziałał również hamulec ręczny. Nie uważasz, że trudno sobie wyobrazić, by pojawił się też drugi problem techniczny? To oznacza, że ktoś zepsuł je celowo. Kto to zrobił, Tennyson? Komu mogłoby zależeć na śmierci Lily? Weź również pod uwagę fakt, że gdyby zginęła, to wszyscy uznaliby to za samobójstwo. Komu mogłoby na tym zależeć, Tennyson?

Frasier wolno podniósł się z krzesła. Sherlock zauważyła pulsującą żyłę na jego karku.

Był wściekły, a może również przerażony? Nie potrafiła tego ocenić. W każdym razie doskonale potrafił panować nad emocjami.

- Jesteś policjantem - powiedział Tennyson - masz do czynienia ze złymi ludźmi i ich

złymi uczynkami. To, co się wydarzyło, nie zostało przez nikogo spowodowane. Nikt nie chciał zabić Lily. Ona jest ciężko chora. Wszyscy o tym wiedzą. Lily też o tym wie i akceptuje ten fakt. Jedynym logicznym wytłumaczeniem jest to, iż ona nie pamięta, co się wydarzyło, ponieważ nie chce sama przed sobą przyznać, że powtórnie usiłowała popełnić samobójstwo. Wszystko się do tego sprowadza. Nie mam zamiaru wysłuchiwać już waszych oskarżeń. To jest mój dom. Chcę, żebyście go opuścili i przestali się wtrącać w nasze życie.

- W porządku, Tennyson - powiedział Savich. - Sherlock i ja z przyjemnością opuścimy twój dom. Jednak nie mam ochoty rezygnować z kolacji, którą pani Scruggins specjalnie dla mnie przygotowała. Aha i jeszcze jedno, mówiłem ci, że już wszystko wiemy o Lindzie? Pamiętasz ją, prawda? To twoja pierwsza żona, która zabiła się trzynaście miesięcy po ślubie.

Lily zamarła z wrażenia. Savich nic jej nie mówił o Lindzie. Pozbyła się ostatnich złudzeń. Kiedy jej mąż tak spokojnie i rozsądnie przedstawiał swoje racje, zaczynała się już zastanawiać, czy nie było możliwe, że fałszywie zinterpretowała swój wypadek. Może nie powinna sobie dowierzać? Teraz jednak nabrała przekonania, że tak nie jest. Och, Boże, pomyślała, on zabił swoją pierwszą żonę? To było potworne, nie do uwierzenia.

- Pamiętam, Tennyson - powiedziała Lily, ściskając nóż tak silnie, aż zbieleły jej nadgarstki - jak mówiłeś mi, że byłeś przez krótki czas żonaty, dawno temu.

- Dawno temu? - powtórzyła Sherlock, unosząc brew. - To brzmi jak historia sprzed dziesięciu lub więcej lat. Jakby uciekł z osiemnastoletnią dziewczyną. W rzeczywistości, Lily, żona Tennysona, Linda, popełniła samobójstwo dwa lata temu - na osiem miesięcy przed twoim przyjazdem do Hemlock Bay, gdzie go poznałaś. - Popatrzyła na Tennysona i dodała: - Nie wspomniałeś nawet, że twoja żona się zabiła? Dlaczego?

- To była wielka tragedia. - Tennyson był zupełnie opanowany. - Jest to nadal bolesne

przeżycie. Dlaczego miałbym o tym mówić? To nie tajemnica, Lily mogła się tego

dowiedzieć od każdego w tym mieście, nawet od mojej rodziny.

Sherlock wychyliła się do przodu, zapominając o jedzeniu. Rękawica została rzucona i

ta walka ją fascynowała. Uśmiechnęła się do Tennysona Frasiera.

- Nie uważasz, że byłoby właściwe, żeby Lily o tym wiedziała, szczególnie że siedem miesięcy temu też próbowała się zabić? Czy nie powinieneś był pomyśleć: „Może coś ze mną jest nie tak”? Dwie żony próbują pozabawić się życia zaledwie kilkanaście miesięcy po ślubie?

Na co to wskazuje, jak myślisz? Dwie zmarłe żony, jeden żywy mąż?

- To śmieszne. Lily jest zupełnie niepodobna do Lindy. Ona straciła równowagę psychiczną z powodu śmierci swojego dziecka, z powodu swojego współudziału w śmierci własnego dziecka.

- Nie miałam żadnego współudziału w śmierci Beth - powiedziała Lily. - Teraz już zdaję sobie z tego sprawę.

- Naprawdę w to wierzysz, Lily? Zastanów się nad tym, dobrze? A jeśli chodzi o Lindę, to ona miała guza mózgu i była umierająca.

To prawdziwy majstersztyk, pomyślał Savich.

- Guz mózgu? - powtórzył.

- Tak, Savich, zdiagnozowano nieoperacyjnego guza mózgu. Linda wiedziała, że umrze. Nie chciała się pogodzić z bólem, powolną degradacją fizyczną i psychiczną. Chciała sama o sobie decydować i zrobiła to. Wstrzyknęła sobie chlorek potasu. To bardzo szybko działa. Nie widziałem też potrzeby, żeby rozgłaszać, że miała guza mózgu. - Zamilkł, przeniósł wzrok z Savicha na Sherlock. - Są wyniki badań. Możecie je sprawdzić. Ja nie kłamię.

- Hm - mruknęła Sherlock. - Uważasz, że wolałaby być uznana za samobójczynię bez

żadnego istotnego powodu? - Sherlock rozparła się na krześle i skrzyżowała ręce na piersi. !,:

- Taką wtedy podjąłem decyzję.

- Trzydzieści miesięcy - powiedział Savich. - Byłeś po raz pierwszy żonaty tylko przez trzydzieści miesięcy. Gdyby Lily zginęła w tym wypadku, to o dwa miesiące pobiłaby rekord Lindy w wyścigu do grobu. A gdyby umarła przy pierwszej próbie, po pogrzebie Beth, pobiłaby wszelkie rekordy.

- Savich, nie uważam tego, co mówisz, za zabawne. - Tennyson Frasier nie odrywał oczu od żony. - Osądziłeś mnie na podstawie domysłów, zwykłego zbiegu okoliczności, bez najmniejszego dowodu, policjant nie powinien tego robić. Lily, dzięki Bogu, nie umarła. Gdyby zginęła w tym wypadku, to nie wiem, czy sam bym to przeżył. Bardzo ją kocham. Chcę, żeby wyzdrowiała.

Jest dobry, pomyślał Savich. Nawet bardzo dobry. Przytacza logiczne argumenty, jak również odwołuje się do emocji. I miał niewątpliwą rację: po pierwsze, nie mieli dowodów, a po drugie, Savich uznał go z góry za winnego. Muszą znaleźć dowody. MAX musi się czegoś dogrzebać. Na pewno coś się znajdzie, zawsze tak jest.

Sherlock zjadła kawałek domowej bułeczki i dopiero wtedy zadała pytanie.

- Skąd Linda wzięła chlorek potasu?

- Dostała od swojego lekarza, tego, który pierwszy postawił diagnozę guza mózgu.

Był w niej nieprzytomnie zakochany, więc pewnie dlatego chciał jej pomóc. Nie wiedziałem o niczym, dopiero po jej śmierci przyznał mi się, że to zrobił. Nie złożyłem na niego skargi, bo wiedziałem, że ona chciała umrzeć z własnego wyboru. Niedługo po niej umarł doktor Cord. To był koszmar.

- Jakaś kobieta w supermarkecie powiedziała mi o śmierci doktora Corda - wtrąciła

Lily. - Mówiła, że zastrzelił się, kiedy czyścił strzelbę, że to był okropny wypadek. Nie

wspominała o twojej żonie.

- Myślę, że mieszkańcy naszego miasta nie chcieli mi już przysparzać więcej cierpień.

Miałem nową żonę, więc tą sprawą utrzymywali w tajemnicy. - Obrócił się do Lily i wyciągnął do niej rękę. - Lily, kiedy pojawiłaś się w tym mieście, nie miałem już nadziei, że kiedykolwiek mógłbym być szczęśliwy, a ty dałaś mi szczęście - mówił błagalnym tonem. - Małą Beth kochałem równie mocno jak ciebie. Brakuje mi jej, Lily. Każdego dnia odczuwam jej brak. Może masz już za sobą wszystkie swoje problemy. Może ten wypadek tobą wstrząsnął i przywrócił ci właściwe rozeznanie. Uwierz mi, najdroższa, że pragnę tylko tego, żebyś była zdrowa. Chcę cię zabrać na Hawaje i leżeć z tobą na plaży. Nie słuchaj brata. On jest policjantem. Policjanci zawsze podejrzewają złe zamiary. Kocham cię i chcę, żebyś była ze mną szczęśliwa.

Savich, który kończył jeść lasagne, nie wykazywał zbytniego zainteresowania tą egzaltowaną przemową.

- Tennyson, jak długo twój ojciec jest w zarządzie Muzeum Sztuki w Eureka? - spytał, odkładając sztucce.

- Co? Nie wiem, myślę, że od wielu lat. Nigdy na to nie zwracałem specjalnej uwagi. A co to, u diabła, ma do rzeczy?

- Początkowo nie mogliśmy zrozumieć, po co ożeniłeś się z Lily, żeby zaraz ją zabić. Potem zdaliśmy sobie sprawę z tego, że wiedziałeś o obrazach naszej babki. Lily jest właścicielką ośmiu obrazów Sarah Elliott, które, co dobrze wiesz, są warte mnóstwo pieniędzy.

Po raz pierwszy Savich odczuł lekki niepokój. Na wszelki wypadek przygotował się na atak ze strony wściekłego Tennysona. Ale ten rąbnął tylko trzonkiem noża o stół.

- Ty łajdaku! Nie ożeniłem się z Lily, żeby dostać cholerne obrazy jej babki! To

absurd! Wynoś się z mojego domu!

Lily zaczęła powoli podnosić się z krzesła.

- Nie, Lily, nie ty. Proszę cię, usiądź. Musisz mnie wysłuchać. Mój ojciec i ja dobrze znamy Muzeum Sztuki w Eureka. Ono ma doskonałą opinię. Kiedy mi powiedziałaś, że Sarah Elliott była twoją babką...

- Ale ty już wiedziałeś o tym przedtem, Tennyson. Wiedziałeś, zanim jeszcze mnie poznałeś. Udałeś ogromne zdziwienie, kiedy ci o tym powiedziałam. Byłeś taki zadowolony, że odziedziczyłam po niej część jej wspaniałego talentu. Koniecznie chciałeś, żeby jej obrazy znalazły się tutaj, w północnej Kalifornii, by mieć je pod kontrolą, a kiedy umrę, z łatwością przejąć je w posiadanie. A może to twój ojciec chciał mieć tutaj te obrazy?

Tennyson, jak to było?

- Lily, uspokój się. To nieprawda. To są wspaniałe płótna. Dlaczego miałyby wisieć w Instytucie Sztuki w Chicago, kiedy ty mieszkasz tutaj? Poza tym o wiele łatwiej jest nimi zarządzać, kiedy są w pobliżu.

- O jakim zarządzaniu ty mówisz?

- Są bezustanne telefony, pytania o możliwość wypożyczenia obrazów, sprzedaży kolekcjonerom. - Tennyson wzruszył ramionami. - Trzeba ustalać zakres drobnych zabiegów konserwatorskich, wydać zgodę na zmianę ram. I mnóstwo innych rzeczy.

- Przed naszym ślubem niczego takiego nie mówiłeś, Tennyson. Trzeba było raz do roku podpisywać kontrakt z muzeum i nic więcej. Dlaczego nic nie mówiłeś o jakimś zarządzaniu? Przedstawiasz to teraz tak, jakby to była ogromnie wyczerpująca praca.

Czy w słowach Lily pobrzmiwała nuta ironii? Savich miał nadzieję, że tak.

- Nie byłaś zdrowa, Lily. Nie miałem zamiaru cię tym wszystkim obarczać.

Lily zorientowała się nagle, że jej mąż jest tylko niewyraźnym cieniem, że to, co



mówi, nie ma żadnego znaczenia. Ten mężczyzna stał się cieniem, a cień nie może nikomu zrobić krzywdy.

- Jak mówił Dillon, jestem bardzo bogata, Tennyson - zauważyła z uśmiechem.

Savich widział, że jego szwagier czyni desperackie wysiłki, żeby zachować spokój, żeby się bronić, szermować logicznymi argumentami, nie odsłaniać przed Lily swojej prawdziwej twarzy. To było fascynujące widowisko. Czy można być tak doskonałym kłamcą, tak przekonującym aktorem? Savich był zdumiony.

- Byłem przekonany, że sprawujesz tylko pieczę nad tymi obrazami. Ze one nie są twoją własnością i że po śmierci masz je przekazać swoim dzieciom - tłumaczył Tennyson.

- Przecież zarządzałeś nimi przez tyle miesięcy - powiedziała Lily. - Jak mogłeś nie wiedzieć, że one są moją własnością?

- Byłem tego pewny. Nawet kurator, pan Monk, podzielał moje przekonanie. Poznałaś go, Lily, był bardzo szczęśliwy, że te obrazy znalazły się w jego muzeum.

- Każde z nas, wnuków, którym Sarah Elliott zapisała obrazy w testamencie, ma je na wyłączną, nieograniczoną niczym własność - powiedział Savich, pijąc gorącą herbatę, którą podała mu pani Scruggins.

Wiedział, że gospośka słucha ich rozmowy i wyrabia sobie własne zdanie. Nie miał nic przeciwko temu. Może jeszcze się czegoś od niej dowiedzą, kiedy ta uroczą kolacja dobiegnie końca .

- Jeśli Lily zechce, to może je sprzedać. Jeden, dwa albo wszystkie. Każdy jest wart około miliona dolarów. Może nawet więcej.

. Wydawało się, że Tennyson jest zdumiony.

- Ja... ja sobie nie zdawałem z tego sprawy - powiedział.

- Trudno byłoby o tym nie wiedzieć - stwierdziła Lily. - Nie jesteś głupcem,

Tennyson. Niewątpliwie pan Monk poinformował cię o rynkowej wartości obrazów. Kiedy dowiedziałeś się, że jestem wnuczką Sarah Elliott, łatwo mogłeś sprawdzić, że zapisała mi w testamencie swoje obrazy. Zorientowałeś się od razu, że droga do nich prowadzi przeze mnie. Nalegałeś, żebym zapisała wszystko w testamencie Beth, a ja wyznaczyłam cię na wykonawcę testamentu.

- Okazało się - wtrącił Savich - że Beth wyprzedziła Lily. Kto dziedziczy?

- Tennyson. Mój mąż. - W głosie Lily brzmiała gorycz. - Wszystko ci ułatwiłam. Co się stało? Nagłe kłopoty finansowe? Musiałeś szybko usunąć mnie z drogi?

Tennyson był już u kresu wytrzymałości.

- Nie, nie, posłuchaj tylko. Widziałem w tych obrazach tylko dzieła twojej babki i nic więcej. Wartościowe przedmioty, które należało otoczyć opieką. Chętnie się tego podjąłem. Uwierz mi, Lily, proszę. Kiedy powiedziałaś mi, że Sarah Elliott była twoją babką, byłem mile zaskoczony, ale już więcej o tym nie myślałem. Przysięgam ci, że nie ożeniłem się z tobą dla obrazów twojej babki. Ożeniłem się z tobą, bo cię kocham, kochałem Beth. I to wszystko. Co do mojego ojca - nie, nie wierzę, żeby on mógł mieć jakieś zamysły. Uwierz mi.

- Tennyson - powiedziała Lily łagodnym tonem - czy wiesz, że dopóki nie wyszłam za ciebie za mąż, nigdy nie wpadałam w przygnębienie?

- Do diabła, przed śmiercią Beth nie miałeś do tego żadnych powodów!

- Może jednak miałam. Opowiadałam ci trochę o moim pierwszym mężu.

- Wiem, że był okropny, jednak wyszłaś z tego związku obronną ręką. Ale, Lily, przecież to było zupełnie naturalne, że po śmierci córki ogarnęła cię rozpacz i wpadłaś w depresję.

- Która trwała aż siedem miesięcy?

- Nasze reakcje są często nieprzewidywalne. Modliłem się stale, żebyś wyzdrowiała.

Długo dochodziłaś do siebie, ale teraz wiem, że szybko wyzdrowiejesz.

- Tak, wiem, że wyzdrowieję - powiedziała, odsuwając krzesło. Poczula, że ją ciągną szwy, ale nie pochyliła się, chociaż odczułaby wtedy ulgę. I dodała: - Tak, Tennyson, postanowiłam, że całkowicie wyzdrowieję. - Oparła się o stół. - Nigdy nie przestanę kochać Beth i będę ją opłakiwać aż do śmierci, ale potrafię znieść ten ból. Będę się modlić, żeby nie wpaść w depresję. Teraz potrafię zmierzyć się z życiem. Tak, Tennyson, wyzdrowieję, bo odchodzę od ciebie. Natychmiast.

Zerwał się z miejsca tak gwałtownie, aż krzesło upadło na podłogę.

- Nie, do diabła, nie możesz mnie opuścić... Lily, nie! To wszystko przez twojego brata. Ojciec nie powinien był do niego telefonować. Savich przyjechał tylko po to, żeby wszystko zepsuć. Naopowiadał ci kłamstw i dlatego obróciłaś się przeciwko mnie. Nie ma żadnych dowodów, sam to musi przyznać. To fałszywe oskarżenia. Proszę cię, Lily, nie opuszczaj mnie.

- Tennyson - spytała Lily, patrząc mu prosto w oczy - jakimi lekami karmiłeś mnie przez ostatnie siedem miesięcy?

Z jego gardła wydarł się krzyk protestu i rozpacz. Ciężko oddychał.

- Bóg mi świadkiem, że robiłem wszystko, żeby cię wyleczyć. Ale ty uwierzyłaś temu swojemu cholernemu bratu i jego żonie i postanowiłaś mnie porzucić. Dawałem ci elavil, do jasnej cholery!

- Niewątpliwie - zadrwiła Lily. - Niestety, nie ma dowodów, żeby zainteresować tą sprawą szeryfa. On jest zresztą tylko atrapą. Pamiętam, jak gorliwie poszukiwał zabójcy Beth.

- Robił, co mógł. Gdybyś była wtedy z Beth, pewnie mogłabyś mu dostarczyć więcej informacji, ale ty...

Zignorowała tę uwagę.

- Jeśli znajdziemy dowód, to nawet ten wasz koleś szeryf będzie cię musiał zamknąć, Tennyson, bez względu na to, co ty albo twój ojciec będziecie mieli do powiedzenia, bez względu na pieniądze, które włożyliście mu do kieszeni. Odeszłabym od ciebie, nawet gdybyś nie zabił swojej pierwszej żony i nie próbował zabić mnie, bo okłamywałeś mnie od samego początku. Wykorzystałeś śmierć Beth, żeby pogрузić mnie w otchłani poczucia winy.

Manipulowałaś mną, zresztą nadal to robisz, i prawdopodobnie podawałaś mi środki, które wywołały moją depresję. Chciałaś, żebym czuła się jeszcze bardziej winna. A ja nie byłam winna, Tennyson. Ktoś zabił Beth, ale przecież ja tego nie zrobiłam. Czy planowałaś moją śmierć już wtedy, kiedy wkładałaś mi obrączkę na palec?

Siedział przy stole, nie podnosząc wzroku, z głową opartą na rękach.

- Zastanawiam się, Tennyson, czy to ty zabiłaś Beth.

- Zabiłem Beth? - Poderwał nagle głowę. - Och, Boże! Nie!

- Była moją spadkobierczynią. Po mojej śmierci odziedziczyłaby obrazy. Ale nie, ty nie mógłbyś być aż tak niegodziwy. Twój ojciec, a może nawet twoja matka mogliby to zrobić, ale nie ty. Chociaż z drugiej strony ja nigdy nie potrafiłam wybrać sobie odpowiedniego mężczyzny. Obie próby zakończyły się żalnym wynikiem. Nie mam w tym kierunku najmniejszych zdolności. Ale nie, ty nie mógłbyś zabić Beth ani zlecić zabójstwa. Może znajdziemy coś na twojego tatę. Zobaczymy. Odchodzę, Tennyson. Nie chcę nawet mówić, co o tobie myślę.

Savich i Sherlock siedzieli w milczeniu. Tennyson był śmiertelnie blady, zaciskał kurczowo palce na krawędzi stołu. Robił wrażenie człowieka, który już niczego nie wie i nic nie rozumie.

Natomiast Lily była całkowicie spokojna i nie wydawała się zakłopotana.

- Dillon i Sherlock spakują jutro moje rzeczy, kiedy ty będziesz poza domem. Dziś

wieczór pojedziemy do Eureka. Tennyson, proszę, żebyś nie niszczył moich rysunków i przyborów, bo musiałabym poprosić brata albo szwagierkę, żeby zmasakrowali ci twarz. Bardzo chętnie to zrobią...

Skinęła mężowi głowę i obróciła się do brata.

- Dillon, za dziesięć minut będę gotowa do wyjścia.

Wyszła z jadalni z wysoko podniesioną głową, wyprostowana, jakby nie miała żadnych pooperacyjnych szwów. Zobaczyła, że pani Scruggins stoi w drzwiach kuchni i uśmiecha się do niej.

- Zrobiła pani doskonałą kolację, pani Scruggins - powie działa Lily. - Mój brat był zachwycony. Dziękuję, że siedem miesięcy temu uratowała mi pani życie. Będzie mi brakować pani i pani dobroci.

8

*Eureka, Kalifornia Pensjonat „Rusalka”*

Lily połknęła tabletkę przeciwbólową i przejrzała się w lustrze. Bez wątpienia wyglądała teraz o wiele lepiej. Westchnęła ciężko na wspomnienie tych miesięcy, które spędziła w Hemlock Bay. Co się z nią wtedy działo? Przyjechała tam w nadziei, że wszystko zmieni się na dobre - uwolniła się od Jacka Crane'a i obie z Beth czuły się szczęśliwe.

Pamiętała doskonale, jak spacerowały po Main Street, trzymając się za ręce, zatrzymując przy piekarni Scootersa, żeby kupić croissanta z czekoladą dla Beth, a dla niej kruche ciastko z rodzynekami. Nie przypuszczała, że wkrótce wyjdzie znowu za mąż za człowieka, który będzie deklarował miłość do niej i do Beth, i że ona mu uwierzy. A ten mężczyzna wymazał jedenaście miesięcy z jej życia.

Jak mogła być aż taka głupia?

Poślubiła człowieka, który cieszyłby się z jej śmierci, który pochowałby ją ze łzami w

oczach i radością w sercu, a nad jej grobem wygłosiłby wzruszające przemówienie.

Dwóch mężów i dwie katastrofy. Już nigdy nie spojrzy na mężczyznę, który się nią choć trochę zainteresuje. Dostała wystarczającą nauzkę. Fatalnie dobierała sobie facetów.

Teraz zaczęło ją znowu dręczyć pytanie: czy Tennyson był odpowiedzialny za śmierć Beth?

Nie mogła w to uwierzyć, ale wszystko było dla niej tak nowe i niespodziewane, że trudno było mieć jakąkolwiek pewność. Czy to możliwe, że za kierownicą tamtego samochodu siedział Tennyson? A jej depresja? Przez cały ten czas miała tylko jedno pragnienie - położyć się do trumny i zamknąć wieko.

Beth odeszła. Na zawsze. Lily miała przed oczami jej twarzyczkę, która była dokładną kopią twarzy ojca - ale o wiele delikatniejszą i piękniejszą. Tydzień przed śmiercią skończyła sześć lat. Była taka kochana, zawsze mówiła matce wszystko, aż do...

Lily podniosła nagle głowę i ponownie spojrzała w lustro. Aż do kiedy? Tydzień przed śmiercią Beth była jakaś inna, bardziej skryta, nieufna - może nawet wystraszona.

Wystraszona? Beth nigdy się nie bała. Było jednak faktem, że zachowywała się wtedy dziwnie. Lily serce pękało z bólu na myśl, że może już nigdy nie dowie się prawdy.

Potrząsnęła głową i napiła się trochę wody z kranu. Dillon i Sherlock już wyszli.

Zapewniła ich, że czuje się dobrze i nic jej nie dolega, więc mogą spokojnie pojechać do Hemlock Bay, żeby spakować jej rzeczy. Miała tylko nadzieję, że Tennyson nie zniszczył jej przyborów rysunkowych.

Odetchnęła głęboko. Chciałaby już teraz trzymać w ręku pędzelek, ale nie warto było kupować nowego do jednodniowego użytku. Kupi mały zestaw niedrogich piór i rapidografów, może taki sam, jaki dostała od rodziców przed laty, kiedy poczuła chęć do rysowania. Kupi też butelkę indyjskiego tuszu, małą ryzę papieru, najwyżej sto arkuszy - dobrego papieru, który się łatwo nie niszczy, chociaż zwykle używała brystolu, na którym

dobrze malowało się pędzelkiem. Za niecałe dwie godziny zacznie rysować senatora Nieustraszonego Remusa ze stanu Zachodniej Demencji, przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Senator chce przeprowadzić eksperyment kontroli nad bronią palną i w związku z tym dzieli swój stan na dwie połowy. Jedna połowa stanu ma surowe ograniczenia posiadania broni, równie surowe jak w Anglii, a druga nie ma żadnych ograniczeń. Senator za pomocą szantażu zdobył poparcie gubernatora dla swojego pomysłu. Dowiedział się bowiem, że gubernator wziął łapówkę od developera, który ponadto był jego siostrzeńcem. Remus wygłasza płomienne przemówienie: „Tylko jeden rok, więcej nam nie trzeba - mówi, rozkładając wymownie ręce. - Po roku już wszystko będziemy wiedzieć”.

W zachodniej części Zachodniej Demencji przestępcy handlują między sobą strefami wpływów, a zwykli obywatele nie mają prawa posiadać niczego, z czego można by wystrzelić kulę. Bandyci włamują się do domów, banków, stacji benzynowych, wszędzie, gdzie zapragną.

We wschodniej części Zachodniej Demencji jest mnóstwo broni, począwszy od małych pistolecików, wyrzucających jeden pocisk na minutę, aż do takich olbrzymów, które wypluwają z siebie miliony pocisków w ciągu sekundy. Nie ma tam żadnych ograniczeń. Jest mnóstwo broni i jest niesłychanie tania. Wszyscy są zdumieni, ponieważ liczba napadów rabunkowych zmniejsza się prawie o siedemdziesiąt procent po tym jak kilkunastu włamywaczy zostaje zabitych podczas prób grabienia domów, banków i stacji benzynowych. Jednak z drugiej strony rozpętał się tam szal morderstwa. Wszystko, co się rusza, albo i nie rusza, zostaje zastrzelone - jelenie, króliki, samochody, ludzie. Niektórzy nawet uważają, że powierzchnia wody jest doskonałą tarczą strzelniczą. Od ran z broni palnej giną w rzekach pstrągi.

Krążą pogłoski, że Remus dostał pieniądze na swój eksperyment nie tylko od

Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, lecz również od mafii. Ale on się tym zupełnie nie przejmuje - ma nadal twarz człowieka godnego zaufania.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Chciała natychmiast zacząć rysować

*Nieustraszonego Remusa*, mieć już pióro w palcach. Nie potrzebowała nawet deski do rysowania, w pokoju był okrągły stolik, a słońce wpadało pod odpowiednim kątem.

Chwyciła torebkę, skórzaną kurtkę i wyszła z pensjonatu. Pani Blade, która stała za ladą recepcji, pomachała jej ręką. Lily nie знаła dobrze miasta, wiedziała tylko, że powinna iść na Wallace Street. Mieszkało tam wielu artystów i niektórzy prowadzili sklepy z materiałami dla malarzy i grafików.

Dzień był pochmurny, chłodny wiatr rozwiewał opadłe liście, wyraźniej niż zwykle czuło się słońce woń oceanu. Udało się jej złapać taksówkę, z której wysiadał właśnie jakiś stary mężczyzna.

Szofer był Ukraińcem, który od sześciu lat mieszkał w Eureka i dobrze znał dzielnicę artystów. Po drodze opowiadał jej o swoim synu, który też lubi rysować.

Pół godziny później wychodziła już ze sklepu Sol Arthur, trzymając paczki w rękach.

Uśmiechała się, zadowolona. W portmonetce zostało jej jeszcze tylko jedenaście dolarów.

Zaczęła się zastanawiać, co się stało z jej kartami kredytowymi. Poprosi Dillona, żeby się tym zajął.

Stała na krawężniku, rozglądając się wokół. Na ulicy nie było wielu ludzi. Nie było też nadziei na złapanie taksówki, chociaż gotowa była uszczuplić swój stan posiadania o kolejne cztery dolary. Nadjeżdżał autobus, a ten kierunek jej odpowiadał. Ruch był niewielki, więc przeszła przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

Nieustraszony Remus wciąż absorbował jej myśli. W jej wyobraźni był teraz

wyjątkowo przystojny. Zrobił niezadowoloną minę, kiedy dowiedział się, że jego kolega ma



powodzenie u asystentki, którą on sobie upodobał. Po chwili znowu jest szczęśliwy, ponieważ doniesiono mu, że żona kolegi senatora zdradza męża z jednym z jego poprzednich doradców.

Wesoło nucila, kiedy wiekowy autobus, który kursował co najmniej od dwudziestu lat i wyrzucał kłęby spalin, zatrzymał się na przystanku. Stary kierowca, który sam wyglądał jak ze stron komiksu, uśmiechał się do niej szeroko. Miał na uszach słuchawki i podrygiwał na siedzeniu w takt muzyki. Pewnie niewielu pasażerów widywał na swojej trasie.

Wsiadła, odłożyła paczki i wyjęła portmonetkę, żeby zapłacić za przejazd. Kiedy się odwróciła, żeby znaleźć miejsce, zobaczyła, że autobus jest pusty.

- Mało dziś ludzi?

Uśmiechnął się znowu i zdjął słuchawki. Powtórzyła pytanie.

- Taaa... wszyscy są na cmentarzu na wielkim pogrzebie.

- Czyj to pogrzeb?

- Ferdy'ego Malloya, pastora kościoła Baptistów. Wykitował w ostatni piątek.

W ostatni piątek ona leżała w szpitalu i też się niezbyt dobrze czuła.

- Śmierć z przyczyn naturalnych, mam nadzieję?

- Może pani tak myśleć, jeśli pani chce, ale i tak wszyscy wiedzą, że żona wyprawiła go na tamten świat. Mabel to twarda sztuka i ma paskudny charakter. Nikt nie ośmielił się zażądać sekcji zwłok, więc teraz wkładają Ferdy'ego do ziemi.

- A więc tak się - sprawy mają - skwitowała Lily. - Och, mieszkam w „Rusałce”. Czy pan przejeżdża w pobliżu?

- Nie ma tu nikogo, kto by mi tego zabronił. Podwiozę panią pod same drzwi.

- Dziękuję.

Kierowca włożył słuchawki i zaczął znowu podskakiwać na siedzeniu. Zatrzymał się dwie przecznice dalej, przed Drive - In, które słynęło z najlepszych hamburgerów w mieście.

Lily przymknęła oczy. Autobus ruszył, a przed jej wzrokiem pojawiła się kolejna scena z udziałem Nieustraszonego Remusa.

- Hej!

Podniosła wzrok. Jakiś młody człowiek siadał właśnie obok niej. Zdjął jej paczki, położył je na przeciwległym siedzeniu i spokojnie usiadł.

Lily oniemiała. Patrzyła na chłopaka, który mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Miał długie, tłuste włosy, niedbale związane w kitkę, a w lewym uchu trzy srebrne koła.

Nosił ciemne okulary, czapkę daszkiem do tyłu i zbyt obszerną czarną skórzaną kurtkę.

- Moje paczki - powiedziała. - Dlaczego pan je przełożył? Uśmiechnął się szeroko; z tyłu miał złoty ząb.

- Jest pani strasznie śliczna. Chciałem siedzieć blisko pani.

- Nie, nie jestem śliczna. Chcę, żeby pan się przesiadł. Jest pełno wolnych miejsc.

- Nic z tego. Zostaję tu. Jak mówiłem, pani jest naprawdę śliczna.

Lily spojrzała na kierowcę, ale ten tak gwałtownie podskakiwał na siedzeniu w takt rock'n'rolla, że autobus przechylał się z lekka w lewo, a potem znowu w prawo.

Lily nie miała ochoty wplątywać się w awanturę.

- Dobrze - powiedziała z uśmiechem. - Ja się przesiadę.

- Chyba nie - wycedził zduszonym szeptem i chwycił ją za ramię.

- Puszczaj mnie, ty łobuzie, i to już!

- Nie tak prędko. Nie chcę ci robić krzywdy, bo jesteś taka ładna. To przykre, ale ja potrzebuję pieniędzy, rozumiesz?

- Chcesz mnie obrabować?

- Tak, nie bój się, nic ci nie zrobię. Chcę tylko twój portfel. Z wewnętrznej kieszeni

kurtki wyciągnął nóż sprężynowy, nacisnął guziczek i ukazało się długie, cienkie ostrze.

- Odłóż nóż. - Lily była przerażona. - Oddam ci wszystkie pieniądze, jakie mam.

Nie odpowiedział, widząc, że autobus zwalnia, żeby zatrzymać się na kolejnym przystanku.

- Przykro mi, ale już nie ma czasu na pieniądze - powie dział.

On chciał ją zabić. Nóż zbliżał się do jej klatki piersiowej. Napięła mięśnie, poczuła ból w okolicy szwów, ale na to nie zważała.

- Ty głupcze! - krzyknęła.

Uderzyła go łokciem w jabłko Adama i poprawiła ciosem wymierzonym poniżej brody. Głowa odskoczyła mu do tyłu, nie mógł złapać tchu, ale nóż był nadal kilka centymetrów od jej klatki piersiowej.

*Skręć ciało, nie wystawiaj się cała na cel.*

Przebiegła się i uderzyła go prawym sierpowym w prawą rękę.

*Atakuj napastnika, nie jego broń.*

Chwyciła go lewą ręką za nadgarstek i z całej siły uderzyła w gardło. Złapał się za szyję, krztusząc się i usiłując złapać oddech, a wtedy uderzyła go pięścią w klatkę piersiową, tuż nad sercem. Chwyciła znów za nadgarstek, nóż wyslizgnął mu się z palców i upadł na podłogę.

Facet nie był w stanie złapać tchu.

- Radzę ci nigdy się do mnie nie zbliżać, ty gnoju - po wiedziała, uderzając go otwartą dłonią w ucho.

Chciał krzyknąć, ale tylko zachrypiał niewyraźnie.

Autobus zatrzymał się przed „Rusałką”. Kierowca pomachał jej w lusterku, nie przestając słuchać muzyki i podskakiwać na siedzeniu. Nie wiedziała, co robić. Zadzwoić po

policję? Chłopak zerwał się, podniósł nóż, pomachał nim kierowcy, który patrzył teraz na nich szeroko otwartymi oczami, nie podskakując już w takt muzyki. Napastnik zeskoczył na ziemię, pognał przed siebie i zaraz skręcił w boczną uliczkę.

Kierowca zaczął krzyczeć.

- Nic się nie stało - powiedziała Lily, zbierając swoje paczki. - To zwykły bandzior.

- Musimy wezwać gliniarzy.

Lily nie chciała mieć do czynienia z policją. Ten facet już uciekł, a ona poczuła się nagle bardzo słaba. Serce jej mocno biło, ale trzymała się prosto, chociaż czuła wyraźnie, jak ciągną ją szwy i bolą żebra. A jednak zwyciężyła, pokonała faceta z nożem. Nie zapomniała tych ciosów, których nauczył ją brat, kiedy poskarżyła mu się na Jacka i powiedziała, co on jej robi.

- Do diabła, Lily - powiedział wtedy - nie możesz być bezbronną ofiarą. Nauczę cię walczyć.

Nie potrafił wprawdzie nauczyć jej, jak panować nad strachem, który ją przenikał, kiedy nóż dotykał jej ciała. Poradziła sobie jednak i wygrała.

Wyprostowana weszła do recepcji.

- Halo - rzuciła z uśmiechem do pani Blade, która rozwiązywała właśnie krzyżówkę.

- Ma pani taką minę, jakby pani wygrała los na loterii, pani Frasier. Zna pani pięcioliterowe słowo na mordercę potwora?

- Hm... To mogłabym być ja, ale Lily to tylko cztery litery. Przykro mi, pani Blade. -

Roześmiała się i ruszyła z paczkami w stronę schodów.

- Mam już! - zawołała za nią pani Blade. - Morderca to zabójca. Wie pani, jak ten Buffy, Wampir Zabójca.

- To siedem liter, pani Blade.

- Do licha!

Kiedy Lily znalazła się wreszcie w swoim pokoju, odpakowała paczki i ułożyła wszystkie przybory na stoliku. Światło było dobre, a czuła się wspaniale. Nagle zamarła. Obrazy. Arcydzieła Sarah Elliott. Musi natychmiast jechać do muzeum i sprawdzić, czy jej osiem obrazów jeszcze tam wisi. Jak mogła myśleć tylko o tym, żeby rysować Remusa?

A może niepotrzebnie wpada w panikę? Wystarczy zatelefonować do pana Mońka i spytać go o obrazy. Ale czy on jest godny zaufania? Przecież może skłamać.

Tennyson albo jego ojciec mogli je ukraść w nocy, z pomocą pana Mońka.

No nie, wtedy ktoś zawiadomiłby ją, że obrazy zniknęły. A może zawiadomiliby tylko Elcotta Frasiera albo Tennysona? Ona była chora, próbowała już po raz drugi popełnić samobójstwo, czyż nie tak? Nie byłaby w stanie sprostać tak stresującej sytuacji.

Po trzech minutach była już za drzwiami.

9

Muzeum Sztuki w Eureka zajmowało całą stronę West Clayton Street, pomiędzy dwiema przecznicami. Był to piękny wiktoriański budynek, otoczony starymi dębami, które tego chłodnego ranka gwałtownie gubiły liście. Z powodu cięć w budżecie nikt ich nie sprzątał, więc pokrywały chodniki grubym dywanem w kolorze czerwieni i złota.

Lily dała taksówkarzowi pięć dolarów, w tym spory napiwek, ponieważ zauważyła jego wystrzępione mankiety. Miała nadzieję, że wystarczy jej pieniędzy na opłacenie wstępu do muzeum. Starszy dżentelmen poinformował ją przy wejściu, że nie pobierają opłat za wstęp, ale każde wsparcie finansowe jest przyjmowane z przyjemnością. - Nie z wdzięcznością?

- Z jednym i drugim - odparł, uśmiechając się do niej szeroko. '

Odwzajemniła uśmiech i poprosiła, żeby zawiadomił pana Mońka, że przyszła pani Frasier.

W tym muzeum widziała swoje obrazy tylko jeden raz, zanim jeszcze zbudowano dla nich specjalne pomieszczenie. Złożyła tam krótką wizytę zaraz po ślubie z Tennysonem. Poznała wtedy pana Mońka, zapamiętała, że miał piękne czarne oczy i wydał się jej dziwnie nerwowy. Było tam też dwóch młodych pracowników z doktoratami, którzy powiedzieli jej, że nie mogąc dostać pracy w żadnym ze znaczących muzeów, musieli się przenieść do Eureka. Na szczęście, poinformowali ją z uśmiechem, obrazy Sarah Elliott nobilitowały to prowincjonalne muzeum.

Osiem obrazów jej babki wisiało w oddzielnym, perfekcyjnie przygotowanym pomieszczeniu - białe ściany, doskonałe światło, wypolerowana dębowa podłoga i miękkie ławki na środku sali. Można było usiąść i podziwiać je w spokoju.

Lily stała na środku sali, obracając się z wolna, żeby się dokładnie przyjrzeć tym dziełom. Pamiętała, z jakim przejęciem czekała na nie kiedyś w Instytucie Sztuki w Chicago, za którego pośrednictwem wykonawca testamentu babki przekazał jej obrazy. Brała je po kolei do rąk i delikatnie dotykała. Dostała te, które się jej zawsze najbardziej podobały. Jej ulubionym obrazem był *Łabędzi śpiew* - za mgiełką miękkich, pastelowych kolorów starzec śpiewa swoją przedśmiertną pieśń, a jego słuchaczką jest mała dziewczynka... Lily poczuła, że na rękach ma gęsią skórkę. Łzy stanęły jej w oczach.

Kochała ten obraz, była też jego właścicielką. Nagle zdała sobie sprawę, że pragnie codziennie na niego patrzeć. Chciałaby mieć przed oczami ten nieustający rytm życia - jego smutny koniec i radosny początek. Ten obraz chciała mieć u siebie, jeśli to będzie możliwe. Wartość każdego z tych płócien całkowicie ją przytłaczała.

Wytarła oczy.

- To pani, pani Frasier? Słyszeliśmy, że miała pani wypadek i że jest pani w szpitalu, i to w ciężkim stanie. Dobrze się pani czuje? Tak szybko doszła pani do siebie? Może zechce pani usiąść? Podać wody?

Odwróciła się do pana Monka, który właśnie stanął w drzwiach. Wydał się jej jeszcze bardziej spięty niż przy pierwszym spotkaniu. Miał na sobie elegancki, ciemnoszary wełniany garnitur, białą koszulę i granatowy krawat.

- Miło mi pana widzieć - powiedziała. - Pogłoski o moim ciężkim stanie są mocno przesadzone. Dobrze się czuję, proszę się niczym nie kłopotać.

- Wspaniała wiadomość. Czy doktor Frasier jest tu z panią? Jest jakiś problem?

- Nie, nie ma żadnego problemu - odrzekła Lily. - Ostatnie miesiące były trudne, ale teraz już wszystko jest w porządku. Proszę mi powiedzieć, który z tych obrazów najbardziej się panu podoba?

- Decyzja - odparł pan Monk bez wahania.

- Mnie też się bardzo podoba - przyznała Lily. - Ale czy nie uważa pan, że jest trochę przygnębiający?

- Przygnębiający? W żadnym wypadku. Ja nie popadam w przygnębienie, pani Frasier.

- Pamiętam tę chwilę, kiedy powiedziałam babci, że ten obraz bardzo mi się podoba.

Miałam wtedy szesnaście lat i byłam bardzo zmartwiona. Straciłam mnóstwo pieniędzy na zakładach Giants przeciwko Dallas. Babcia roześmiała się i pożyczyła mi dziesięć dolarów. Nigdy tego nie zapomniałam. Oddałam jej dług w następnym tygodniu, kiedy banda głupców założyła się, że Nowy Orlean pobije San Francisco.

- Czy pani mówi o jakichś wydarzeniach sportowych, pani Frasier?

- Tak, o futbolu. - Uśmiechnęła się do niego. - Przyszłam tu, żeby zawiadomić pana, że wyprowadzam się stąd i wracam do Waszyngtonu. Obrazy Sarah Elliott zabieram ze sobą.

- Ależ pani Frasier - powiedział, patrząc na nią jak na wariatkę. - Chyba jest pani zadowolona z naszej ekspozycji i starań, jakimi, otaczamy te obrazy. Wykonujemy wszystkie drobne zabiegi konserwatorskie, nigdy nie zawracamy pani głowy...

- Panie Monk - powiedziała, dotykając lekko jego ramienia - uważam, że wywiązaliście się z tego zadania wspaniale. Chodzi tylko o to, że ja się przeprowadzam, a obrazy jadą razem ze mną.

- Przecież Waszyngtonowi nie potrzeba już więcej dzieł sztuki! Mają ich tyle, że nie wiedzą, co z nimi robić. Trzymają mnóstwo pięknych rzeczy w magazynach i nikt ich nie ogląda.

- Bardzo mi przykro, panie Monk. Piękne oczy kuratora zabłysły.

- W porządku, pani Frasier, ale jestem przekonany, że nie omówiła pani tej sprawy z doktorem Frasierem. Przykro mi, ale nie mogę pani wydać żadnego z tych obrazów. On nimi zarządza.

- Co to znaczy? Przecież pan wie, że obrazy należą do mnie.

- No tak, ale decyzje zawsze podejmował doktor Frasier i sam się wszystkim zajmował. Ponadto, pani Frasier, wszyscy tu wiedzą, że nie jest pani zdrowa...

- Lily, co ty tu robisz? Miałaś leżeć w łóżku.

Dillon i Sherlock pojawili się nagle za plecami pana Mońka.

- Przyszłam, żeby powiedzieć panu Monkowi, że wyjeżdżam do Waszyngtonu i zabieram obrazy ze sobą. Niestety, on twierdzi, że jestem wariatką, o czym wszyscy wiedzą, i tylko doktor Frasier może podejmować decyzje w tej sprawie, a więc pan Monk nie wyda mi obrazów.

- Ależ, pani Frasier, nie to miałem na myśli...

Savich postukał go lekko po ramieniu. Kurator odwrócił się do niego.



- Obrazy nie mogą zostać wydane mojej siostrze? Czy byłby pan łaskaw nam to wyjaśnić, panie Monk? Jestem Dillon Savich, brat pani Frasier, a to jest moja żona. O co tu chodzi?

Pan Monk był zszokowany. Cofnął się o krok.

- Powiedziano mi, że pani Frasier nie jest w pełni władz umysłowych i dlatego doktor Frasier sprawuje kontrolę nad tymi obrazami. Jest jej mężem, więc ma do tego prawo. Dowiedzieliśmy się też, że pani Frasier miała wypadek, który zresztą sama spowodowała. Krążyły słuchy, że tego nie przeżyje i doktor Frasier odziedziczy obrazy, które na zawsze pozostaną w naszym muzeum.

- Ja żyję, panie Monk.

; - Wiem o tym, pani Frasier. Jednak faktem jest, że nie jest pani w wystarczająco dobrym stanie, żeby móc sprawować kontrolę nad tak kosztownymi i unikatowymi dziełami sztuki.

- Mogę pana zapewnić - wtrącił Savich - że pani Frasier jest w pełni władz umysłowych i jest uprawniona do swobodnego dysponowania swoimi obrazami. Chyba że posiada pan orzeczenie sądowe, że jest przeciwnie?

Pan Monk speszył się, ale szybko doszedł do siebie.

- Orzeczenie sądowe, tak, tego właśnie trzeba!

- Dlaczego? - spytał Savich.

- Sąd mógłby zdecydować, czy ona jest w stanie podejmować tak ważne decyzje.

Sherlock poklepała go po ramieniu.

- Hm... ma pan ładny garnitur - powiedziała. - Przykro mi, panie Monk, ponieważ widzę, że to pana wyprowadza z równowagi, ale ona nie musi się niczym przed panem wykazywać. Sądzę, że mógłby pan próbować uzyskać orzeczenie, że Lily nie jest w pełni

władz umysłowych, ale przegrałby pan sprawę, a miejscowe gazety miałyby o czym pisać.

- Och, nie, nigdy bym tego nie zrobił. Przypuszczam, że wszystko jest w porządku, muszę jednak zatelefonować do doktora Frasiera. On się wszystkim zajmował, a z panią Frasier nie rozmawiałem od czasu, jak sprowadzono tu obrazy.

Savich wyjął portfel i pokazał panu Monkowi swój dowód tożsamości.

- Może pójdziemy do pana biura i załatwimy ten telefon? Oczywiście Savich pokazał kuratorowi swoją odznakę FBI.

Pan Monk przełknął ślinę i obrzucił Lily nienawistnym spojrzeniem.

- Chodźmy - powiedział tylko.

- W porządku - stwierdził Savich. - Możemy też omówić sprawę transportu i ubezpieczenia, czym doktor Frasier nie musi się już zajmować. Znam się na tym, panie Monk, bo sam posiadam osiem obrazów Sarah Elliott.

- Chciałby pan to teraz załatwić, panie Savich? Savich skinął głową.

- Sherlock - zawołał, wychodząc - zaczekaj tu razem z Lily, a ja z panem Monkiem sfinalizuję tę sprawę.

- Mam nadzieję, że ten biedak się nie rozplacze - zauważyła Lily. - Wybudowali specjalne pomieszczenie, chyba za pieniądze Elcotta i Charlotte Frasierów. To miły gest z ich strony.

- Tak. Tutaj już wiele osób oglądało twoje obrazy. Teraz niech się trochę nimi nacieszą mieszkańcy Waszyngtonu. Zastanów się, gdzie je będziesz chciała umieścić. Nie musisz się spieszyć, niech same muzea o nie powalczą.

- Odczułam ogromną ulgę., że one nadal tu są że nie patrzę na gołe ściany, bo ktoś zdążył ukraść obrazy. Dlatego tu jestem. Przyszło mi do głowy, że jeśli Tennyson ożenił się ze mną dla obrazów, to już może ich tu nie być.

Sherlock zaczęła, aż Lily usiądzie obok niej.

- My też nie chcieliśmy czekać - powiedziała, rozglądając się dokoła. - Ile tu piękna.

Ono jest w twoich genach, Lily, zarówno twoich, jak i Dillona. Ty rysujesz wspaniałe komiksy, a Dillon pięknie rzeźbi w drewnie. Wyrzeźbił Seana, niedługo po jego urodzeniu, w mięciutkim różanym drewnie. Ile razy patrzę na tę rzeźbę albo jej dotykam, czuję się szczęśliwa, że Dillon jest obecny w moim życiu. Zaczynam być zbyt uczuciowa, a to do niczego nie prowadzi. Co takiego miałam powiedzieć? Już wiem, że talent waszej babki przejawia się u was obojga, chociaż w odmienny sposób.

- A twój talent, Sherlock? Pięknie grasz na fortepianie. Mogłabyś koncertować, gdyby twojej kariery nie przerwała śmierć siostry. Chciałabym posłuchać twojej gry, kiedy wrócimy do Waszyngtonu.

- Dobrze, zagram dla ciebie - przyrzekła Sherlock. - Wiesz co, Lily, bardzo się bałam, że Tennyson i jego ojciec mimo wszystko ukradli te obrazy, a ciebie nie zawiadomiono pod pretekstem, że jesteś ciężko chora.

- Przypuszczam, że oni mieli jeszcze inne plany, ale wydarzenia potoczyły się niespodziewanie szybko.

- Mieli na to czas, lecz z drugiej strony, gdyby obrazy nagle zniknęły, to Sing Sing szybko otworzyłby dla nich swoje bramy. Sądzę, że mieli zamiar je sprzedać po twojej śmierci, kiedy stałyby się prawną własnością Tennysona.

- Po mojej śmierci - powtórzyła Lily. - Trudno uwierzyć, że ktoś może pragnąć czyjejś śmierci, żeby przejąć cudzą własność. To naprawdę podłe.

- Tak. To wyjątkowo podłe.

- Jestem zaszokowana, że Tennyson mnie zdradził, a jego ojciec też pewnie maczał w tym palce. Nie mam jednak zamiaru rozpaczać. Mam raczej ochotę rozwalić mu nos i dołożyć

kilka kopniaków.

- To dobrze. - Sherlock przytuliła ją do siebie. - Jak się czujesz?

- Jestem spokojna, chociaż trochę mnie to boli. Wierzyłam w to, że go kocham, Sherlock, że chcę spędzić resztę życia razem z nim. Ufałam mu i z ufnością powierzyłam jego opiece swoją córkę.

- Wiem, Lily, wiem.

Lily opanowała się i uśmiechnęła do szwagierki.

- Powiem ci coś ciekawego. Remus nie dawał mi rano spokoju, więc pojechałam do sklepu, żeby kupić przybory do rysowania. A potem zdarzyła się dziwna historia. Wsiadłam do pustego autobusu, a tam napadł na mnie jakiś młody facet.

Sherlock szybko zamrugła i otworzyła usta.

- Nareszcie cię tak zaskoczyłam - zaśmiała się Lily - że aż zabrakło ci słów!

- To mi się wcale nie podoba, Lily. Opowiedz mi wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami.

W drzwiach stanął pan Monk.

- Skontaktuję się z naszymi prawnikami - oznajmił - którzy przygotowują dla pani dokumenty do podpisu. Już mówiłem panu Savichowi, jak zapakujemy obrazy do przesyłki. Musi nas pani poinformować, gdzie mają być dostarczone. Razem z obrazami pojedzie dwóch strażników. To dość skomplikowana operacja, konieczna dla zapewnienia bezpieczeństwa dziełom sztuki. Zawiadomię panią kiedy dokumenty będą gotowe. Czy pani zamierza szybko stąd wyjechać?

- Dość szybko, panie Monk. - Lily podniosła się wolno, czując, że bolą ją szwy. -

Przykro mi, ale nie mogę zostawić tu obrazów.

- Szkoda. Doktor Frasier powiedział mi przez telefon, że się pani z nim rozwodzi i w

związku z tym on nie ma już prawa decydować o losie obrazów.

- Cieszę się, że nie miał w zanadrzu żadnych nieczystych gier - powiedziała Lily.

To stwierdzenie wyraźnie zakłopotало pana Mońka.

- On jest równie szlachetnym człowiekiem jak jego szacowni rodzice.

- Wiem, że wiele osób tak uważa - skwitowała Lily. - Tak, rozwodzimy się, panie Monk.

- Jaka szkoda. Tak krótko byli państwo małżeństwem. A kilka miesięcy temu straciła pani swoją małą córeczkę. Mam nadzieję, że podejmuje pani tę decyzję z pełną jasnością umysłu.

- Pan nadal powątpiewa w moje władze umysłowe, panie Monk?

- Wydaje mi się, że działa pani zbyt pośpiesznie, nie przemyślawszy wszystkiego do końca - oświadczył z emfazą pan Monk. - Zostawia pani biednego doktora Frasiera, który tak panią kocha i pragnie pani dobra. Oczywiście, pani decyzja dotyka również boleśnie mnie i muzeum.

- Takie rzeczy się zdarzają prawda? Muszę powiedzieć, że doktor Frasier kocha moje obrazy, a nie mnie. Zatrzymałam się w Eureka w pensjonacie „Rusałka”. Proszę o wiadomość, kiedy będę mogła sfinalizować tę sprawę.

Lily obrzuciła pana Mońka ostatnim spojrzeniem. Stał w drzwiach sali poświęconej Sarah Elliott i wyglądał, jakby przegrał wszystkie pieniądze w pokera. Cóż, muzeum dobrze prosperowało przed pojawieniem się obrazów Sarah Elliott i będzie prosperować, kiedy ich zabraknie.

Kiedy schodzili po kamiennych stopniach gmachu, Lily opierała się ciężko na ramieniu Savicha, a Sherlock podtrzymywała ją z drugiej strony.

- Byłem ciekaw - odezwał się Savich - czy Tennyson będzie robił trudności. Na pewno

by tak było, gdybyś ty zadzwoniła do niego, Lily. Ale tym razem miał do czynienia z dwójką agentów federalnych, z których jeden jest twoim bratem.

Zatrzymał się nagle i chwycił Lily za ramiona.

- Nie jestem z ciebie zadowolony, Lily. Powinnaś była zostawić te sprawy mnie i Sherlock. Mogę się założyć, że naciągnęłaś sobie szwy i teraz wszystko cię boli.

- Tak - zawtórowała mu Sherlock. - Dillon ma rację. Wyglądasz, jakbyś zaraz miała się przewrócić.

Lily uśmiechnęła się do szwagierki - niewielkiej kobietki z masą rudych loczków i słodkim uśmiechem - która potrafiła powalić trzy razy większego od siebie mężczyznę.

Pięknie grała na fortepianie i bezgranicznie kochała jej brata. Beth miała trzy lata, kiedy oni brali ślub. Była taka szczęśliwa, że widzi wujka Dillona, i dumna ze swoich nowych skórzanych pantofelków.

- Wiesz, że ty i Dillon możecie kończyć za siebie zdania? - powiedziała. - Nie przejmujcie się mną. Jestem trochę osłabiona, ale spokojnie dojadę do pensjonatu. - Uściskała brata. - Wiesz co, Dillon? Postanowiłam sprawdzić swoje karty kredytowe.

- Co to ma znaczyć?

Ale Lily tylko się uśmiechnęła. Posadził ją ostrożnie na tylnym siedzeniu samochodu, położył jej poduszkę na brzuchu i zapiął pas. Dotknęła jego policzka.

- Cieszę się, że przyjechałaś do muzeum. Nie miałabym dość pieniędzy, żeby wrócić taksówką do pensjonatu.

Savich potrząsnął tylko głową, wsunął jeszcze rękę pod pas, żeby sprawdzić, czy nie uciska jej brzucha, usiadł za kierownicą i ruszył z parkingu.

- A teraz, Lily - powiedziała Sherlock, obracając się do niej z przedniego siedzenia - musisz nam wszystko opowiedzieć. Dillon też będzie chciał to usłyszeć. Opowiedz nam o

napastniku, który zaatakował cię dziś rano w tym pustym autobusie.

Savich omal nie wjechał na hydrant przeciwpożarowy.

Jedli lunch w małej meksykańskiej restauracji pod nazwą Ognista Tortilla, na

Chambers Street, w pobliżu pensjonatu, ponieważ Lily stwierdziła, że bardziej niż ból dokucza jej głód.

- Bardzo dobra salsa - powiedziała Lily, maczając kawałek meksykańskiego chipsa w sosie. - Nie za dużo pomidorów i nie za dużo chili, główne dania też powinny być dobre.

Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka głodna.

- Mów - ponaglił Savich.

Opowiedziała im o kierowcy autobusu, który miał słuchawki na uszach i podskakując na siedzeniu w takt muzyki, tłumaczył jej, że autobus jest pusty, bo wszyscy poszli na ważny pogrzeb. Mówiła o młodym człowieku z trzema kolczykami w lewym uchu i o ostrzu jego noża, które omal nie przeszło jej serca.

- Przypuszczam, że zorientowałaś się, że to nie był zwykły złodziej.

- Zachowywał się jak złodziej, trudno mi powiedzieć, nikt dotąd mnie nie napastował.

Dopiero kiedy wyciągnął nóż i zobaczyłam wyraz jego oczu, zrozumiałam, że to może oznaczać mój koniec. Wtedy zaczęłam się bronić, użyłam wszystkich chwytów, których mnie nauczyłeś, Dillon. Wydawało mi się, że słyszę twój głos, jak mówisz: „Skul się, bądź malutka” i tym podobne. Uderzyłam go zaciśniętą pięścią, potem poprawiłam w klatkę piersiową, a na koniec walnęłam go otwartą dłonią w ucho. Niestety, pozbierał się jakoś, wyskoczył z autobusu i uciekł. Niezłe go poturbowałam, Dillon, naprawdę dostał za swoje.

Była tak dumna z siebie, że miał ochotę ją przytulić, ale nie mógł się jeszcze otrząsnąć z przerażenia. Przecież ten facet mógł ją zabić!

- Wzywałaś policję? - spytał po chwili. Lily potrząsnęła głową.

- Nie, chciałam jak najszybciej wrócić do pensjonatu. Potem pomyślałam o obrazach i natychmiast pojechałam do muzeum. Dlaczego myślisz, że to nie był złodziej?

- Jestem tym wstrząśnięty, Lily - powiedział Savich. - To na pewno nie był złodziej.

Pusty autobus, facet rzuca na dzień dobry, że chce ci zabrać portfel, a potem wyciąga nóż. To złodziej? Nie, Lily, ja w to nie wierzę.

- Pozostaje pytanie - zauważyła Sherlock, pogryzając chipsa i popijając mrożoną herbatę - kto go znalazł i skłonił do tak szybkiego działania. Dopiero wczoraj wieczorem powiedziałaś Tennysonowi, że od niego odchodzisz. Ta szybka akcja bardzo mnie dziwi.

Tennyson, jego ojciec czy jeszcze ktoś, kto maczał w tym palce - to przecież nieprofesjoniści, a jednak udało się im błyskawicznie nasłać na ciebie tego faceta. Musiał obserwować pensjonat, pojechał za tobą do sklepu, wyprzedził cię i wsiadł do autobusu na następnym przystanku. To była dobrze zaplanowana i dobrze wykonana akcja, ale - dzięki Bogu - nieudana.

- Nie wiedzieli, czego nauczył mnie Dillon. - Lily zatarła ręce, pochlapała się sosem i wybuchnęła śmiechem. - Prosimy o drugi koszyk chipsów! - zawołała do meksykańskiej kelnerki. - Sama sobie ocalałam życie, Dillon. To wspaniałe uczucie.

Savich doskonale ją rozumiał. Cieszyła się, bo wreszcie odzyskała kontrolę nad własnym życiem. Poklepał ją po plecach.

- Może powinniśmy sprawdzić, czy nie zgłosił się do szpitala. Mocno go pobiłaś?

- Dość mocno. To dobry pomysł. Nie pomyślałam o tym.

- Jemu płacą za myślenie o takich sprawach - powiedziała Sherlock, wyciągając komórkę. - Mamy wiele możliwości do wyboru.

- Miałem zamiar zadzwonić do gliniarzy - powiedział Savich. - Doszedłem jednak do wniosku, że nie powinniśmy się teraz zwracać do miejscowej policji. Chcę się porozumieć z



Clarkiem Hoytem z terenowego biura FBI w Eureka. Jeśli on zna tutejszych gliniarzy i uważa, że mogą nam pomóc, to wtedy wprowadzimy ich w sprawę. Tymczasem korzystajmy z pomocy własnych ludzi.

- Doskonały pomysł, Dillon - stwierdziła Sherlock, wybierając numer informacji. - To świetnie, że otworzyli tu biuro terenowe. Clark może błyskawicznie sprawdzić wszystkie szpitale. Lily, powiedz mi, w które miejsca uderzałaś tego faceta. Postaraj się dokładnie to opisać.

- Mogę to zrobić, a jak dacie mi serwatkę, to go wam narysuję.

**10**

*Eureka, Kalifornia Pensjonat „Rusalka”*

Savich usłyszał dźwięk melodyjki z *Króla lwa* i otworzył swój telefon komórkowy.

- Simon Russo? - powiedział. - Ten palant, który postrzelił się w stopę moim SIG Sauerem? - Roześmiał się i słuchał dalej.

Po chwili sam zaczął mówić. Szybko się zorientował, że Simon nie jest zachwycony tym, co mu powiedział, że wcale mu się to nie podoba. O co tu, u diabła, chodzi? - zastanawiał się, słuchając uważnie słów Simona.

- Posłuchaj, Savich - mówił Simon - dopilnuj, żeby obrazy twojej babki dotarły bezpiecznie do Waszyngtonu. Zrób to natychmiast, nie pozwól kuratorowi grać na zwłokę. Nie zaniedbuj środków bezpieczeństwa, ale działaj szybko. Kiedy będą już w Waszyngtonie, ja natychmiast tam przyjadę. Chcę je zobaczyć. To bardzo ważne, żebym je zobaczył.

Savich ściągnął brwi. Co to mogło znaczyć?

- Simon, wiem, że lubisz obrazy mojej babki. Podarowała ci twój ulubiony obraz, kiedy skończyłaś studia, ale nie musisz chyba zaraz przyjeżdżać do Waszyngtonu, żeby je oglądać.

- Muszę - stwierdził Simon i wyłączył się.

Sherlock stała w drugim rogu sypialni, trzymając w ręku swoją komórkę.

- Kochanie! - zawołał - bardzo dziwna sprawa. Simon nie może się doczekać, kiedy zobaczy osiem obrazów Lily. Jest strasznie tajemniczy, niczego mi nie wyjaśnił, mówi tylko, że musi natychmiast zobaczyć obrazy, kiedy tylko znajdą się w Waszyngtonie.

Sherlock nie odezwała się. Ogarnął go strach. Jezu, ona była w szoku. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną, miała rozszerzone źrenice i była przeraźliwie blada. Podbiegł do niej i przytulił ją do siebie.

- Co się stało? Powiedz mi, co się stało. Chodzi o Seana, prawda? Och Boże, coś się stało naszemu chłopcu?

Potrząsnęła tylko głową, nie mogąc wymówić słowa.

- Proszę cię, Sherlock, odezwij się. - Savich lekko nią potrząsnął. - Co się stało?

Z trudem przełknęła ślinę i wykrztusiła:

- Z Seanem wszystko w porządku. Zadzwoiłam do biura i zaraz usłyszałam wrzask Olliego, że musi z nami porozmawiać. Och, Boże, Dillon, Ollie powiedział, że Tammy Tuttle wstała z łóżka i wyszła z więziennego oddziału szpitala Patterson - Wright.

- To niemożliwe. - Savich z niedowierzaniem pokręcił głową. - Takie rzeczy się nie zdarzają. Wszyscy w szpitalu wiedzieli, że ona jest bardzo niebezpieczna. - Spoglądał na żonę, nie mogąc jeszcze w to uwierzyć. - Przebywała na oddziale więziennym, była dobrze strzeżona. Wszyscy wiedzieli, że ta kobieta jest szalona. Nie mogła tak sobie wyjść.

- Jutro albo pojutrze mieli ją przywiązać pasami do łóżka, gdyby uznali, że jest już na tyle sprawna, że może stać się niebezpieczna. Poza tym zaszła jakaś omyłka w dyżurach strażników. Ona tylko czekała na okazję, a kiedy ta się nadarzyła, znokautowała pielęgniarkę i zabrała jej uniform. Dobrze, że jej nie zabiła. Ale wyszła ze szpitala.

- Nie minął jeszcze tydzień, jak amputowano jej rękę. Miała siłę powalić pielęgniarkę?

Oni tam są przyzwyczajeni do niebezpiecznych pacjentów, przechodzą specjalne szkolenie.

Na litość boską, przecież ona ma tylko jedną rękę!

- Jak widać, nikt nie przypuszczał, że odzyskała siły, więc kiedy wynikło to

zamieszanie z dyżurami strażników, nikt się tym specjalnie nie przejął. Nikt też nie odkrył jej

nieobecności do czasu, kiedy przyszła inna pielęgniarka, żeby zrobić jej zastrzyk, i znalazła

swoją koleżankę w szafie - rozebraną i związaną. Przypuszczają, że ona ma przynajmniej

dwie godziny przewagi.

Savich otrząsnął się z szoku. Zaczął myśleć logicznie.

- No dobrze. Gdzie mogła pójść? Czy są jakieś poszlaki?

- Ollie mówi, że szuka jej więcej policjantów niż przy innych obławach. Wszyscy

wiedzą, jak bardzo jest niebezpieczna. - Sherlock odchrząknęła. - Dillon, tu chodzi jeszcze o

to, co widziałeś w stodole, o ghule.

Przytulił ją jeszcze mocniej, jej loczki załaskotały go w policzek.

- Już wiem, co powinienem zrobić. Porozmawiam z Seanem, posłucham jego

gaworzenia. Ten malec jest prostolinijny i szczery, a tego właśnie nam teraz trzeba, dużej

dawki prostoty.

Nie powiedział, że chciał się upewnić, czy synkowi nie grozi żadne

niebezpieczeństwo. Jeśli ghule rzeczywiście istniały, a Savich był o tym głęboko przekonany,

to stanowiły niewyobrażalne zagrożenie. Czy FBI uświadomi ludziom, którzy poszukują

Tammy Tuttle, że ona ma współników? A może zignorują wszystko, co im powiedział?

Rozmawiali po kolei z synkiem, który tym razem nie jadł krakersa, tylko banana.

Potem zadzwonili do Olliego, żeby się dowiedzieć, czy ma już jakieś nowe wiadomości.

- Tak, mam - powiedział Ollie Hamish - ale to nie są dobre wiadomości. - Sherlock

widziała go oczami wyobraźni, jak siedzi na obrotowym krześle, okręcając je z wolna, zdenerwowany i wytrącony z równowagi. - Tammy Tuttle zamordowała nastolatka w pobliżu Cevy Chase w Maryland. Do jego ciała przyczepiła karteczkę, adresowaną do ciebie, Savich.

- Przeczytaj mi to, Ollie.

- To tak leci: *Dopadnę ciebie, oberwę ci rękę i ode tnę ci głowę, ty pieprzony morderco. Potem oddam cię ghulom.*

- Bardzo zabawne - stwierdził Savich. - Czy napisała ten liścik tylko do mnie?

- Tak, co oznacza, że zna twoje nazwisko. Pewnie słyszała, jak rozmawiano o tobie w szpitalu. Zostawiła odciski palców na papierze i kopercie, jak widać zupełnie się tym nie przejmowała. Jeszcze coś, na miejscu zbrodni znajdował się czarny krąg, a chłopiec leżał w środku. Złapiemy ją, Savich. Wszyscy są wstrząśnięci. To był makabryczny widok. Ten biedny dzieciak miał dopiero trzynaście lat.

- Czarny krąg - powtórzył Savich. - Tammy wzywała ghule, żeby przyszły, bo chłopcy są już w kręgu.

- Savich, do tej pory łudziłem się jeszcze, że w tej stodole miałeś jakieś chwilowe omamy, ale ciało tego chłopca było w takim stanie, że nie mogła tego dokonać kobieta z jedną ręką. Możliwe więc, że te stwory, te ghule, miały w tym swój udział. Jimmy Maitland podniósł tę kwestię. Szefostwo zwołało nawet zebranie, żeby to przedyskutować. Doszli do wniosku, że to, co widziałeś w stodole, to były słupy powietrza.

- Jeśli pan Maitland będzie chciał się ze mną porozumieć, to wie, gdzie mnie znaleźć.

Teraz trzeba się zainteresować osobą Marilyn Warluski.

- Szukaliśmy jej. Już dawno się wyprowadziła i nikt nie wie, dokąd.

- MAX odkrył, że jej były chłopak mieszka w Bar Harbor, w stanie Maine. Nazywa się Tony Fallon. Sprawdźcie, czy jej tam nie ma. Dziewczyna może coś wiedzieć. Tammy

musi gdzieś znaleźć kryjówkę, a Marilyn pozwoliła jej i jej bratu korzystać ze swojej stodoły.

Czy Tammy ukradła już jakieś pieniądze?

- W szpitalu nie, a o reszcie jeszcze nie wiemy. Mieliśmy też kilkanaście meldunków o skradzionych samochodach. To też sprawdzamy.

- OK. Ollie, znajdź Marilyn i wy ciśnij z niej, co się tylko da. Ty powinieneś się nią zająć, bo wiesz o tej sprawie więcej niż inni.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, Savich. Cieszę się, że twoje nazwisko nie figuruje w książce telefonicznej i twój numer telefonu jest zastrzeżony. Mało prawdopodobne, żeby ona potrafiła cię odnaleźć, ale musisz być ostrożny.

- Możesz być o to spokojny, Ollie.

- OK. Jak stoją sprawy Lily?

- Udało się jej unieszkodliwić faceta, który próbował ją zabić w pustym autobusie, jakieś dwie godziny temu. Clark Hoyt, z nowego biura terenowego w Eureka, właśnie sprawdza wszystkie szpitale. Lily narysowała jego portret, a porucznik Dobbs z Komendy Policji w Eureka rozpoznał w nim miejscowego bandziora, najemnego mordercę, który zabiłby własną matkę, gdyby mu za to dobrze zapłacono. Nazywa się Monie Jones. Zrobili na niego obławę. To bardzo młody chłopak, niedawno skończył dwadzieścia lat.

- Duże kłopoty na obu wybrzeżach - powiedział Ollie. - Nie ma lekko na tym świecie, prawda?

Lily spała trzy godziny - spokojnie, bez koszmarów - otworzyła oczy i zobaczyła, że przy jej łóżku siedzi brat i przy świetle lampki przegląda jakieś papiery.

Natychmiast podniósł głowę.

- Szybki jesteś. Ledwie zdążyłam otworzyć oczy, a już wiedziałeś, że się obudziłam.

- Sean tak mnie wyćwiczył. Kiedy tylko ziewnie albo mruknie, ja i Sherlock od razu

zrywamy się na równe nogi.

Lily uśmiechnęła się lekko, chociaż niezbyt dobrze się czuła. Bolały ją zębra i była okropnie wyczerpana - to był rzeczywiście ciężki dzień. Rano cieszyła się, że znowu będzie rysować Remusa, potem omal nie straciła życia, a jeszcze później udało się jej odzyskać obrazy. Tylko lunch w meksykańskiej restauracji pomógł jej nabrać sił.

- Dillon, co czytasz?

- Artykuły, które wyszukał MAX na temat nadnaturalnych zjawisk. Szukam opisów zbrodni, podobnych do działań rodzeństwa Tuttle, i czegoś, co mogłoby przypominać ghule.

- Powiedz mi coś więcej o tych ghulach.

- Były tam dwa wyraźne białe stożki, które się czasami wzajemnie przenikały. Możesz sobie wyobrazić, jakie to robiło wrażenie na chłopcach, których Tammy i Timmy Tuttle nazywali małolatami. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego przerażenia. Ja też byłem zszokowany. Tammy Tuttle zaczęła wzywać ghule. Wołała, żeby wzięły swoje noże i siekiery, bo czekają na nich przysmaki. Chłopcy chcieli wypełznąć z kręgu, a wtedy Tammy wyjęła nóż, żeby ich przygwoździć do podłogi. Strzeliłem do niej i prawie odstrzeliłem jej ramię. Timmy wyciągnął broń, nie celował do mnie, tylko do chłopców, więc nie miałem wyboru i musiałem go zabić. Wtedy jeden z tych białych stożków zaczął się do nas zbliżać i też do niego strzeliłem. Czy go uszkodziłem? Nie mam pojęcia. Kiedy wyciągnąłem chłopców z kręgu, oba białe stożki wyleciały ze stodoły. Ludzie, którzy stali na zewnątrz, nie widzieli ich. Zobaczyli je tylko chłopcy, ja i Tammy, która je wzywała.

- Mój Boże, to przerażające.

- Bardziej przerażające, niż to sobie możesz wyobrazić.

- Czy ofiary tych ghuli musiały znajdować się w kręgu? - spytała Lily.

- To dobre pytanie. Myślę, że tak. Z drugiej strony, to mógł być tylko taki rytuał,

wymyślony przez rodzeństwo Tuttle. Nie widziałem jednak, żeby ghule miały noże i siekiery.

Nie rozumiem, dlaczego Tammy o tym mówiła. Tylko ona miała nóż.

- Może tylko dramatyzowała sytuację?

- Może, ale ja w to nie wierzę - powiedział Savich, myśląc o straszliwie okaleczonych zwłokach ostatniej ofiary.

Ktoś zastukał do drzwi.

- Pospiesz się, Dillon, otwórz drzwi - rozległ się głos Sherlock.

Weszła, trzymając w rękach trzy tace, jedną na drugiej.

- Przysłała nam to pani Blade - powiedziała, podając je Savichowi. - Poza

rozwiązywaniem krzyżówek lubi też gotować. Powiedziała, że jeśli nie możemy zejść do jadalni, to muszę to zabrać na górę.

Na tacach były dwie ogromne porcje spaghetti z sosem pomidorowym i kuleczkami mięsa, jeden talerz bez mięsa dla Savicha, duża miska pełna parmezanu, osiem kromek chleba czosnkowego i trzy ogromne miski sałatki pomidorowej z bazylią.

Zapanowała cisza; wszyscy zajęli się jedzeniem. Pierwsza odezwała się Lily.

- Po tym chlebie czosnkowym mogę zaśpiewać narodowy hymn Włoch. To jedzenie było prawie tak dobre jak nasz meksykański lunch.

- Wiesz co, Lily? Za to ja mógłbym codziennie jeść słoną tortillę z tak ostrym sosem, żebym poczuł, jak przepala mi podeszwy butów - stwierdził Savich. - Ciekaw jestem, czy twoi teściowie złożą nam dziś wieczór wizytę.

- Dlaczego mieliby to zrobić? - Lily zbladła.

- Ponieważ ich ptak, który znosi złote jaja, chce wyfrunąć z gniazda - powiedziała

Sherlock, zabierając tacę Lily. - Udało ci się ujść z życiem dziś rano w autobusie, a teraz stale jesteśmy przy tobie. Odwiedzą cię i spróbują przekonać, że Tennyson nie może bez ciebie

żyć.

- Chcą wystrzelić ostatni nabój. - Lily pokiwała głową.

- Właśnie tak - przyznała Sherlock.

- Wiedzą jednak - uśmiechnął się Savich - że nad ich małym ptaszkiem czuwają dwa duże kruki. Zobaczymy, jakich chwytów będą używać. Popatrz, jest jeszcze deser, który Sherlock przed nami schowała. Mój ulubiony mus czekoladowy.

Tennyson i jego matka pojawili się godzinę później, dokładnie o ósmej wieczorem.

Charlotte Frasier odwiedziła Lily w szpitalu tylko raz. Stała przy jej łóżku, powtarzając, że Lily musi koniecznie porozmawiać z kochanym doktorem Rossettim, świetnym lekarzem i wspaniałym człowiekiem, który na pewno jej pomoże. Ona tak bardzo się martwi o kochaną Lily, wszyscy się o nią martwią. Nikt nie chciał, żeby znowu próbowała się zabić. Lily patrzyła na nią bez słowa, nie znajdując odpowiedzi na tę skandaliczną przemowę. Tego wieczoru Charlotte była pięknie ubrana - miała na sobie wełniany kostium koloru czerwonego wina i jedwabną jasnoróżową bluzkę. W jej gęstych czarnych włosach nie było śladu siwizny - krótkie loczki swobodnie okalały jej twarz. To była młodzieżowa fryzura, ale było jej w niej ładnie. Miała bardzo białe, równe zęby, a wargi pociągnięte krwistoczerwoną szminką. Jak zawsze, bardzo dobrze się prezentowała.

Tennyson, nie zwracając najmniejszej uwagi na Savicha i Sherlock, podszedł do łóżka

Lily i chwycił ją za rękę.

- Wróć do domu, Lily.

- Witaj Tennyson, witaj, Charlotte. Czy mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia?

Dillon przewidywał waszą wizytę, mimo to jestem zdziwiona. - Lily uwolniła dłoń z uścisku

Tennysona. - A gdzie twój ojciec? Czy źle się czuje?

- Może uznali, że nie jest tu potrzebny - wtrącił się Savich swobodnym tonem. - Mają



nadzieję, że sami zdołają cię przekonać.

- Nie przekonasz mnie - Lily zwróciła się do swojego męża.

- Elcott też chciał przyjść, ale trochę dziś cierpi na niestrawność - odezwała się

Charlotte swoim silnym południowym akcentem. - Lily, wysłuchaj mnie. Mój syn bardzo cię kocha. Jest mężczyzną, więc trudno mu mówić prosto z serca. Kobiecie łatwiej to przychodzi, więc zapewniam cię w jego imieniu, że on bardzo cię potrzebuje.

- Jeśli chodzi o ścisłość, Charlotte, to Tennyson potrafi być bardzo elokwentny. Nie wydaje mi się, żeby jego serce miało z tą sprawą cokolwiek wspólnego. Nie, Charlotte, rzeczą, której Tennyson najbardziej potrzebuje, są moje obrazy.

- To nieprawda! - Tennyson odwrócił się gwałtownie i stanął przed Savichem. -

Nabiłeś jej głowę podejrzeniami, kłamstwami na temat mnie i mojej rodziny. Nie mam żadnej ukrytej motywacji! Kocham moją żonę, słyszysz? Nigdy bym jej nie skrzywdził. Mówię to z głębi krwawiącego serca! Dlaczego ty i twoja żona nie wróćcie do Waszyngtonu, żeby walczyć ze zbrodniarzami, za co wam płacą, i nie zostawicie w spokoju niewinnych ludzi? Nie płacą wam za rozbijanie kochającej się rodziny. Zostawcie nas, do diabła, w spokoju!

- To bardzo wzruszające przemówienie - uśmiechnęła się do niego Sherlock. Patrząc na drgający mięsień w jego policzku, wiedziała, że zamordowałby ją z największą rozkoszą.

- Ależ, moi drodzy, musicie się uspokoić - powiedziała Charlotte swoim jedwabistym głosem. - Lily, moja najdroższa, jesteś dorosłą kobietą. Mój Tennyson, podobnie jak twój brat, też jest opiekuńczy w stosunku do swojej młodszej siostry. Ale twój brat i jego żona przekroczyli pewne granice. Nie lubią mojego syna, choć nie rozumiem dlaczego. Rzucają oskarżenia, na które nie mają ani cienia dowodu. Absurdalne oskarżenia. Lily, jak możesz wierzyć w takie rzeczy?

- Nie nazwałabym tych oskarżeń absurdalnymi - wtrąciła Sherlock. - Ma pani tylko

rację, jeśli chodzi o dowody. Gdybyśmy mieli dowody, to wsadzilibyśmy go do więzienia.

- Dlaczego wciąż zatruwacie umysł biednej Lily? Dobrze wiecie, że ona nie jest zdrowa, a wy popychacie ją jeszcze w kierunku, z którego może już nie być powrotu.

- Mamo...

- Nie, Tennyson, mówię prawdę. Lily jest umyślowo chora. Musi wrócić do domu, żebyśmy mogli się nią zająć.

- Dziś rano jakiś młody facet próbował mnie zamordować - powiedziała głośno i wyraźnie Lily.

- Co? Och, Boże, nie!

Tennyson usiłował chwycić ją w ramiona, ale Lily oparła się o wezglowie i nie dała się podnieść.

- Nie, Tennyson. Zostaw mnie. Jak widzisz, to mu się nie udało. Dałam mu niezłą nauczkę. Gliniarze wiedzą, kim on jest. Odejdź ode mnie, bo moja bratowa gotowa cię ugryźć.

Sherlock roześmiała się.

- To prawda - powiedział Savich. - Ten facet nazywa się Morrie Jones. Mówi ci coś to nazwisko, Tennyson? Charlotte? Nie traciliście czasu, od razu zabraliście się do rzeczy. Gliniarze złapią go za chwilę i on im wszystko wyśpiewa. Wtedy będziemy już mieli dowód.

- To kolejne kłamstwo, Lily - powiedział Tennyson. - Ten facet musiał cię wziąć za kogoś innego albo, co jest bardziej prawdopodobne, był zwykłym złodziejem. Gdzie to się stało?

- To prawda, że mogłeś nie wiedzieć, gdzie on mnie zaatakuje. Wsiadł do miejskiego autobusu, który był zupełnie pusty, poza mną i kierowcą, ponieważ właśnie odbywał się jakiś ważny pogrzeb.

- Tak - westchnęła Charlotte. - Zmarł nasz drogi Ferdy Malloy, prawdopodobnie otruty przez żonę. Wszyscy to wiedzą, ale nikt, łącznie z koronerem, nie nalegał na sekcję zwłok.

- Tak, tak, ale to nie ma nic do rzeczy, mam. Ktoś chciał zrobić krzywdę Lily.

- Nóż sprężynowy oznaczał coś więcej niż tylko chęć zrobienia mi krzywdy -

powiedziała Lily. - Na szczęście Dillon nauczył mnie, jak mam się bronić.

- Może jednak - zaczął Tennyson swoim łagodnym, zawodowym głosem psychiatry - może ten młody człowiek tylko się tobą zainteresował, chciał, żebyś się z nim umówiła.

Doktor Rossetti uważa, że młoda kobieta, tak niepewna siebie jak ty, z zaćmionym umysłem, wyobraża sobie wiele różnych rzeczy, żeby tylko ukryć swoją chorobę...

Lily patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby się na jej oczach przeistaczał w jakiegoś bajkowego stwora.

- Jak mogłam myśleć, że cię kocham? Jesteś zwykłym debilem.

- Nie jestem debilem. Staram się tylko cię zrozumieć, sprawić, żebyś wróciła do rzeczywistości. Doktor Rossetti uważa...

Lily zaczęła się tak śmiać, aż w jej oczach ukazały się łzy.

- Niezły jesteś, Tennyson, ty i twój doktor Rossetti. Wasze terapie w połączeniu z lekami, które mi dawaliście, dały efekt, o który wam chodziło. Byłam tak wykończona psychicznie, że chciałam ze sobą skończyć. A więc ja wymyśliłam tego faceta, żeby uspić moje poczucie winy. Wiesz co, Tennyson? Ja już siebie o nic nie obwiniam.

- Lily, kochanie - odezwała się Charlotte - cieszę się, że to słyszę, właściwie...

Lily przerwała teściowej i gestem ręki wskazała Tennysonowi drzwi.

- Proszę, żebyście już sobie poszli - powiedziała. - Mam nadzieję, że żadnego z was już nigdy więcej nie zobaczę.

- Ja mam nadzieję, że jeszcze ich zobaczę - wtrąciła Sherlock. - Na sali sądowej.

- A twoja pierwsza żona, Tennyson? - odezwał się nagle Savich. - Nie przypuszczam, żeby najgorętszym życzeniem Lindy była kremacja jej zwłok.

Tennyson trząsł się z wściekłości i Sherlock była pewna, że zaraz rzuci się na jej męża, co byłoby wyjątkową głupotą z jego strony. Szybko podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nawet o tym nie myśl. Mnie nie dałbyś rady, a jestem dwa razy od ciebie mniejsza.

Nie sądzę, żebyś poradził sobie nawet z Lily, która pięć dni temu miała operację. Proszę cię, wyjdź i zabierz ze sobą swoją matkę.

- Lily, jestem zaszokowana zachowaniem twoich krewnych - stwierdziła Charlotte Frasier.

Kiedy wychodzili, Tennyson obrócił się w progu i spojrzał na Lily udręczonym wzrokiem.

- Spojrzenie odtrąconego filmowego kochanka - oceniła Sherlock. - Nie zrobił tego zbyt dobrze, ale się starał.

- Zauważyliście, jaki piękny, czarny golf miał na sobie Tennyson? - spytała Lily. - Dostał go ode mnie na gwiazdkę.

- Wiesz, Lily, co myślę? - Savich pokiwał głową. - Następnym razem, kiedy spodoba ci się jakiś facet, powinno ci się zapalić czerwone światełko. Poza tym będziemy musieli go wziąć na przesłuchanie.

- Myślałam o tym dziś rano. Chyba jestem zbyt łatwowierna. OK, koniec z przystojnymi mężczyznami, a właściwie w ogóle koniec z mężczyznami. Dillon, będę się zadawać tylko z nieciekawymi kurdupłami, wyłącznie na koleżeńskiej stopie.

To już przesada, pomyślała Sherlock, ale tymczasem niech tak będzie.

- Chciałabym to postanowienie opić szklanką piwa.
- Nie ma piwa - oznajmił Savich. - Jest mrożona herbata.
- Dzięki. - Lily napiła się herbaty i znowu opuściła głowę na poduszkę. - Ciekawa jestem, dlaczego mój teść się tu nie pokazał. Może uznali, że jego obecność zaszkodziłaby sprawie?
- Na pewno tak było. Zadziwia mnie tylko, że oni nie wiedzą, że sami też szkodzą sprawie.
- Nigdy jeszcze nie słyszałam tak czarującego południowego akcentu - powiedziała Sherlock, siadając na brzegu łóżka i głaszcząc Lily po rękę.
- Ona przeraża mnie o wiele bardziej niż Tennyson. Ale byłam twarda. - Lily uśmiechnęła się z zadowoleniem. - Nie miał pojęcia, że trzęsłam się ze strachu. Savich wziął ją delikatnie w ramiona i pocałował w czubek głowy.
- Kochanie, nie ma powodu, żebyś czuła przed nim strach. Byłem z ciebie dumny. Świetnie się trzymałaś. Musisz na zawsze zapomnieć o strachu. Pamiętaj, że czuwają nad tobą dwa buldogi. Nie bardzo rozumiem, co oni sobie wyobrażali - może myśleli, że coś wygrają, przychodząc tutaj? Nie zachowywali się zbyt pojednawczo. Czy są tacy głupi, czy jest w tym jakaś metoda?
- Mam nadzieję, że nie - powiedziała Lily, zamykając oczy. Zadzwoiła komórka Savicha.

## 11

*Waszyngton, trzy dni później*

Położ się do łóżka, Lily, tylko bez dyskusji. Wyglądasz, jakbyś się miała za chwilę przewrócić.

Lily uśmiechnęła się blado i nie zaprotestowała. Była słaba, a długa podróż samolotem

całkowicie ją wykończyła. Spała godzinę, obudziła się słysząc głosy Dillona i Sherlock, którzy rozmawiali z Seanem. Ściskali go i całowali tak długo, aż mu się to znudziło i zaczął wrzeszczeć. Pokój dziecinny przylegał do gościnnego, w którym leżała Lily. Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że z oczu płyną jej łzy. Wytarła je wierzchem dłoni.

Szybko zamknęła oczy, kiedy ktoś uchylił drzwi jej pokoju. Me miała teraz ochoty nikogo widzieć, chociaż kochała ich oboje, a oni tak bardzo się o nią troszczyli. Udawała, że śpi. Kiedy usłyszała, że zeszli na dół, wstała i poszła do dziecinnego pokoju. Sean spał, z kolankami podciągniętymi do góry; trzymał dwa palce w buzi. Był bardzo podobny do ojca, miał tylko marzycielskie niebieskie oczy matki. Pogłaskała go delikatnie po plecach. Rozplakała się, rozczulona widokiem tego maleństwa i na myśl o utracie Beth.

Wieczorem, siedząc nad talerzem lasagne, popatrzyła na brata pytającym wzrokiem.

- Dzwoniłeś do biura, Dillon? Znaleźli już Marilyn Warluski?

- Jeszcze nie - odrzekł Savich. - Znaleźli jej chłopaka, Tony'ego Fallona, ale on twierdzi, że nie miał z nią żadnego kontaktu. Jednak kilka osób w Bar Harbor poznało ją na fotografii. Niedawno ją tam widziano. Nasi ludzie znowu złożą wizytę Tony'emu i na pewno coś z niego wyduszą. Niedługo będziemy mieli jakąś wiadomość.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Sherlock. Uśmiechnęła się po chwili. - Szkoda, że nie mogłaś widzieć waszej matki, kiedy przyjechaliśmy po Seana - nie chciała go nam oddać.

Powiedziała, że obiecaliśmy jej, że zostawimy go na cały tydzień, a zabieramy go wcześniej.

„To nie w porządku”! - wołała, kiedy ruszaliśmy spod domu.

- Mama tak go rozpieszcza, że trudno go potem przyzwyczaić do normalnego funkcjonowania.

- Jestem pewna, że mama chciałaby mieć z nim stały kontakt, zajmować się nim w wyznaczone dni - powiedziała Lily.

- Ona ma własne życie - odrzekł Savich. - Sean przebywa z babcią dwa albo trzy razy w tygodniu i ten układ świetnie się sprawdza. Gabriella Henderson, niania Seana, spisuje się bardzo dobrze. Jest młoda i pełna energii, a on potrafi zamęczyć każdego.

Lily roześmiała się i popatrzyła na chłopca, który siedział w chodziku. Mógł nim jeździć po całym pokoju, a kiedy napotkał przeszkodę, zmieniał kierunek jazdy.

- To dziwne, Dillon. Nigdy nie mogłam sobie wyobrazić ciebie z dzieckiem - powiedziała Lily.

- Ja też sobie tego nie wyobrażałem - Savich uśmiechnął się i pomógł jej usiąść w fotelu - ale w moim wygodnym życiu pojawiła się nagle Sherlock i tak się sprawy potoczyły, zresztą bardzo szczęśliwie. Teraz musisz się dobrze wyspać, Lily, jesteś zmęczona po podróży.

- Ty i Sherlock też musicie być zmęczeni, chociaż tak dużo podróżujecie i jesteście agentami FBI...

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Savich ominął Seana, także kierującego się do drzwi. Na progu stał Simon Russo, którego Savich uważał za człowieka o niespożytej energii, zawsze zdecydowanie dążącego do celu.

- Simon, miło cię widzieć. Co tu robisz, do licha? Simon uśmiechnął się do przyjaciela.

- Mnie też miło cię widzieć, Savich. Przyjechałem obejrzeć obrazy. Gdzie one są? Nie tu, mam nadzieję. Nie masz odpowiednich zabezpieczeń, żeby przechowywać je w domu nawet przez jedną noc.

- Są w skarbcu, w Beezler - Wexler Gallery.

- To dobrze. Porozum się z nimi, żebym mógł je zobaczyć.

- Tak, wiem, ale może napiszesz się najpierw herbaty i zjesz kawałek szarlotki, którą upiekła moja mama.

- Nie chcę nawet słyszeć o tej twojej cholernej herbacie. Proszę o kawę, mocną, bez mleka. Potem będę mógł obejrzeć obrazy.

- Simon, wejdź wreszcie, przywitaj się z Sherlock i poznaj moją siostrę, Lily.

- Nie będę mógł dzisiaj obejrzeć obrazów? To w takim razie jutro z samego rana.

- Simon, opanuj się. Chodź do salonu. Zobaczcie, kogo tu przywiał wiatr. To Simon Russo.

Pierwszym wrażeniem Lily było to, że Simon Russo jest zbyt przystojny. Miał gęste czarne włosy, może trochę zbyt długie, był wyższy od jej brata i bardzo szczupły. Jego niebieskie oczy przypominały kolor zimowego nieba w San Francisco. Miał na sobie dzinsy, tenisówki, elegancką białą koszulę, żółto - czerwony krawat i tweedową marynarkę. Nie był ogolony, więc wyglądał jak gangster z akademickiego kampusu - dziwna kompilacja, ale tak go widziała.

Wyglądał również na człowieka, któremu nie jest obce niebezpieczeństwo. Lily nie zaufałaby mu za żadne skarby świata. Zapaliło się jej czerwone światełko. Nie, nawet nie będzie patrzeć na niego jak na mężczyznę. To ekspert, który z jakiegoś powodu chce obejrzeć obrazy Sarah Elliott. Jest przyjacielem Dillona, więc nie powinna się go obawiać, jednak na wszelki wypadek wcisnęła się głębiej w fotel.

- Simon! - Sherlock podbiegła do niego i mocno go objęła. Przytulił ją do siebie i pocałował jej włosy. Odsunęła się wreszcie i pocałowała go w szorstki policzek. - Niech mnie... ale się pospieszyłeś. Wiem, że nie przyjechałeś do nas, tylko do obrazów. Będziesz musiał z tym poczekać do rana.

Lily patrzyła, jak on znowu przytula jej szwagierkę i całuje jej włosy.



- Kocham cię, Sherlock. Chciałbym cię jeszcze całować, ale Dillon zabiłby mnie, gdybym stanął z nim do walki. Tylko raz udało mi się go pokonać, lecz wcale mi to łatwo nie przyszło, chociaż miał wtedy grypę. On nieczysto walczy. Boję się o moje piękne zęby.

- Jeszcze raz pocałujesz jej włosy, to zajmę się twoimi zębami - uprzedził Savich, krzyżując ręce na piersi.

- OK, skupię się na obrazach. Sherlock, chcę, żebyś wiedziała że ja pierwszy zacząłem się starać o twoje względy. - Znowu chciał ją pocałować, ale tylko ciężko westchnął. - No cóż, trudno.

Teraz jego szafirowe oczy zatrzymały się na Lily. Uśmiechnął się do niej - miał zbyt ładny uśmiech. Miała ochotę wstać z fotela i wyjść z pokoju. To był niebezpieczny mężczyzna.

- Dlaczego - spytała - tak panu zależy na zobaczeniu moich obrazów?

Savich popatrzył na nią, zachmurzony. Zadała to pytanie takim tonem, jakby miała ochotę wyrzucić Simona przez okno.

- Lily, kochanie - powiedział. - To jest Simon Russo. Dużo ci o nim opowiadałem. Pamiętasz, że mieszkaliśmy razem na ostatnim roku studiów?

- Chyba tak - odparła Lily. - Ale czego on chce od moich obrazów?

- Tego jeszcze nie wiem. On obraca się w świecie wielkiej sztuki. To jego pytałem, jaka jest teraz wartość rynkowa obrazów naszej babki.

- Pamiętam pana. - Lily zwróciła się do Simona. - Miałam szesnaście lat, kiedy przyjechał pan do nas z Dillonem. Było wtedy Boże Narodzenie, a wy byliście na ostatnim roku studiów. Dlaczego tak bardzo panu zależy na tym, żeby zobaczyć moje obrazy? Simon też ją pamiętał. Była wtedy sprytną nastolatką, która próbowała go naciąć na sto dolarów. Zapomniał już, o co chodziło - chyba to był totalizator piłkarski. Pamiętał

jednak, że wycyganiałaby od niego tę sumę, gdyby nie został wcześniej ostrzeżony przez jej ojca, który powiedział mu, by trzymał swoje pieniądze w portfelu.

Teraz wyczuł w jej głosie wyraźną nieufność. Dlaczego tak było? Nie znała go przecież, nie widzieli się od lat, ona też nie przypominała tamtej nastolatki. Nadal wyglądała jak księżniczka z bajki, ale ta dorosła księżniczka była przeraźliwie blada i miała sińce pod oczami. Była też zbyt chuda. Biła z niej niechęć, wyraźnie skierowana do niego.

- Czy coś panią boli? - spytał, robiąc krok w jej kierunku.

- Słucham? - Lily zamrugła i jeszcze głębiej wcisnęła się w fotel.

- Czy czuje pani ból? Wiem, że w zeszłym tygodniu miała pani operację.

- Nie - ucięła, patrząc na niego wrogim wzrokiem. Dopiero po chwili zorientowała się, że przecież ten człowiek nie dał jej żadnego powodu do tak nieprzyjaznego zachowania. Był przyjacielem jej brata, nie powinna obdarzać go taką dozą nieufności. Problem polegał jednak na tym, że był bardzo przystojny, ale to mogłaby mu darować. Po co tu przyjechał i dlaczego chciał obejrzeć jej obrazy?

Niech ją Bóg strzeże przed przystojnymi mężczyznami, którzy interesują się jej obrazami.

O co jej chodzi? - pomyślał Simon i podszedł do Seana, który zatrzymał swój chodziki z zapalem jadł krakersa.

- Cześć, bracie - powiedział, kucając obok chłopca. - Jeszcze ząbkuje? - spytał.

- Tak - odrzekła Sherlock. - Nie pozwól mu się dotykać, bo wysmaruje ci całą marynarkę.

Simon uśmiechnął się i podał Seanowi dwa palce. Sean szybko dokończył krakersa i odbił się nogami od podłogi. Chodziki uderzył w Simona, który niespodzianie upadł na siedzenie.

Roześmiał się, ukląkł i pogładził czarne włoski Seana.

- Będiesz niezłym zawadiaką, prawda, bracie? Już jesteś dobry, widzisz, udało ci się mnie przewrócić. Całe szczęście, że masz piękne niebieskie oczy matki, bo inaczej wszyscy by się ciebie bali, tak jak się boją twojego taty. - Obrócił się do Lily. - Czy to pani jest dzieckiem zamienionym przez krasnoludki, czy Savich?

- To ją zamieniły krasnoludki - roześmiał się Savich, podając Simonowi rękę, żeby wstał. - Mimo to jest bardzo podobna do naszej ciotki Peggy, która wyszła za mąż za bogatego biznesmena i żyje jak królowa w Brazylii.

- No dobrze - powiedział Simon. - Zobaczymy, czy będzie chciała odgryźć mi rękę. - Wyciągnął dłoń do Lily Frasier. - Cieszę się ze spotkania.

Zwyciężyły dobre maniery i Lily podała mu rękę. Miała gładką białą dłoń, ale na końcu palców wyczuł zgrabienia. Ściągnął brwi.

- Już sobie przypomniałem. Jest pani artystką, podobnie jak Savich.

- Mówiłem ci o niej, Simon. Jest autorką politycznego komiksu *Nieustraszony Remus*, który...

- Oczywiście, że pamiętam. Ostatni raz widziałem ten komiks w „Chicago Tribune”, ale już dość dawno.

- Tak, ten komiks ukazywał się w chicagowskiej gazecie przez rok. Potem wyjechałam stamtąd. Dziwię się, że pan to pamięta.

- To bardzo złośliwy komiks, ale szalenie zabawny. Te przekręty polityczne są tak prawdziwe, że zarówno demokraci, jak i republikanie mogą mieć z niego wiele uciechy. Czy można się spodziewać nowego Remusa?

- Tak - powiedziała Lily. - Jak tylko na nowo się urządzę, zaraz zacznę go rysować.

Ale dlaczego tak panu zależy na tym, żeby zobaczyć moje obrazy?

Sean rzucił krakersa, spojrział na matkę i zaczął wrzeszczeć. Sherlock roześmiała się i wyjęła go z fotelika.

- Czas na kąpiel, kochanie? Już późno, chodźmy się wykapać i przebrać. Dillon, zrób kawę dla Lily i Simona, a ja niedługo wrócę z naszym małym księciem.

- Chętnie zjem tę szarlotkę - powiedział Simon. - Nie jadłem jeszcze kolacji.

Savich obrzucił Lily uważnym spojrzeniem i poszedł do kuchni.

- Dlaczego chce pan koniecznie obejrzeć moje obrazy? - spytała znowu Lily.

- Powiem pani, kiedy je już obejrzę, pani Frasier.

- Dobrze. Czym się pan zajmuje w świecie sztuki, panie Russo?

- Jestem pośrednikiem.

- Na czym to polega?

- Powiedzmy, że klient chce kupić konkretny obraz Picassa. Sprawdzam, gdzie on jest

- jeśli jeszcze tego nie wiem, a przeważnie wiem - i dowiaduję się, czy jest do sprzedania.

Jeśli tak, to kupuję go dla swojego klienta.

- A jeśli obraz jest w muzeum?

- Rozmawiam z ludźmi w muzeum, sprawdzam, czy jest jakiś obraz o podobnej wartości rynkowej, na który zgodziliby się zamienić ten upragniony przez mojego klienta.

Czasem to się udaje, jeśli muzeum bardziej chce mieć obraz, który mam do wymiany, niż ten, który już ma. Oczywiście, muszę się dobrze orientować w potrzebach wszystkich dużych muzeów, jak również głównych kolekcjonerów sztuki.

- Musi się pan również znać na nielegalnym handlu dziełami sztuki.

Powiedziała to obojętnym tonem, ale wyczuł, że ona mu nie ufa. Dlaczego? Pewnie boi się o swoje obrazy.

Usiadł na kanapie naprzeciwko niej, wziął koc i zrobił gest, jakby chciał ją okryć.

- Dziękuję - powiedziała Lily. - Jest mi trochę zimno. Nie, nie, niech go pan tylko zarzuci.

Simon okrył ją, mając świadomość, że ona nie życzy sobie jego bliskości.

- Oczywiście, że wiem o nielegalnym handlu - powiedział, wracając na kanapę. -

Znam wszystkich głównych graczy - złodziei, nieetycznych dealerów, najlepszych fałszerzy i kolekcjonerów. Niektórzy kolekcjonerzy mają prawdziwą obsesję na punkcie dzieła sztuki, które pragną posiadać. „Obsesja” to często używane określenie w tym biznesie. Chce pani jeszcze coś wiedzieć?

- Pan zna aferzystów, którzy zdobywają obrazy dla kolekcjonerów?

- Tak, niektórych znam, ale ja do nich nie należę. Wszystko załatwiam legalnie. Może pani w to wierzyć, ponieważ pani brat obdarza mnie pełnym zaufaniem. A on jest jednym z najbardziej nieufnych ludzi, jakich znam.

- Znać się bardzo długo. On mógł panu zaufać w dawnych latach, a teraz rzadko się widujecie.

- Proszę posłuchać, pani Frasier. Od piętnastu lat pracuję w tym biznesie. Przykro mi, jeśli miała pani złe doświadczenia z ludźmi ze świata sztuki, ale ja jestem uczciwy i nie bawię się w chodzenie po linie. Pewnie, że znam ciemną stronę tego interesu. Bez tej wiedzy nie odnosiłbym żadnych sukcesów.

- Z iloma obrazami mojej babki miał pan już do czynienia?

- Pewnie z kilkunastoma przez te wszystkie lata. Do moich klientów należą również muzea. Jeśli obraz należy do kolekcjonera - oczywiście, jeśli legalnie wszedł w jego posiadanie - a muzeum pragnie mieć ten obraz, to staram się odkupić go od niego. Wiem, co posiadają znani kolekcjonerzy, więc mogę również próbować handlu zamiennego. To dniała w obie strony, pani Frasier.

- Rozwodzę się, panie Russo. Proszę mnie tak nie nazywać.

- W porządku. Frasier to zresztą dość pospolite nazwisko. Jak mam się do pani zwracać?

- Wróć do panińskiego nazwiska. Może mnie pan nazywać Savich. Tak, znowu będę Lily Savich.

- To świetnie, kochanie - powiedział Savich, który właśnie stanął w drzwiach. -

Zlikwidujmy wszystkie pozostałości po Tennysonie.

- Tennyson? A co to za imię? Lily uśmiechnęła się do niego.

- Lord Alfred Tennyson był ulubionym poetą mojego teścia który mi powiedział, że imię Lord, czy też Alfred, nie byłoby dobre, więc został tylko Tennyson. Z kolei moja teściowa nienawidzi tego poety.

- Może Tennyson, ten poeta - nie mówię o pani przyszłym eks - mężu - jest trochę zbyt naturalistyczny.

- Nigdy nie czytał pan Tennysona - stwierdziła Lily.

- Ma pani rację. - Simon skinął głową i uśmiechnął się czarująco. - „Naturalistyczny” to nie jest dobre (skreślenie?)

- Nie wiem. Też go nie czytałam.

- Przyniosłem kawę i szarlotkę - powiedział Savich, podnosząc wzrok do góry i nadśluchując.

- Słyszę, jak Sherlock śpiewa Seanowi *Przybieżeli do Betlejem*. On uwielbia słuchać kolęd, kiedy się kąpie. Postarajcie się dogadać, a ja pójdę pośpiewać razem z Sherlock. Możesz mu zaufać, Lily.

Zostali sami. Lily słyszała, jak krople deszczu uderzają o szyby. Już wtedy, kiedy wylądowali w Waszyngtonie, było pochmurno i wiał silny wiatr.

Simon zaczął pić przyrządzoną przez Dillona kawę, westchnął głęboko i przymknął oczy.

- Savich robi najlepszą kawę na całym świecie. A sam rzadko ją pije.

- To ojciec nauczył nas parzyć kawę. Mówił, że gdyby miał kiedykolwiek znaleźć się w domu starców, to przynajmniej pod tym względem będzie mógł na nas liczyć. Mama nauczyła \ Dillona gotować, zanim pojechał do Bostonu na studia.

- Uczyła was oboje?

- Nie, tylko Dillona. - Zamilkła, słuchając dobiegającego z góry śpiewu. - Śpiewają teraz *Cichą noc*. To moja ulubiona kolęda.

- Ich głosy dobrze harmonizują. Jednak Savich najlepiej wypada w stylu country i western. Słyszała pani, jak śpiewa w klubie?

Potrząsnęła głową i napiła się trochę kawy.

- Może moglibyśmy kiedyś wszyscy pójść do Bonhomie Club i posłuchać, jak śpiewa?

Nie odezwała się.

- Dlaczego mi pani nie ufa, pani Savich? A może... nie lubi? Cokolwiek to jest.

Zanim odpowiedziała, obrzuciła go uważnym spojrzeniem i zjadła kawałek szarlotki.

- Wie pan co, panie Russo? Doszłam do wniosku, że jeśli Dillon ma do pana zaufanie, to ja też powinnam je mieć.

## 12

Raleigh Beezler, współwłaściciel Beezler - Wexler Gallery - z siedzibą w

Waszyngtonie, Nowym Jorku i Rzymie - popatrzył na Lily udręczonym wzrokiem. Tylko pan

Monk z muzeum w Eurece miał równie smutny wzrok. Ucałował końce palców i posłał ten pocałunek obrazom Sarah Elliott.

- Ach, pani Frasier, to są wyjątkowe płótna. Nie, proszę mi tego nie mówić.

Dowiedziałem się już od pani brata, że nie mogą tu zostać. Wiem o tym i zalewam się łzami.

Te obrazy muszą być w muzeum, żeby tabuny niedomytych osobników w wygniecionych szortach mogły się na nie pogapić. Ale, rozumie pani, że na tę myśl coś mnie ściska za gardło.

- Rozumiem, panie Beezler. - Lily poklepała go lekko po ramieniu. - Jestem jednak przekonana, że ich miejsce jest w muzeum.

Savich usłyszał znajomy głos, który coś tłumaczył Dyrkanie. Ta dwudziestodwuletnia, wystrzałowa dziewczyna została zatrudniona w galerii - jak chętnie przyznał Raleigh - żeby skłaniać odwiedzających ją dżentelmenów do łatwiejszego rozstawania się z pieniędzmi.

- Chodź tutaj, Simon! - zawołał.

Lily zerknęła w stronę otwartych drzwi i zobaczyła, jak Simon Russo wbiega pędem do dużego skarbca galerii. Zatrzymał się nagle i gwałtownie wciągnął powietrze na widok ośmiu obrazów Sarah Elliott, wyeksponowanych na sztalugach na tle czarnego aksamitu.

- Mój Boże - powiedział.

Przesuwał się wolno od obrazu do obrazu, przypatrując się im uważnie.

- Pamiętasz, Savich, że kiedy skończyłem studia, twoja babka podarowała mi *Ostatnie namaszczenie*. To był mój ulubiony obraz i nadal nim jest. Ale ten - *Dziewicza podróż* - jest po prostu niesłychany. Widzę go po raz pierwszy. Ta gra światła na wodzie, te subtelne cienie. Tylko Sarah Elliott mogła uzyskać taki efekt.

- Dla mnie - odezwała się Lily - najbardziej interesujące są ludzkie twarze. Jest w nich niesłychanie dużo wyrazu. Patrząc na twarz tego mężczyzny i już wiem, że to właściciel statku. A na twarzy jego matki widzę wyraz miłości i dumy z osiągnięć syna.

- To wynik mistrzowskiego operowania światłocieniem. Dlatego też Sarah Elliott przewyższa wszystkich współczesnych artystów.

- Nie, nie zgadzam się z panem. Jej mistrzostwo ujawnia się w portretowaniu twarzy.



Są tak pełne wyrazu, że może się wydawać, że dobrze tych ludzi znamy. - Czując, że Simon znowu zacznie protestować, dotknęła ramy *Łabędziego śpiewu* i szybko zmieniła temat. - To był zawsze mój ulubiony obraz. - Nie mogę znieść myśli, że też pójdzie do muzeum.

- To go sobie zatrzymaj - powiedział Savich. - Ja zatrzymałem *Żołnierza na posterunku*. Ubezpieczenie kosztuje majątek, system alarmowy też, ale prawie nikt o tym obrazie nie wie. Zrób to samo. Zatrzymaj to płótno po cichu przy sobie.

- Trzymam *Ostatnie namaszczenie* w galerii u mojego przyjaciela, niedaleko domu - powiedział Simon, odrywając wzrok od kolejnego obrazu. - Prawie codziennie je widzę.

- To wspaniały pomysł - powiedział Raleigh Beezler i uśmiechnął się do Lily. - Pani Frasier, jest teraz do sprzedania elegancki dom, tylko dwie przecznice od mojej pięknej, bardzo bezpiecznej galerii, który na pewno by pani odpowiadał. Mam zadzwonić do pośrednika, że chce go pani obejrzeć? Wiem, że rysuje pani komiksy. Jest tam pokój tak cudownie oświetlony, że byłby idealny do pracy.

Świetna zagrywka, pomyślała Lily, podziwiając refleks pana Beezlera.

- Wtedy mogłabym zostawić część moich obrazów u pana w galerii, jako stałą wystawę, prawda?

- To wspaniały pomysł, nie sądzi pani?

- Chętnie zobaczyłabym ten dom, ale nie mam zbyt wiele pieniędzy, więc najważniejsza jest cena. Moglibyśmy jednak dojść do porozumienia korzystnego dla obu stron. Moje obrazy zostałyby na wystawie w galerii w zamian za dobre miesięczne stypendium, pod warunkiem, że ten dom będzie mi odpowiadał i że będzie mnie stać na zamieszkanie w tej dzielnicy.

Raleigh Beezler był zachwycony. Jego ciemne oczy zabłyśły. Simon odchrząknął.

Obejrzał już wszystkie obrazy i z wolna obrócił się do nich.

- To doskonały pomysł, pani Savich i panie Beezler. Niestety, jest wielki problem.

- Nie widzę tu żadnego problemu. - Lily popatrzyła na niego, nachmurzona. - Pan Beezler oferuje mi wystarczającą sumę pieniędzy na spłatę kredytu hipotecznego za dom, przynajmniej do czasu, kiedy dostanę kolejny czek za *Nieustraszonego Remusa*. A może komiks zostanie zakupiony jednocześnie przez wiele gazet.

- Przykro mi. - Simon potrząsnął głową. - Jednak ten układ nie jest możliwy.

- Coś nie w porządku, Simon? - Savich dobrze znał ten ton głosu przyjaciela, więc od razu wziął Lily za rękę. - Oddajemy ci głos. Chciałeś zobaczyć te obrazy i już je obejrzałeś. Co jest nie w porządku?

- Niełatwo mi to powiedzieć - zaczął Simon. - Niech to szlag! Cztery z nich to falsyfikaty, łącznie z *Łabędzim śpiewem*. Zresztą doskonałe falsyfikaty.

- Niemożliwe - zaprotestowała Lily. - Wiedziałabym, gdyby nie były autentyczne. Pan się myli, panie Russo.

- Bardzo mi przykro, pani Savich, ale jestem tego pewny. Jak mówiłem, Sarah Elliott posługiwała się światłocieniem w unikatowy sposób. Nikomu nie udało się odtworzyć jej pociągnięć pędzlem, jej welurowych cieni i pastelowych mgieł. Przez te wszystkie lata stałem się ekspertem od jej obrazów. Gdybym jednak nie słyszał krążących po Nowym Jorku pogłosek, że w ostatnim półroczu jeden ze znanych kolekcjonerów zdobył kilka obrazów Sarah Elliott, nie przyjeżdżałbym tu w takim pośpiechu.

- Przykro mi, Lily - wtrącił Savich - ale Simon jest ekspertem. Jeśli mówi, że to falsyfikaty, to tak jest.

- Mnie też bardzo przykro - dodał Simon. - Nie słyszałem również, żeby jakiegokolwiek obrazy Sarah Elliott były ostatnio wystawione na sprzedaż. Kiedy dowiedziałem się, że *Łabędzi śpiew* jest jednym z obrazów, które zdobył kolekcjoner, wiedziałem już, że coś jest

nie w porządku. Natychmiast wysunąłem swoje macki, żeby zdobyć bardziej konkretne wiadomości. Wkrótce powinienem wiedzieć, o co tu chodzi. Niestety, nie mam pojęcia, co się stało z czwartym obrazem. Wiedziałem, że te obrazy są pani własnością i że jedenaście miesięcy temu zostały przeniesione z Instytutu Sztuki w Chicago do muzeum w Eureka, i nie chciałem wierzyć w te pogłoski. W tym świecie zawsze krążą jakieś plotki. Nie byłem niczego pewny, dopóki ich sam nie zobaczyłem. Przykro mi, ale to falsyfikaty.

- Cholera jasna! - Sherlock potrząsnęła rudymi loczkami.

- Sherlock, ty klniesz? - zdziwił się Savich. Przepraszam, nie mogłam się opanować.

Szlag mnie trafia na tych przeklętych łajdaków. Przykro mi, Dillon, lecz tego już za wiele. To okropne, Lily, ale przynajmniej wiemy, kto jest za to odpowiedzialny.

- Tennyson i jego ojciec - powiedziała Lily.

- I pan Monk, kurator muzeum w Eureka - dodała Sherlock. - On też musiał brać w tym udział. Nic dziwnego, że zbierało mu się na płacz, kiedy powiedziałaś, że zabierasz obrazy. Wiedział, że wszystko się wyda prędzej czy później. Zdawał sobie sprawę, że w Waszyngtonie eksperci obejrzą obrazy i ktoś wykryje oszustwo.

- Tennyson też o tym wiedział - zauważył Savich.

- A także mój teść - powiedziała Lily. - Może cała rodzina była w to zamieszana. Nie mogli jednak przewidzieć, że odkryjemy to już następnego dnia po przyjeździe. Dziękuję panu - zwróciła się do Simona Russa - że się pan tym zainteresował i natychmiast do nas przyjechał.

- Jest tylko jedna pociecha - powiedział Simon do Savicha. - Tennyson Frasier nie miał dość czasu, żeby polecić skopiowanie wszystkich obrazów. Teraz, kiedy już wiem, że mamy tu cztery falsyfikaty, dowiem się, kto je skopiował. To nie będzie trudne. Falszerzem może być ktoś, kto ma technikę umożliwiającą uchwycenie ducha malarstwa Sarah Elliott.

Jest tylko trzech lub czterech ludzi na świecie, którzy potrafią wprowadzić w błąd każdego - oczywiście poza przygotowanym na to ekspertem.

- Czy poznałby pan, że to falsyfikaty, gdyby pan nie słyszał przedtem pogłosek o ich zakupie przez kolekcjonera?

- Może nie, ale gdybym je obejrzał jeszcze raz albo dwa, pewnie bym się zorientował, że coś jest nie tak. To bardzo dobra robota. Kiedy się dowiem, kto je skopiował, złożę temu artyście wizytę.

- Nie zapominaj, że potrzebujemy dowodów - odezwał się Salich - żeby móc przygwoździć Tennysona, jego rodziców i pana Mońka.

- Lily, nic dziwnego, że ten facet w autobusie chciał cię zamordować - powiedziała Sherlock. - Wiedzieli, że muszą działać szybko. Na szczęście, dałaś mu niezły wycisk. Chcę ich wszystkich wsadzić za kratki, Dillon.

Simon, który przyglądał się *Dziewiczej podróży*, nagle podniósł głowę.

- Co to znaczy, że dała facetowi wycisk? Ktoś panią zaatakował? Przecież była pani po operacji.

- Zapomniałem ci o tym powiedzieć - usprawiedliwiał się Savich.

- Nie było powodu, żeby o tym mówić - stwierdziła Lily. - Tak, byłam pięć czy też sześć dni po operacji. Czuję się dobrze, dzięki psychiatrze, który... nieważne. W każdym razie świetnie się czułam. Jakiś młody facet wszedł do pustego autobusu, usiadł obok mnie i wyciągnął nóż. Miał szczęście, że udało mu się uciec.

Lily uśmiechnęła się do niego szeroko, był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jakim go obdarzyła.

- To świetnie. Brat panią nauczył?

- Tak, po tym, jak Jack... nieważne.

- Dość dużo rzeczy uważa pani za „nieważne”, pani Savich.

- Będzie się pan musiał do tego przyzwyczaić. - Zorientowała się, że zarejestrował w pamięci tego Jacka.

- Jeśli chodzi o czwarty obraz, *Marionetkę*, myślałem początkowo, że wszystko jest w porządku. Dopiero po chwili zorientowałem się, że skopiował ją ten sam fałszerz, który namalował poprzednie obrazy. Nie ma jeszcze żadnych poszlak, ale znajdziemy *Marionetkę*. Sądzę, że jest w rękach tego samego kolekcjonera.

Raleigh Beezler był wstrząśnięty. Wycierał czoło elegancką, lnianą chusteczką.

- To byłaby katastrofa dla muzeum, panie Savich - powie dział. - Jak laska dynamitu w rurze wydechowej mojego mercedesa. O ile dobrze rozumiem, panie Russo, ma pan nadzieję, że może się panu uda odzyskać oryginalne obrazy?

- Tak - przyznał Simon. - To może mi się udać. Niech pan trzyma w pogotowiu sztalugi z czarnym aksamitem.

- Porozmawiam z ludźmi z sekcji oszustw w świecie sztuki, zobaczę, co mi poradzą - powiedział Savich. - Co prawda, teraz FBI nie prowadzi żadnego śledztwa w sprawie skradzionych dzieł sztuki, więc liczę na to, że to Simon dowie się, kto ma skradzione obrazy.

- Najpierw skontaktuję się z moimi informatorami, sprawdzę, kto jest tym kolekcjonerem, znajdę fałszerza i przycisnę go do muru. Kiedy kolekcjoner dowie się o moich poszukiwaniach - a ta wiadomość dotrze do niego w bardzo krótkim czasie - z pewnością na nią zareaguje. Są różne możliwości: sam może zniknąć na jakiś czas, ukryć obrazy albo zrobić jeszcze coś innego, ale to już nie będzie miało znaczenia.

- Co pan rozumie przez „coś innego”? - spytała Lily. Savich rzucił ostrzegawcze spojrzenie. Simon wzruszył ramionami.

- Właściwie to nic - powiedział szybko. - Ponieważ jednak mam zamiar zrobić duże

zamieszanie, będę uważał, kto mi stoi za plecami. Aha, Savich, cieszę się, że nie użyłeś firmy transportowej, którą ci polecił pan Monk.

- Nie, wynająłem Bryersona - odrzekł Savich. - Znam tę firmę i mam do niej zaufanie.

Wykluczone, żeby pan Monk, Tennyson i ta cała reszta dowiedzieli się, gdzie teraz przechowujemy obrazy. Na wszelki wypadek zadzwonię do Teddy'ego Bryersona i poproszę, żeby dał mi znać, gdyby ktoś się o nie dopytywał. Simon, myślisz, że gdyby wszystkie obrazy znalazły się na widoku publicznym, to ktoś zorientowałby się, że są wśród nich cztery falsyfikaty?

- Prędzej czy później ktoś by to zauważył.

- Nie mogę pozwolić na to, żeby muzeum zawiesiło cztery falsyfikaty - powiedziała Lily do pana Beezlera. - Nie zawiesiłby pan wszystkich obrazów w swojej galerii? Zobaczmy, co z tego wyniknie.

- Tak, powieszę je - powiedział pan Beezler. - Z przyjemnością.

- Naprawdę pan wierzy w odzyskanie tych obrazów? - Lily zwróciła się do Simona. Simon Russo zatarł ręce. Był podniecony jak mały chłopiec, który po raz pierwszy bawi się kolejką na szynach.

- Och, tak - powiedział tylko.

Lily zobaczyła go oczami wyobraźni, jak w czarnym kostiumie, z twarzą pomalowaną czarną farbą, opuszcza się na linie do jakiegoś dobrze strzeżonego skarbcza.

- Jeszcze jedna rzecz, Simon - odezwał się Savich. - Kiedy dowiesz się, kto kupił obrazy, to ja z tobą pójdę.

- Chcesz powiedzieć, że ty, agent specjalny FBI, naczelnik biura, pójdziesz, żeby zabrać komuś cztery obrazy? - Sherlock zamrugła ze zdziwienia.

- Odebrać - poprawił ją Savich. - Zwrócić prawnemu właścicielowi.

- Ja będę współpracować z panem Russem - powiedziała Lily - przy poszukiwaniu osoby, która je skopiowała, i nazwiska kolekcjonera, który je kupił. Dopiero wtedy będziemy mieli dowód, który pozwoli nam przygwoździć Tennysona.

- Nie - zaprotestował Savich. - Lily, nie pozwolę, żebyś się oddaliła poza zasięg mojego wzroku.

- Nie ma mowy - poparła go Sherlock. - Nie ma mowy, żebyś się oddaliła również poza zasięg mojego wzroku. Poza tym Sean chce, żeby ciocia trochę z nim pomieszkała.

Simon Russo popatrzył na Lily Savich i z wolna pokiwał głową. Był głęboko przekonany, że jeśli ta kobieta coś sobie postanowi, to niełatwo będzie ją od tego odwieść.

- OK, może pani ze mną współpracować. Ale najpierw musi pani całkowicie wyzdrowieć.

- Będę gotowa na poniedziałek - stwierdziła Lily. Gdy brat chciał zaprotestować, powstrzymała go gestem dłoni. - Wy macie dość własnych zmartwień, mam na myśli tę Tammy Tuttle. To przerażająca postać. Dillon, musicie się skoncentrować na obławie na nią. W porównaniu z tym moje zadanie to drobnostka, trochę pracy, żeby prześledzić drogę, jaką przebyły obrazy. Może trzeba będzie też prowadzić rozmowy z artystami. Ja umiem to robić. Mogę służyć pomocą panu Russowi.

- Tak - skwitował Simon.

Sherlock zaczęła bawić się swoimi loczkami. Savich wiedział, że robiła to tylko wtedy, kiedy była zestresowana lub zmartwiona.

- Ona ma rację, Dillon - przyznała - co nie znaczy, że mi się to podoba. Ale my mamy teraz na głowie nie tylko Tammy Tuttle. Coś ci powiem: dziś rano dzwonił Ollie, tuż przed naszym wyjściem z domu.

- Naprawdę? - Savich uniósł brwi. - A ty nie uznałaś za stosowne mnie o tym

poinformować?

- Dziś jest piątek, Gabriella była rano u dentysty i ja musiałam się zająć Seanem. To nasza niania - dodała Sherlock, patrząc na Simona. - Poza tym już wcześniej uprzedziłeś Olliego i Jimmy'ego Maitlanda, że będziesz w pracy później. Miałam ci o tym powiedzieć po drodze.

- Wiem, że mi się ta wiadomość nie spodoba, ale mów, Sherlock. Jakoś to zniosę.

- Poza sprawą Tammy Tuttle jest jeszcze potrójne morderstwo we Flowers, małym miasteczku w Teksasie. Gubernator zażądał przyjazdu FBI, więc będziemy musieli tam pojechać. ATF też bierze w tym udział. ATF specjalizuje się w przestępstwach z użyciem broni palnej - wyjaśniła niewtajemniczonym. - Podejrzewają, że za zabójstwo szeryfa i jego dwóch zastępców, którzy chcieli przeprowadzić inspekcję na ich terenie, odpowiedzialna jest miejscowa sekta. Ciała znaleziono w rowie, poza granicami miasta.

- To jakieś wariactwo - zauważył Simon.

- To prawda - przyznała Sherlock i zwróciła się do właściciela galerii: - Czy nie mógłby pan zostawić nas na chwilę samych? To są raczej tajne informacje.

Widać było, że pan Beezler jest bardzo niezadowolony, ale ruszył do wyjścia.

- A pani szwagierka i pan Russo? - spytał jeszcze od drzwi.

- Ich potrafię utrzymać pod kontrolą - wtrącił Savich. - Pana nie mógłbym bezkarnie pobić.

Po chwili usłyszeli jego śmiech, kiedy prosił DyrLANę o miętową herbatę.

- Problem polega na tym - mówiła Sherlock - że sekta rozbiła się na małe grupy, które rozjechały się w różnych kierunkach. Nie wiadomo, gdzie jest ich guru. Złapano kilku członków sekty, ale ci twierdzą że o niczym nie wiedzą. Na szczęście, mamy świadka. Jedna z kobiet jest w ciąży z tym guru. Ma na imię Lureen. Rozzłościła się na niego, kiedy zaczął



uwodzić inne kobiety z sekty, wymknęła się z ich siedziby i zawiadomiła o wszystkim burmistrza.

- Czy powiedziała, że guru nakazał zabicie tych trzech policjantów? - spytał Savich.

- Jeszcze nie. Zastanawia się nad tym. Obawia się, że jeśli doniesie, że ojciec jej dziecka jest mordercą, to ten fakt może mieć wpływ na jego karmę, kiedy już przyjdzie na świat. Martwi się o jego przyszłą reinkarnację.

- Wspaniale - westchnął Savich. - Jak mówi Ollie, nie ma lekko na tym świecie. Czy ten guru ma jakieś nazwisko?

- Tak, to nie jest tajemnica. Nazywa się Wilbur Wright. Dla Lureen wymówienie jego imienia lub też nazwiska to tabu, ale wszyscy w miasteczku je znają. Ten facet mieszkał tam przez dłuższy czas.

Savich potarł w zamyśleniu kark, skinął głową Simonowi, chwycił żonę za rękę i ruszył do wyjścia ze skarbca.

- Lily - rzucił po drodze - odpoczywaj i nabieraj sił. A ty, Simonie, zamieszkał tymczasem u nas. Będę spokojniejszy, jak ty tam będziesz. Zadzwoimy do was później. Aha, jeszcze jedno: nie rozpieszczajcie Seana. Gabriella też oszalała na jego punkcie i to wystarczy. Simon, daj znać, gdybyś potrzebował pomocy MAXA.

- W porządku.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała Sherlock do męża, kiedy tamci nie mogli ich już usłyszeć.

Savich wiedział, że chętnie by sobie darował tę nową wiadomość, jednak skinął tylko głową.

- Ten guru. Kazał wyciąć serca szeryfowi i dwóm jego zastępcom.

- To dlatego gubernator Teksasu chce, żebyśmy się włączyli do sprawy. Ten facet

zapewne dokonywał równie chorych czynów w innych stanach. Czy zajęła się tym sekcja psychologii przestępców?

- Tak. Nie chciałam mówić tego przy Lily.

- Miałaś rację. W porządku kochanie, zajmijmy się teraz poszukiwaniem Tammy Tuttle i Wilbura Wrighta.

Lily Savich i Simon Russo zostali w skarbcu. Zapanowało milczenie. Lily podeszła do jednego z autentycznych obrazów Sarah Elliott, zatytułowanego *Nocny mrok*.

- Zastanawiam się - powiedziała - dlaczego on chciał mnie wtedy zabić. Skąd ten pośpiech? Przecież miał jeszcze cztery obrazy do skopiowania.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Lily położyła się spać, Savich wprowadził Simona w całą sprawę. Nie powiedział mu tylko o próbie morderstwa w autobusie. Simon był wstrząśnięty. Tak potworne przeżycia, a przedtem śmierć córki... Bardzo chciał odzyskać dla niej te obrazy.

- To dobre pytanie - powiedział. - Nie wiem, dlaczego przecięli linki hamulcowe.

Wydaje mi się, że powstał jakiś problem i musieli działać szybciej, niż to było zaplanowane.

- Dlaczego nie zabili mnie wcześniej? Tennyson odziedziczyłby wtedy obrazy i mógłby je sprzedać bez żadnego ryzyka. Nie musiałby szukać fałszerza i kolekcjonera, który je kupi po kryjomu. Myślę też, że mógłby je dużo korzystniej sprzedać na aukcji.

- Założę się, że pan Monk maczał w tym palce - stwierdził Simon. - Nie przypuszczam, żeby miał kryształową reputację. Zaraz to sprawdzę.

- Tak - ciągnęła zamyślona Lily. - Mógł mnie od razu zabić.

- Niech pani nie zapomina, Lily, że mordując panią, ściągnąłby sobie na głowę Savicha i całe FBI. Nie docenia pani determinacji swojego brata w sytuacji, gdyby panią spotkała jakaś krzywda. A jeśli chodzi o legalne aukcje, to tutaj się pani myli. Kolekcjonerzy

skupujący nielegalnie dzieła sztuki płacą za nie niewyobrażalne sumy, bo pragną mieć coś unikatowego, czego nikt inny nie posiada. To ryzykowna droga, ale niesłychanie opłacalna, nawet jeśli się weźmie pod uwagę koszt sporządzenia kopii. Podjęli prawdziwe ryzyko dopiero wtedy, kiedy próbowali panią zabić. Jak mówiłem, musiało się wydarzyć coś, co zaczęło im zagrażać. Nie wiem co, ale dowiem się tego. Czy przed pójściem do domu nie ma pani ochoty iść na lunch?

Lily czuła się tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na stojąco, uśmiechnęła się jednak do niego.

- Do meksykańskiej restauracji? - spytała.

## 13

### *Akademia Treningowa FBI Quantico*

Savich siedział w małym biurowym pokoju w hotelu Akademii FBI, kiedy dwóch agentów wprowadziło Marilyn Warluski. Wiadomo było, że Marilyn miała dziecko ze swoim nieżyjącym już kuzynem, Tommym Tuttle, ale nikt nie znał miejsca jego pobytu. Złapano ją w Bar Harbor, w stanie Maine, kiedy wsiadała do autobusu Greyhounda, jadącego do Nowej Szkocji. Była bardzo ważnym świadkiem, a Savichowi zależało na utrzymaniu pełnej tajemnicy, więc przywieziono ją do Quantico specjalnym samolotem FBI, Black Bell Jet. Znał tę kobietę tylko z fotografii. Wiedział, że nie ma żadnego wykształcenia, i przypuszczał, że nie jest zbyt bystra. Ze zdziwieniem zauważył, że wygląda o wiele młodziej niż na zdjęciu. Miała tam bardzo krótkie włosy, a teraz brudne kosmyki zwisały jej aż do ramion; nie była również tak chuda, jak pamiętał z fotografii. Nie robiła wrażenia przestraszonej, raczej zmęczonej. Nie, mylił się. Była przygnębiona i pozbawiona wszelkiej nadziei.

- Dzień dobry, pani Warluski - odezwał się swoim głębokim, wzbudzającym zaufanie

głosem, wskazując jej krzesło. Eskortujący ją agenci wyszli z biura i zamknęli za sobą drzwi.

Savich nacisnął guzik w szufladzie biurka. Dwóch specjalistów od portretów psychologicznych siedziało w przyległym pokoju; teraz mogli słyszeć ich rozmowę. -

Nazywam się Dillon Savich. Pracuję w FBI.

- Ja nic nie wiem - powiedziała Marilyn Warluski. Savich uśmiechnął się do niej i usiadł za biurkiem. Przez kilka minut panowało milczenie. Savich zauważył, że dziewczyna coraz bardziej zaczyna się denerwować.

- Nieży z pana przystojniak, ale ja i tak niczego nie powiem - odezwała się wreszcie.

- Moja żona też uważa, że jestem przystojny, ale nie wiem, czy pani mi nie pochlebia.

- Nie. - Marilyn pokręciła głową. - Pan jest naprawdę niezły. Słyszałam, jak jedna policjantka mówiła w samolocie, że z pana jest kawał chłopca. Myśleli, że seksowny facet zmusi mnie do mówienia, więc wzięli do tego pana.

- To możliwe - przyznał Savich. Zamilkł na moment, po czym odezwał się nieoczekiwanie ostrym tonem. - Marilyn, czy widziała pani kiedyś ghule?

Omal nie spadła z krzesła. A więc wiedziała o ghumach. Była biała jak prześcieradło.

- Marilyn, nie ma ich tutaj. Trzęsła głową i coś szeptała do siebie.

- Nie może pan wiedzieć o ghumach - dosłyszał wreszcie. - To niemożliwe. Ghule są złe, bardzo złe.

- Czy Tammy nie mówiła pani, że byłem w stodole, że je widziałem, a nawet strzelałem do nich?

- Nie, tego mi nie powiedziała... O, cholera. Niczego nie wiem, słyszy pan?

- OK, Tammy nie powiedziała pani, że widziałem ghule, nie zdradziła pani mojego nazwiska, chociaż je zna. Mówiła tylko, że chce mnie dopaść, prawda?

Potrząsnęła głową i zacisnęła wargi.

- Tak mówiła i ona to robi. Nazywała pana podstępny federalnym skurwielem. Nie wiem dlaczego nie powiedziała mi, że widział pan ghule.

- Może nie ma do pani zaufania.

- Ona mi ufa. Teraz ma już tylko mnie. Ona pana dopadnie. Na pewno to robi.

- Powinna pani wiedzieć, Marilyn, że to ja do niej strzelałem i ja zabiłem Tommy'ego.

Nie chciałem tego zrobić, ale nie miałem wyboru. Oni mieli dwoje dzieci w stodole i chcieli je zabić, dwóch przerażonych, małych chłopców. Tommy i Tammy porwali ich, bili i chcieli zamordować - w taki sam sposób, jak zamordowali już wielu chłopców w całym kraju.

Wiedziała pani o tym? Wiedziała pani, że kuzyni są mordercami?

Wzruszyła ramionami. Savich zauważył, że jej brązowa, zniszczona skórzana kurtka jest rozdarta pod pachą.

- To moi krewni. Może teraz nawet żałowałabym Tommy'ego, kiedy jest już martwy, ale on zabił nasze dziecko, rozwalił jego biedną główkę, więc byłam na niego wściekła przez długi czas. Tommy był prawdziwym twardzielem. Robił takie rzeczy, paskudne rzeczy, że człowiekowi cierpła skóra. A pan go zabił. A jednak nie ma drugiego takiego jak Tommy.

Tammy ma rację. Jest pan podstępny skurwielem.

Savich tylko skinął głową.

- Nie powinien był pan tak zranić Tammy. Tak jej pan rozwalił rękę, że musieli ją obciąć. W ogóle nie powinien pan być w tej stodole. Nie pana cholerny interes.

Uśmiechnął się do niej, wyprostował na krześle i oparł ręce o biurko.

- Oczywiście, że mój. Jestem policjantem, Marilyn. Mogłem zabić Tammy, a nie tylko rozwalić jej rękę. Gdybym ją zastrzelił w tej stodole, to nie mogłaby zamordować tego małego chłopczyka koło Chevy Chase. Albo ona to zrobiła, albo ghule. Możliwe, że to ghule zabiły chłopca, bo jego zwłoki leżały w kręgu. Marilyn, czy ghule muszą mieć taki krąg? Nie

wie pani? Była pani z nią, kiedy porwała tego chłopca? Pomogła jej pani go zabić?

- Nie. - Marilyn ponownie wzruszyła ramionami. - Nawet nie wiedziałam, co ona będzie robić. Zostawiła mnie w paskudnym motelu przy autostradzie i kazała siedzieć cicho, jeśli nie chcę porządnie oberwać. Była taka szczęśliwa, kiedy wróciła. Jej strój pielęgniarki był cały zalany krwią. Powiedziała, że będzie musiała znaleźć sobie jakieś inne ubranie.

Mówiła, że to dobrze, że na tym stroju jest krew, że to a propos czy coś w tym rodzaju. Już nic więcej nie powiem. I tak za wiele mówiłam. Teraz chcę stąd wyjść.

- Marilyn, pani kuzynka jest bardzo niebezpieczną osobą. Może w każdej chwili zwrócić się przeciwko pani, ot tak. - Strzelił palcami, a ona skuliła się na krześle i zadrżała. - Chciałaby pani zostać rozdarta na kawałki?

- Ona nigdy by się nie zwróciła przeciwko mnie. Znamy się od urodzenia. Jestem jej cioteczną siostrą, jej mama i moja były siostrami, co prawda przyrodnimi siostrami. Nie były tego pewne, bo ich ojciec zawsze uganiał się za kobitami.

- Dlaczego Tammy udawała, że jest Timmy?

Marilyn wpatrywała się w półkę z książkami i nie odpowiadała na pytanie. Savich już chciał z niego zrezygnować, kiedy nagle przemówiła.

- Ona chciała mnie mieć, rozumie pan, ale nie była żadną lesbiją, więc zabawiała się ze mną tylko wtedy, kiedy była ubrana jak Timmy - nigdy tego nie robiła, kiedy była Tammy. Savich był tak zdumiony, że nie potrafił wykrztusić słowa.

- OK - odezwał się wreszcie. - Proszę mi powiedzieć, w jakim ona jest stanie.

Marilyn wyprostowała się na krześle.

- Wylize się z tego, choć to nie będzie pana zasługa. Bardzo boli ją ramię, a ta rana wygląda okropnie. Poszła kiedyś późnym wieczorem do apteki, kiedy już mieli zamykać, i zmusiła faceta, żeby dał jej jakieś antybiotyki i środki przeciwbólowe. Omal się nie wyrzygał,

kiedy zobaczył tę ranę.

- Nie słyszałem o żadnej kradzieży w aptece - powiedział z namysłem Savich. FBI

podjęło ten wątek, ale nie było jeszcze żadnych konkretnych informacji.

- Pewnie dlatego, że Tammy załatwiła tego faceta, kiedy dostała lekarstwa, i zdemolowała całe pomieszczenie. Mówiła, że policja uzna to za robotę miejscowych narkomanów.

- Gdzie to było, Marilyn?

- Gdzieś w New Jersey. Nie pamiętam nazwy tej miejscowości. Lokalna policja nie skojarzyła zabójstwa aptekarza z biuletynem na temat Tammy Tuttle, który FBI rozesłało po całym wschodnim wybrzeżu. Teraz będą mogli dowiedzieć się od nich wszystkich szczegółów tego morderstwa.

- Gdzie pojechała Tammy, kiedy pani wróciła do Bar Harbor?

- Mówiła, że potrzebuje słońca, żeby jej ręka się zagoiła. Wybierała się na Karaiby, żeby dojść do zdrowia. Nie, nie wiem gdzie, tego mi nie powiedziała. Mówiła tylko, że tam jest mnóstwo wysp i że znajdzie taką, która będzie dla niej dobra. Oczywiście, nie miała na to pieniędzy, więc obrabowała jakiegoś faceta i jego żonę w takim naprawdę fajnym domu w Connecticut. Zdobyła trzy tysiące i jeszcze trochę drobnych. Powiedziała mi wtedy, że już mogę sobie iść, że da sobie radę sama.

- Na pewno odezwie się do pani, żeby dać znać, jak się jej wiedzie.

Marilyn skinęła głową.

- Pod jaki numer będzie dzwonić?

- Na telefon mojego chłopaka, w Bar Harbor. Ale mnie tam już nie ma, no nie? Mój chłopak powie jej, że wyjechałam, bo pojawili się gliniarze.

Tak też będzie, pomyślał Savich. Mógł mieć tylko nadzieję, że Tammy zadzwoni

dopiero wtedy, kiedy już będą wiedzieli, gdzie się zatrzymała na Karaibach.

- Założę się - powiedziała Marilyn - że ona tylko czeka na to, żeby wyzdrowieć i móc tu wrócić, żeby pana zabić za to, co jej pan zrobił. Na całym świecie nie ma takiej wrednej kobiety jak Tammy. Zawsze mnie biła, kiedy byliśmy małe. Ona pana dopadnie, panie Savich. Nie da jej pan rady.

- Marilyn, co to są ghule?

Marilyn Warluski skuliła się na krześle.

- One są okrutne, panie Savich, bezlitosne.

- Ale czym one są?

- Tammy mówiła, że natrafiła na nie, kiedy kilka lat temu ukrywali się razem z Tommym w jaskiniach w Ozarks, gdzieś w Arkansas. Powiedziała mi, że było tam ciemno jak cholera i okropnie śmierdziało. Tommy wyszedł, żeby się wysikać, a kiedy została sama, jaskinia napełniła się nagle dziwnym białym światłem i przyszły ghule.

- Nie zrobiły jej nic złego? Marilyn potrząsnęła głową.

- Co jeszcze mówiła?

- Mówiła, że od razu zrozumiała, że to są ghule, że jakimś sposobem dostały się do jej głowy i powiedziały, jak się nazywają. Mówiły też, że potrzebują dużo młodej krwi, że liczą na nią, śmiały się i zaraz się rozmyły. Tak właśnie mówiła Tammy: śmiały się, mówiły w jej głowie i rozmyły się.

- Ale czym one są, Marilyn?

- Tammy powiedziała mi kilka dni temu - szepnęła Marilyn po chwili milczenia - że ghule są na nią złe, bo ona i Tommy nie dali im młodej krwi wtedy w stodole. Mówiły, że gdyby Tommy żył, toby go od razu zeżarły.

- Myśli pani, że dlatego Tammy porwała tamto dziecko? Żeby ghule mogły mieć



młodą krew?

Nie odzywała się przez chwilę, patrząc na niego, potem skinęła głową. Skuliła się, opuściła głowę i rozplakała się.

- Wie pani coś jeszcze?

Potrząsnęła głową. Savich wierzył jej. Rozumiał, dlaczego cała drży. On sam miał gęsią skórkę na rękach.

Dwóch agentów FBI wyprowadziło Marilyn Warluski z biura Savicha. Miała pozostać w Quantico, dopóki Savich i sędzia pokoju nie podejmą decyzji co do jej dalszych losów.

Stał przy biurku, pogrążony w myślach, patrząc przez okno na typowo amerykańskie miasteczko, które powstało dzięki Akademii Treningowej FBI, szkolącej agentów w walce z przestępcami. Otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Jeffers, specjalista od psychologicznych portretów przestępców.

- W życiu nie słyszałem o czymś podobnym, Savich. Co za przedziwne omamy -

powiedział, nadmiernie przeciągając samogłoski. Pochodził z Południa, z Alabamy. - Jak to coś porozumiewa się z Tammy Tuttle? Marilyn mówiła, że ghule weszły do głowy Tammy i mówiły jej, co ma robić.

- Musimy się teraz zastanowić, jaki będzie następny ruch Tammy Tuttle, biorąc pod uwagę jej wiarę w te ghule - wtrąciła Jane Bitt, która właśnie weszła do biura.

- Pracuję tu od pięciu lat i spotykałam się z różnymi potworami, ale czegoś takiego jeszcze nie było. Tammy Tuttle jest potworem, a w niej siedzą inne potwory. Potwory w potworze. Problem polega na tym, że nie mamy żadnego punktu zaczepienia - stoimy przed czymś, co jest całkowicie niezrozumiałe, z czym nigdy się jeszcze nie zetknęliśmy.

- Tooo praaawda - przyznał Jeffers swoim południowym akcentem. Zniecierpliwiony Savich już sam chciał dokończyć za niego zdanie. - Jak ją znajdziemy, agencie Savich?

Chętnie bym usłyszał, co nam powie o tych ghulach.

- Słyszałeś, jak Marilyn mówiła, że Tammy pojechała na Karaiby, na wyspę, która będzie dla niej dobra. Nie mogła tam pójść piechotą, więc łatwo ją będzie zlokalizować.

Zaczekajcie chwilę, zadzwonię do Jimmy'ego Maitlanda, żeby się tym zajęli.

- Pan Maitland jest przekonany, że teraz na pewno ją złapią - powiedział po odbyciu rozmowy. - Co jeszcze przychodzi wam na myśl po tym, co mówiła Marilyn?

- Mnie się wydaje - powiedziała Jane, siadając na krześle - że to pewien rodzaj halucynacji. Marilyn uważa, że one istnieją, a pan i chłopcy widzieliście coś niezwykłego w tamtej stodole. Prawda, że tak było, agencie Savich?

- Tak.

- Może Tommy i Tammy potrafią wprawiać ludzi w jakiś rodzaj hipnozy, zmieniać ich sposób widzenia.

- Ty robiłeś portret psychologiczny Timmy'ego Tuttle'a, zanim okazało się, że jest Tammy? - Savich zwrócił się do Jeffersa.

- Tak, ale to nam wiele nie dało. Nie spotkaliśmy się jeszcze ze zmieniającym płęć psychopatą, który ma jednocześnie zdolności hipnotyczne.

Savich roześmiał się głośno.

- Wiecie, co mi przyszło do głowy? Chcę przekonać Marilyn, żeby się zgodziła poddać hipnozie. Może powie nam wtedy więcej interesujących rzeczy.

- Może ghule istnieją naprawdę - powiedział ze śmiechem Jeffers. - Może to kosmici. Jak myślisz, Jane?

- Ten pomysł bardzo mi się podoba. Jeffers, nasze życie nabrałoby kolorów. Białe stożki wirujące nad czarnym kręgiem... Może one pochodzą z Marsa, jak myślisz?

- Czytałem ostatnio wiele artykułów i raportów na temat niezrozumiałych zjawisk,

które towarzyszyły zbrodniom - wtrącił Savich.

- Znalazłeś coś? - spytał Jeffers.

- Nic, co by się dało z tym porównać. - Savich podniósł się zza biurka. - Możecie żartować, ile chcecie, ale nie róbcie tego w obecności mediów.

- O tym nie ma nawet mowy - stwierdziła Jane. - Nie chcę, żeby mnie zamknęli w domu wariatów. - Wstała z krzesła i podała Savichowi rękę na pożegnanie. - Marilyn mówiła panu, że Tammy spotkała się z ghulami w jaskini. Mój mąż jest zapalonym grotolazem i w czasie wakacji chodzimy po jaskiniach. Tego lata mieliśmy w planie jaskinie w Ozarks. Tutaj mogę się z tego śmiać, ale nie jestem pewna, czy jeszcze mam ochotę się tam zapuszczać.

*Waszyngton*

Lily nachyliła się nad deską kreślarską, oglądając swoją pracę. Nieustraszony Remus naprawdę świetnie się prezentował.

Pierwszy odcinek: Zadowolony z siebie Remus siedzi za ogromnym biurkiem i mówi do kogoś, kto wygląda jak Sarn Donaldson: *Mam fotografią, na której jesteś bez peruki.*

*Jesteś całkiem łysy, Sam. Opublikują tę fotografię, jeśli nie zgodzisz się na to, o co cię proszą.*

Drugi odcinek: Sam Donaldson ma smutną minę. Zabiera swoją fotografię, mówiąc:

*Nie jestem, łysy, Remus, i nie noszę peruki. Ta fotografia jest spreparowana. Nie możesz mnie nią szantażować.*

Trzeci odcinek: Remus z triumfującą miną: *Zadzwoń do Jessiego Ventury. On ci powie, co mu zrobiłem.*

Czwarty odcinek: Sam Donaldson, wściekły i pokonany: *Czego chcesz?*

Piąty odcinek: Mówi Remus: *Chcę Cookie Roberts. Załatw, Żebym mógł zaprosić ją na kolację. Muszę ją mieć.*

Lily uśmiechała się jeszcze z zadowolenia, kiedy Simon Russo pojawił się w

drzwiach. Świetnie wyglądał - opalony i wysportowany. Poczwała się nagle słaba i do niczego.

Chciała się go pozbyć i zostać sama.

- Tak? - spytała.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale teraz powinna pani odpoczywać. Przed chwilą rozmawiałem z Savichem i prosił mnie, żebym to sprawdził. Wiedział też, że nie zastosuje się pani do jego poleceń. Komiks już gotowy?

- Tak, chociaż to nie jest jeszcze ostateczna wersja. Remus jest w świetnej formie.

Właśnie szantażuje Sama Donaldsona.

Simon podszedł do niej, żeby zobaczyć komiks. Roześmiał się.

- Brakowało mi Remusa, tego cynicznego łajdaka. Miło go znowu widzieć.

- Teraz muszę się tylko dowiedzieć, czy „Washington Post” zechce wziąć mój komiks.

Niech pan trzyma kciuki, żeby się zgodzili. Nie zbiję na tym majątku, ale to zawsze coś.

- Wiem, że twórcy komiksów nie zarabiają zbyt dużo - powiedział Simon po chwili namysłu - dopóki nie sprzedadzą praw do publikowania wielu pismom naraz. Znam Riekiego Bowesa. On się tym zajmuje. Mógłbym do niego zadzwonić, umówić się z nim na lunch i pokazać mu Remusa.

Lily nie odezwała się. Ta propozycja widocznie nie przypadła jej do gustu.

- A może pani sama pokaże mu rysunki, a ja zaproszę was oboje do meksykańskiej restauracji?

- Może tak.

- Lily, czy zdrzemnie się pani teraz i weźmie lekarstwa? Z dziecinnego pokoju dobiegł wrzask Seana i głos Gabrielli.

Perswadowała mu, żeby nie gryzł paluszków, że zaraz dostanie krakersa i pójdzie na spacer do parku. Sean wrzasnął jeszcze raz i się uspokoił.

- Tu jest twój krakers, mały awanturniku - roześmiała się Gabriella.

Lily słyszała gaworzenie Seana i łzy zaczęły jej spływać po policzkach.

Simon wiedział, jaką przeżyła tragedię, rozumiał jej ból, który był przytępiony, ale przecież nigdy jej nie opuścił. Nie odezwał się, tylko delikatnie przyciągnął ją do siebie, żeby mogła oprzeć głowę na jego ramieniu.

Kiedy po chwili zadzwonił telefon, Lily odsunęła się od niego i podniosła słuchawkę.

- To do pana - powiedziała.

**14**

*Nowy Jork*

Był a niedziela, dziesiąta wieczór. Simon był już w Nowym Jorku i właśnie zakończył serię ćwiczeń na siłowni. Jak zwykle, czuł się wyczerpany, a jednocześnie pełen energii i chęci działania. Wytarł ręcznikiem spoconą twarz, rozprostował ramiona i ruszył do kabiny prysznicowej. W męskiej szatni było kilkunastu na wpół rozebranych facetów, którzy opowiadali kawały, chwalili się swoimi podbojami i narzekali na kontuzje.

Simon rozebrał się szybko i wszedł do ostatniej wolnej kabiny. Kiedy wyszedł spod prysznic, w szatni było tylko dwóch mężczyzn - jeden suszył włosy, a drugi zdejmował plaster z kolana. Po chwili został sam. Stał w samych bokserkach, kiedy nagle zgasło światło. Chwycił spodnie, przypominając sobie, że awaryjny wyłącznik światła znajduje się na lewej ścianie, za męską szatnią.

Usłyszał lekki szmer. To był ostatni dźwięk, jaki zapamiętał. Otrzymał cios, który powalił go na podłogę. Stracił przytomność.

- Hej, chłopie, zbudź się. Och, Boże! Stary, proszę cię, tylko nie umieraj. Wtedy na pewno stracę pracę. Błagam cię, otwórz oczy!

Simon uchylił powieki i zobaczył bardzo młodego, przerażonego chłopaka, który

potrząsał go za ramię.

- Dobra, już dobra. Nie jestem martwy. Przestań mną potrząsać.

Dotknął głowy - wyczuł obrzmienie nad prawym uchem, z którego leciała krew.

- Ktoś zgasił światło i uderzył mnie czymś ciężkim - powiedział.

- O rany! - westchnął chłopak. - Pan Duke powie, że to wszystko moja wina. Pracuję tu dopiero od tygodnia. Teraz on mnie na pewno wyrzuci. - Nerwowo zacierał ręce, niespokojnie się rozglądając, jakby jego kierownik, pan Duke, mógł nadejść w każdej chwili.

- Ten facet, który mnie rąbnął... chyba go nie widziałeś?

- Nie, nie widziałem żadnego faceta.

- W porządku. Nie martw się. Na pewno od dawna go tu nie ma.

Simon podniósł się na nogi, otworzył szafkę z ubraniami i sięgnął po swoją czarną kurtkę. Była już bardzo stara. Nosił ją jeszcze na studiach, dwanaście lat temu, zachowała jednak swój szpanerski charakter - takie kurtki należały do wyposażenia pilotów bombowców w czasie drugiej wojny. Nie znalazł w niej portfela.

Czy to możliwe, żeby pospolity złodziej szukał awaryjnego wyłącznika światła tylko po to, żeby wejść do szatni i ukraść portfel? Musiał tam zaglądać i dlatego wiedział, że w szatni została tylko jedna osoba. Napastnik uliczny w męskiej szatni?

- Przykro mi, dzieciaku, ale musimy zadzwonić po policję. To nie zaszkodzi. Może się czegoś doszukają.

Czekając na policję, Simon zastrzegł swoje karty kredytowe. Przyjechało dwóch młodych policjantów z ulicznego patrolu i spisali jego oświadczenie.

Simon zadzwonił do Savicha dopiero wtedy, kiedy znalazł się w domu, na Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Był to bardzo ładny dom, zbudowany z brązowego piaskowca.

- Co się dzieje? - spytał Savich.
- Miałem przed chwilą trochę kłopotów - Simon.
- Wyjeżdżasz z mojego domu dziś po południu, bo ktoś do ciebie telefonował, nie dzwonisz, żeby mi powiedzieć, co się dzieje, a teraz mówisz, że już wpadłeś w tarapaty? - zdziwił Savich.
- Tak. Mniej więcej o to chodzi. Lily lepiej się czuje?
- Lily czuje się o wiele lepiej, ale jest wkurzona. Powiedziała, że jutro jest poniedziałek, rano zdejmują jej szwy i przyjeżdża do Nowego Jorku bez względu na to, co wymyślisz, żeby ją od tego odwieść.
- Będę musiał to przemyśleć - stwierdził Simon.
- Dobra, powiedz mi teraz, co się wydarzyło.
- Jedź do szpitala - powiedział Savich, po wysłuchaniu relacji Simona. - Niech lekarz obejrzy ci głowę.
- To nic groźnego, Savich, drobne skaleczenie. Tym się nie martw. Chodzi o to, że zabrano mi portfel i zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.
- Sądzisz, że jacyś ludzie wiedzą, że poszukujesz obrazów mojej babki? - spytał Savich.
- To możliwe. Nie powiedziałem Lily, kto naprawdę do mnie zadzwonił. To nie był pilny telefon od klienta w Nowym Jorku. To był telefon od faceta, który się kręci przy dużych transakcjach dziełami sztuki; czasem ubijam z nim interesy. Dzwoniłem do niego wcześniej, z twojego domu. Powiedział mi, że też słyszał to i owo i że zacznie węszyć wokół obrazów Sarah Elliott. Spodziewa się konkretnych rezultatów i chce się ze mną spotkać w Nowym Jorku. Umówiliśmy się na dziś wieczór, ale w końcu przełożył to na jutro. Jutro wieczorem, w Plaża Hotel, Oak Room Bar - to jedno z jego ulubionych miejsc. Ten facet jest naprawdę

dobry, zawsze wie, co robi, więc jestem dobrej myśli.

- To brzmi obiecująco. A gdybyś przypadkiem był ciekaw, czy jesteś dobrym kłamcą, to wiedz, że Lily ani przez chwilę ci nie wierzyła. Ten wypadek, Simon, to mógł być zwykły napad, ale może było to ostrzeżenie. Nie zrobili ci dużej krzywdy, a mogli ją zrobić.

Założyłbym się, że twój portfel jest w kontenerze na śmieci gdzieś w pobliżu siłowni.

Sprawdź to.

Simon wyobrażał sobie Savicha, który teraz przemierza swój piękny salon szybkimi krokami, trzymając telefon przy uchu.

- Jak się ma Sean?

- Śpi.

- Lily też śpi?

- Nie. Jest tu, wie, że z tobą rozmawiam, i chce ci powiedzieć parę słów. Simon, nie mogę jej powstrzymać od wyjazdu.

- OK, daj jej mój adres. Wyjdę po nią na lotnisko, jeśli nic nowego się nie wydarzy.

Lepiej byłoby, żebyś ją jeszcze trochę przytrzymał przy sobie.

- Nie ma szans.

- Savich, zmieniłem zdanie - powiedział Simon. - Tutaj może być niebezpiecznie. Nie chcę, żeby Lily była w to wmieszana. Na litość boską, to twoja siostra. Cofam wszystko, co jej obiecałem. Przy wiąż ją do krzesła i nie pozwól tu przyjeżdżać.

- Czy nie masz przypadkiem innych pomysłów na to, co mógłbym z nią zrobić, żeby nie musieć jej wiązać?

- Daj jej słuchawkę. Chcę z nią porozmawiać.

- To ja - usłyszał głos Lily. - Nie obchodzi mnie to, co pan ma do powiedzenia. Proszę się uspokoić, iść do szpitala, a potem dobrze wyspać. Wylatuję stąd o drugiej, samolotem



United, który lądje na JFK. Dobranoc, Simon.

- Ależ, Lily... Już jej niebyło.

- Simon? - odezwał się Savich.

- Tak, Savich. Jak słyszałeś, zostałem zdyskwalifikowany już na starcie.

- Nie zapominaj, że Lily jest moją siostrą - roześmiał się Savich. - Pozwól jej wziąć w tym udział, jest bystra i w końcu to są jej obrazy. Proszę cię tylko, żebyś zadbał o jej bezpieczeństwo.

- Postaram się - odparł Simon z rezygnacją.

Połknął dwie aspiryny i wrócił w okolice siłowni. Kontener stał w połowie ulicy. Jego portfel leżał na wierzchu, brakowało tylko gotówki. Zauważył dwóch młodych facetów, którzy natarczywie przyglądali mu się.

Kiedy jeden z nich krzyknął coś obraźliwego, Simon ruszył do ataku. Uciekli, a kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, odwrócili się i zrobili wulgarny gest.

Pomachał im ręką.

Czekał na nią tuż przy wyjściu. Stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i nachmurzoną twarzą.

Lily uśmiechnęła się i zaczęła mówić, zanim jeszcze do niego podeszła.

- Nie chciałam brać ciężkiego bagażu, bo jestem po operacji. Moja walizka jest na czwartej taśmie.

- Sądzę, że powinna pani wrócić do Waszyngtonu, żeby spokojnie rysować swoje komiksy.

- A pan w tym czasie znajdzie moje obrazy? Zdaje się, że początek był niezbyt obiecujący. Nie ma pan dobrej miny. Ja sobie lepiej poradziłam w tym pustym autobusie niż pan w siłowni. Poza tym to mnie bardziej zależy na odzyskaniu obrazów mojej babci, a nie

panu.

Przeszła obok niego, kierując się po odbiór bagażu.

Simon nie miał samochodu, nigdy nie odczuwał takiej potrzeby, musieli więc wziąć taksówkę. Kiedy dotarli na Wschodnią Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę, pomógł jej wysiąść, wziął jej torebkę i walizkę, która ważyła prawie czterdzieści kilo.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - Mam ładny pokój gościnny z oddzielną łazienką.

Powinno być pani wygodnie, do czasu kiedy nabierze pani rozumu i wróci do domu. Jak im idzie ze sprawą tej sekty w Teksasie? Złapali go? Tego Wilbura Wrighta?

- Jeszcze nie. Dillon zbiera wszystkie dostępne informacje na temat morderstw dokonywanych przez sekty. Niech pan nie robi zdziwionej miny. Zna pan przecież metodę jego pracy.

- Powinienem był spytać, czy MAX już złapał Wilbura?

- MAX odkrył, że Wilbur Wright jest Kanadyjczykiem, studiował na McGill University i specjalizował się w biologii molekularnej. Naprawdę nazywa się Anthony CarPELLi, jego przodkowie pochodzą z Sycylii. Och, Simon, jakie to piękne.

Lily wchodziła właśnie do wyłożonego marmurem holu, urządzonego w stylu art deco

- boazeria z ciemnego drewna, lampy w geometrycznych kształtach, perski dywan z owalnymi wzorami, asymetria i śmiałe kolory.

- Cztery lata temu dostałem świetną prowizję od transakcji i mogłem sobie pozwolić na ten dom. Mieszkał tu, od jakichś pięćdziesięciu lat, starszy facet, którego dobrze znałem, a cena nie była zbyt wygórowana. Większość mebli należała do niego, ale ubłagałem go, żeby mi je sprzedał. Wygląda dość ekskluzywnie, prawda?

- Niesłychanie ekskluzywnie - przyznała. - Chcę wszystko zobaczyć.

Była tam nawet mała biblioteka - wysokie półki z książkami, boazeria, skórzane

meble, perskie dywany. Nie pokazał jej swojej sypialni, tylko zaprowadził ją od razu do dużego pokoju na końcu holu, utrzymanego w stylu włoskiego art deco - wszystkie meble pokryte były błyszczącym czarnym lakierem. Na ścianach wisiały afisze z lat trzydziestych. Położył jej walizkę na łóżku i odwrócił się do wyjścia.

- Jest pan bardzo nowoczesny, a mieszka pan w obiekcie muzealnym, który tchnie życiem - powiedziała, zdumiona.

- Nie widziała pani jeszcze łazienki.

Było wpół do jedenastej wieczorem, kiedy poinformował ją, że wychodzi.

- Spotykam się z facetem, który ma dla mnie informacje. Pani ze mną nie pójdzie.

- W porządku - powiedziała, ale była przekonana, że on jej nie dowierza. - Niech pan posłucha, Simon - dodała z uśmiechem. - Nie mam zamiaru wyslizgnąć się z domu i iść za panem. Może pan być o to spokojny. Jestem bardzo zmęczona. Proszę tylko na siebie uważać.

Zaczekam na pana powrót, żeby się wszystkiego dowiedzieć, OK?

Skinął tylko głową i za dziesięć jedenasta był już w Plaża Hotel.

LouLou już tam był. Krążył nerwowo po holu; świetnie ubrany, wyglądał jak mafijny don.

Skinął głową Simonowi i wskazał ręką wejście do Plaża Oak Room Bar. Było tam pełno ludzi, ale znaleźli mały stolik i zamówili dwa piwa.

Simon odchylił się w krześle i skrzyżował ręce na piersi.

- Ja ci leci, LouLou?

- Nie narzekam. Ty płacisz za piwo? Tu nie jest tanio.

- Wiedziałem, że będziesz chciał się ze mną spotkać w tym barze. Tak, ja płacę za piwo. Co dla mnie masz?

- Dowiedziałem się, że te Elliotty robi Abe Turkle. Mówi się, że ma kontrakt na osiem

sztuk. Wiesz, na które?

- Tak, wiem, ale ty nie musisz tego wiedzieć. Abe Turkle był u mnie drugi na liście.

Jesteś pewny, że to nie Billy Gross?

- On jest chory na płuca. To pewnie rak, zawsze dużo palił. Tak czy inaczej, zabrał całą kasę i pojechał do Włoch. Mieszka w Amalfi i jest bliski śmierci. To Abe jest facetem, którego szukasz.

- Gdzie go znajdę?

- W Kalifornii.

- Może w Eureka?

- Nie wiem. On jest w jakimś małym mieście, które nazywa się Hemlock Bay, gdzieś na wybrzeżu. Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Ten, kto mu płaci, chce go mieć pod ręką.

- Dobry jesteś, LouLou. Nie sądzę, żebyś mi powiedział, gdzie to usłyszałeś?

- Simon, dobrze wiesz, że tego nie zrobię. - Jednym haustem dopił piwo i delikatnie wytarł usta serwetką. - Abe to przewrotny drań. Nie jest taki jak inni artyści. Bądź ostrożny, OK?

- Tak, będę bardzo ostrożny. Nie krążą jakieś słuchy, kim mogą być nasi potencjalni kolekcjonerzy?

LouLou obracał w palcach papierosa, którego nie mógł zapalić nawet tu, w barze.

- Mówi się, że to może być Olaf Jorgenson.

Ta wiadomość zaskoczyła Simona. Olafa w ogóle nie brał pod uwagę.

- Najbogatszy Szwed, wielki armator. Słyszałem, że jest prawie ślepy, półżywy i że nie występuje już na rynku jako kolekcjoner.

- Tak się mówi - przyznał LouLou. - Po co kupować obraz, jeśli się jest ślepy i nie można go zobaczyć? Ale ja mam tę wiadomość od mojej wtyki w Metropolitan Museum. Ta

dziewczyna jest jednym z kuratorów i wszystko wpada jej w ucho. Ufam jej, bo jeszcze nigdy nie przekazała mi fałszywej informacji.

- Olaf Jorgenson - powtórzył wolno Simon. - Musi mieć teraz przeszło osiemdziesiąt lat. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat kolekcjonował głównie sztukę europejską, od średniowiecza do dziewiętnastego wieku. Słyszałem, że po drugiej wojnie światowej wzbogacił swoją kolekcję o dzieła sztuki ukradzione Francji i Włochom. O ile wiem, to nic w jego kolekcji nie zostało kupione legalnie. Ten facet ma fioła na punkcie swoich zbiorów, trzyma wszystkie obrazy w skarbcach o odpowiedniej temperaturze i wilgotności powietrza, do których tylko on ma klucz. Nie wiedziałem, że zaczął kolekcjonować współczesnych malarzy, takich jak Sarah Elliott. Nigdy bym go nie umieścił na swojej liście.

- Sam mówisz, że ten facet to świr. - LouLou wzruszył ramionami. - Może tacy jak on zaczynają jeszcze bardziej świrować, kiedy się zbliżają do setki. Jego syn jest równie zwariowany, stale pływa swoim jachtem, właściwie to na nim mieszka. Ma na imię Ian - ten stary ożenił się ze Szkotką, i stąd to imię. W każdym razie teraz syn zarządza tymi wszystkimi statkami. Ze swojego cholernego jachtu.

Simon lekko pokręcił głową. Ten gest skierowany był do bardzo ładnej kobiety, która siedziała przy barze i od dłuższego czasu się w niego wpatrywała. Przysunął się bliżej do LouLou, żeby jej zademonstrować, że prowadzi poważną rozmowę i nie jest zainteresowany.

- LouLou, skąd pewność, że Olaf kupił te obrazy?

- Zrobiłem wszystko, żeby zweryfikować informację tej dziewczyny z Met. Wiesz przecież, Simon, że moje małe ptaszki ze świata sztuki zawsze wyśpiewują swoje melodyjki. Zaczęły śpiewać głośniej, kiedy posypałem im trochę nasion, i usłyszałem trzy piosenki - wszystkie miały takie same słowa. Czy to już sto procent? Nie, ale to jest początek. Musiałem zapłacić tysiąc dolców, żeby zechciały mi zaśpiewać.

- OK, dobra robota, LouLou. - Simon wręczył mu kopertę z pięcioma tysiącami dolarów. LouLou wsunął ją do wewnętrznej kieszeni kaszmirowej marynarki.

- A wiesz, jak się nazywa jacht Iana Jorgensona? Simon potrząsnął głową.

- *Straż nocna*.

- Tak nazwano *Wymarsz strzelców* Rembrandta - powiedział z wolna Simon - kiedy obraz pokryty był tyłoma warstwami zżółkłego werniksu, że robił wrażenie sceny nocnej. Widziałem go dwa lata temu w Amsterdamie, w Rijks - museum.

LouLou przekrzywił głowę na bok i uśmiechnął się cynicznie.

- Kto wie? Może *Straż nocna* wisi nad łóżkiem Iana. Często się zastanawiam, ile oryginalnych obrazów zostało jeszcze w muzeach, a ile wisi tam pięknie odrobionych kopii.

- Wiesz co, LouLou, ja nie chcę znać odpowiedzi na to pytanie.

- Sarah Elliott umarła dopiero siedem lat temu. Wszystkie jej przybory - farby, pędzle - są jeszcze dostępne. Wystarczy ogromny talent, połączony z doskonałą techniką, i masz coś tak zbliżonego do oryginału, że większość ludzi równie chętnie patrzyłaby na kopie, nawet gdyby o tym wiedzieli.

- Nie mogę się z tym pogodzić.

- Ja też nie - stwierdził LouLou. - Muszę się jeszcze napić piwa.

Simon zamówił następną kolejkę i wziął kilka orzeszków ziemnych ze stojącej na stoliku misy.

- LouLou, pamiętasz tego fałszerza, Erica Hebborna, który napisał książkę - poradnik dla fałszerzy - w której wyjaśnia, jakich materiałów używać, jak sygnować obrazy i tak dalej, ze wszystkimi szczegółami. A ten facet umiera nagle w dziewięćdziesiątym szóstym roku i, jak stwierdziła policja, w tajemniczych okolicznościach. Słyszałem, że załatwił go jakiś kolekcjoner, który kupił od zaprzyjaźnionego dealera oryginalnego Rubensa, a ten Rubens

okazał się kopią autorstwa Hebborna. Przypuszczam, że ten dealer w krótkim czasie zginął w wypadku samochodowym.

- Taaa - mruknął LouLou. - Poznałem Erica ze dwadzieścia lat temu. Bystry jak cholera i niesamowicie utalentowany. Myślisz, że Olaf Jorgenson go wykończył? Jest cała masa kolekcjonerów, którzy zrobiliby wszystko, żeby dostać jakiś medal, znaczek albo obraz. Muszą to mieć, bo inaczej życie straci dla nich sens. Wiesz co, Simon, jak się dobrze nad tym zastanowić, to właśnie tacy ludzie dają nam żyć w tym fachu.

- Ciekaw jestem, czy Olaf zamówił aż osiem obrazów. Jestem też ciekaw, ile za nie płaci.

- Kupę kasy, chłopie, możesz być tego pewny. Osiem obrazów Sarah Elliott? Nie mam pojęcia, Simon. Żadnych innych nazwisk nie słyszałem. Wiem tylko, że te osiem obrazów należy do kogoś z rodziny Elliottów.

- Tak, są własnością Lily Savich. To długa, zagmatwana historia. - Simon wstał od stolika, zostawiając na nim pięćdziesiąt dolarów. - Dziękuję ci, LouLou. Wiesz, gdzie mnie szukać. Myślę, że niedługo wybiorę się do Kalifornii, żeby spotkać się z jednym z głównych graczy - Abrahamem Turkle. To Anglik, prawda?

- Pół - Grek. Dziwny facet. Bardzo ekscentryczny, podobno jada tylko ślimaki, które sam wyhoduje. - LouLou wzdrygnął się z obrzydzenia. - Dwa lata temu Abe gołymi rękami zabił faceta, który chciał go obrabować, więc uważaj. Ta Lily Savich cię wynajęła?

Simon zatrzymał się i przechylił głowę na bok.

- Coś w tym rodzaju. Zależy mi na tym, żeby odzyskać te cztery obrazy.

- Mam nadzieję, że inne są bezpieczne.

- Bardziej bezpieczne niż ślimaki w ogrodzie Abe'a. Trzymaj się, LouLou.

- Dlaczego zaczynasz od Abe'a?

- Chciałbym zobaczyć, czy to spotkanie nie przyniesie ubocznych rezultatów. Tu nie tylko chodzi o fałszerstwo. Za tą sprawą stoją ludzie, którzy dopuścili się jeszcze innego łajdactwa i chcę ich przygwoździć. Może Abe będzie mógł mi w tym pomóc.

- Akurat ci pomoże.

- Zobaczymy. To już koniec jego malarskiej aktywności w Hemlock Bay. Kto wie, co on mi może powiedzieć.

- Życzę ci szczęścia przy poruszaniu gniazda os. Zawsze lubiłem imię Lily - powiedział LouLou i podniósł dwa palce na pożegnanie.

Kiedy Simon wyszedł, LouLou zainteresował się tą bardzo ładną, siedzącą przy barze kobietą, która się im przyglądała.

**15**

*Quantico*

Marilyn, niech mi pani powie, jak wyglądała Tammy po powrocie do motelu? - spytał doktor Hicks.

- Miała na sobie płaszcz i zaraz go rozpięła, żeby mi pokazać swój strój pielęgniarki. Był przesiąknięty krwią.

- Czy robiła wrażenie zadowolonej?

- Och tak. Była szalenie szczęśliwa, że udało się jej uciec. Śmiała się i machała umazaną we krwi ręką. Uwielbia świeżą krew na rękach.

- Jak się jej udało wrócić do motelu? Mówi pani, że miała rękę umazaną krwią. Nikt tego nie zauważył?

- Nie wiem. - Marilyn potrząsnęła lekko głową; była wyraźnie zmartwiona.

- OK, to nieważne. Mówi pani, że miała na sobie płaszcz. Czy pani wie, skąd go wzięła?



- Nie wiem. Już go miała, kiedy po mnie przyszła. Był na nią za duży, ale zakrywał tę rękę, której nie miała, wie pan?

- Tak, wiem. Teraz pan Savich chciałby zadać kilka pytań, OK, Marilyn?

- Tak. Był dla mnie miły. Jest seksowny. Trochę mi żal, że Tammy go zabije.

Doktor Hicks uniósł swoje krzaczaste brwi, jednak nie był zszokowany, bo już to wszystko słyszał. Skinął głową Savichowi i podsunął mu krzesło.

- Jest w głębokiej hipnozie - powiedział.

- Marilyn, co pani teraz czuje do Tammy? - spytał Savich. Milczała, marszcząc czoło.

Po chwili zaczęła powoli mówić.

- Myślę, że ją kocham. Powinnam ją kochać, bo jest moją kuzynką, ale boję się jej.

Nigdy nie wiem, co ona może zrobić. Myślę, że mogłaby mnie zabić, gdyby jej przyszła na to ochota. Wie pan co, ona by się śmiała i rozcierałaby moją krew na rękach.

- Tak, wiem.

- Ona pana zabije.

- Tak, może próbować, już mi to pani mówiła. Jak ona się kontaktuje z ghulami? -

Savich zignorował doktora Hicksa, który nie miał pojęcia, kim, czy też czym, są ghule.

Potrząsnął tylko głową i powtórzył pytanie. - Marilyn?

- Myślałam już o tym, panie Savich. Wiem, że były tam, kiedy ona zabiła tego małego chłopca. Z tego, co mówiła, rozumiałam, że ona tylko o nich pomyśli, a już przychodzą. A może cały czas za nią chodzą a ona tylko tak mówi, żeby pokazać, jaka jest mocna? Wie pan, czym są ghule?

- Nie, nie mam pojęcia. Pani też nie wie, prawda? Potrząsnęła głową. Siedziała na wygodnym krześle i miała zamknięte oczy. Dostała pokój w hotelu FBI, dwie agentki ją tam nadzorowały. Tym razem o wiele lepiej się prezentowała - umyła włosy, ubrana też była w

czystą spódnicę i sweter. Nawet pod hipnozą robiła wrażenie wystraszonej, jej palce stale drgały. Zastanawiał się, co się z nią stanie. Nie miała żadnej rodziny, żadnego wykształcenia i przez całe życie bała się Tammy. Miał nadzieję, że FBI wkrótce odnajdzie tę morderczynię i Marilyn już nie będzie musiała dłużej się bać.

- Czy Tammy była już kiedyś na Karaibach? - spytał.

- Tak, jakiś czas temu byli z Tommym na Bahamach. Chyba na wiosnę.

- Były z nimi ghule? Marilyn potrząsnęła głową.

- Nie wie pani, czy kogoś tam zabili?

- Spytałam o to Tommy'ego, ale tylko się śmiał. Zaraz potem zrobił mi dziecko.

Savich postanowił sprawdzić, czy w tym czasie nie odnotowano na wyspach wyjątkowo bestialskich zbrodni.

- Czy Tammy mówiła kiedyś o innych wyspach, poza Bahamami, które chciałyby odwiedzić?

Potrząsnęła głową.

- Marilyn, niech pani się postara to sobie przypomnieć.

- Pamiętam, że to był Halloween - zaczęła Marilyn po długim milczeniu - i ona przebrała się za wampira. Powiedziała wtedy, że chciałyby pojechać na Barbados, żeby postraszyć tamte dzieciaki, i zaczęła się śmiać. Nigdy mi się nie podobał ten śmiech. Tak samo śmiał się Tommy po powrocie z Bahamów.

- Czy mówiła kiedyś, co robią ghule z tymi dziećmi?

- Raz, kiedy była Timmym, powiedziała, że od razu je połykają.

- Ale przecież one ich nie połykają w całości, prawda? Może biorą sobie rękę albo nogę?

- Och, panie Savich, one tylko wtedy tak robią, kiedy są najedzone i zależy im

wyłącznie na smaku. Nie wiem tego na pewno, bo Tommy i Tammy o tym nie mówili.

Savichowi zrobiło się niedobrze. Jezu, czy ona chciała powiedzieć to, co zrozumiał?

Że ci chłopcy, którzy nagle zniknęli, nigdy nie będą odnalezieni, bo zostali zjedzeni przez rodzeństwo Tuttle? Czy to kanibale? Przejął go nagły dreszcz, zaczął odruchowo pocierać sobie ręce.

Zerknął na doktora Hicksa. Lekarz był czerwony na twarzy i wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować.

- Dziękuję, Marilyn, bardzo mi pani pomogła. - Savich dotknął lekko jej ramienia. -

Gdyby mogła pani teraz wybierać, to co chciałaby pani w życiu robić?

- Chcę być stolarzem - powiedziała bez chwili wahania. - Mieszkaliśmy przez pięć lat w jednym miejscu i nasz sąsiad był stolarzem. Robił biurka, stoły i krzesła, różne rzeczy. Spędzał ze mną dużo czasu i wszystkiego mnie nauczył. Oczywiście, że płaciłam mu za to tak, jak chciał, i był z tego bardzo zadowolony. W gimnazjum powiedzieli mi, że jestem dziewczyną, a dziewczyna nie może być stolarzem, potem zaszłam w ciążę z Tommym i on zabił dziecko.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy Tammy miała się z panią kontaktować, kiedy będzie już na Karaibach? - Zadał to pytanie już wcześniej, ale chciał sprawdzić, czy pod hipnozą nie powie czegoś więcej. Miał pewien plan.

- Tak. Nie mówiła kiedy, ale miała to zrobić.

- Gdzie miała pani szukać?

- Miała dzwonić do mojego chłopaka, Tony'ego, w Bar Harbor. Ale on już mnie chyba nie lubi. Powiedział, że gdyby szukała mnie policja, to on się wycofuje z tego interesu.

Savich miał nadzieję, że Tony nie wycofa się zbyt szybko. Nadal był na miejscu, pracował jako mechanik w European Motors. Dillon postanowił poprosić agentów z Bar

Harbor, żeby mieli na niego oko, może nawet założyli podsłuch. To już było coś, o co można się zaczepić. Telefon od Tammy.

- Dziękuję, Marilyn. - Savich podniósł się z krzesła i stanął przy drzwiach. Patrzył, jak doktor Hicks przywołuje ją powoli do rzeczywistości i uspokaja łagodnym głosem. Wreszcie skinął Savichowi głową i trzymając Marilyn za ramię, wyprowadził ją z pokoju.

- Czas na lunch, Marilyn - powiedział Savich. - Zjemy na tym piętrze, nie w wielkiej sali.

- Chciałabym pizzę pepperoni, panie Savich.

- Dobry pomysł. Tu dają najlepszą.

### *Eureka, Kalifornia*

Simon był wkurzony. Odesłał Lily do Waszyngtonu. Zdawało się, że usłuchała wreszcie głosu rozsądku i wsiadła do zamówionej taksówki, ale nie wróciła do Waszyngtonu. Poleciała do San Francisco tym samym samolotem co on, ukrywając się przed jego wzrokiem, a potem udało się jej złapać wcześniejsze połączenie z San Francisco do Eureka. Podeszła do niego, kiedy czekał przy taśmie na swój bagaż.

- Nie przypuszczałam, że wrócę do Hemlock Bay w dwa tygodnie po tym, kiedy udało mi się stąd uciec - powiedziała rześkim głosem.

Siedzieli teraz obok siebie w wynajętym samochodzie i Simon nadal był wkurzony.

- Lily, dlaczego pani to zrobiła? Tu może być niebezpiecznie. Jesteśmy na ich terenie, a ja...

- To jest nasza wspólna gra, Russo. Niech pan o tym nie zapomina. - Obejrzała się do tyłu, żeby popatrzeć na jadące za nimi samochody, chociaż nie wyglądało na to, żeby ktoś ich śledził. - Zachowuje się pan tak, jakbym uraziła pańską dumę. Nie ma pan całej sceny tylko dla siebie. To są moje obrazy.

- Obiecałem pani bratu, że nie pozwolę, by stało się pani coś złego.
- Dobra, niech pan dotrzymuje obietnicy. Dokąd jedziemy? Myślałam, że do Abe'a Turkle'a. Mówił pan, że może uda się coś z niego wyciągnąć, nie tyle o kolekcjonerze, dla którego pracuje, ile o Frasierach. Fakt, że on tu jest, dowodzi, że ma z nimi swoje interesy, prawda?
- Tak, to prawda.
- Mówił pan też, że Abraham Turkle mieszka w domku na plaży, niedaleko Hemlock Bay. Czy wiemy, kto jest właścicielem tego domku? Chyba nie mój przyszły eks - mąż?
- Nie, to nie jest Tennyson Frasier. - Simon odwrócił się do niej. - To domek papy Frasiera.
- Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej? To już chyba wystarczający dowód?
- Jeszcze nie. Cierpliwości. Szosa 211 jest bardzo kręta, dokładnie taka, jak pani mówiła. Będziemy przejeżdżać koło miejsca, gdzie zawiodły hamulce i uderzyła pani w sekwoję?
- Tak, jest właśnie przed nami. - Lily nie patrzyła na drzewo, kiedy koło niego przejeżdżali. Wypadki tamtego wieczoru były jeszcze zbyt świeże.
- Okazuje się, że Abraham Turkle nie ma konta w banku ani żadnych oficjalnych środków utrzymania - powiedział Simon. - Z tego wynika, że Frasierowie płacą mu gotówką.
- Nadal nie mogę pojąć, że opłacało im się wplątywać w taką aferę - zauważyła Lily.
- Kiedy potwierdzimy, że Olaf Jorgenson wszedł w posiadanie trzech obrazów - nie, lepiej, żeby miał wszystkie cztery, to by uprościło sprawę - wtedy będziemy mogli się dowiedzieć, ile za nie zapłacił. Sądzę, że w przybliżeniu od dwóch do trzech milionów za obraz. A może nawet więcej. To zależy od siły jego obsesji. Mówi się, że kiedy chce zdobyć

jakiś obraz, nic go przed tym nie powstrzyma.

- Trzy miliony? To mnóstwo pieniędzy. Ale żeby się wplątywać w taką aferę...

- Mógłbym pani opowiedzieć historie, których by pani wcale nie chciała słyszeć, o tym, do czego posuwają się niektórzy kolekcjonerzy. Był taki facet z Niemiec, który zbierał rzadkie znaczki. Odkrył, że jego matka ma znaczek, o którym od dawna marzył, ale ona chciała go zachować dla siebie. Walnął ją w głowę wielką torbą pełną monet i zabił. Rozumie pani teraz, w jaką obsesję popadają niektórzy kolekcjonerzy?

- Trudno w to uwierzyć. - Lily patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - A ten Olaf Jorgenson... mówił pan, że jest bardzo stary i prawie ślepy.

- Tak, i mimo to nie potrafi zapanować nad swoją obsesją, nawet jeśli mu się przydarzył taki drobiazg jak utrata wzroku. Myślę, że to się skończy dopiero wtedy, kiedy po prostu umrze.

- Myśli pan, że jego syn, Ian, może mieć *Straż nocną* na pokładzie swojego jachtu?

- Wcale bym się nie dziwił.

- Powie pan o tym ludziom w Rijksmuseum?

- Tak, ale oni nie będą chcieli tego słyszeć. Wezwą kilku ekspertów, żeby zbadali obraz, oczywiście w tajemnicy. Jeśli stwierdzą, że to falsyfikat, muzeum będzie próbowało odzyskać oryginał, ale czy podadzą ten fakt do wiadomości publicznej? To mało prawdopodobne. Sprawdzaliśmy pana Mońka, kuratora Muzeum Sztuki w Eureka. Ma doktorat z George Washington University i długą listę zasług. Nawet jeśli coś jest nie tak, to Savichowi nie udało się jeszcze do tego dotrzeć. Przeprowadzamy teraz bardziej drobiazgowe dochodzenie, mamy już swoje kontakty w muzeach, w których przedtem pracował. Stale się pani ogląda. Czy ktoś nas śledzi?

Lily odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nikt za nami nie jedzie, ale nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie kontrolować.

Mam wrażenie, że jestem na terytorium nieprzyjaciela.

- Trudno się dziwić, po tych paskudnych doświadczeniach. Zna pani kuratora Mońka, prawda?

- Tak.

- Proszę mi coś o nim powiedzieć.

- Kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam - zaczęła z namysłem Lily - pomyślałam, że ma niesłychanie intensywny wzrok. On ma czarne, rzeczywiście piękne oczy. Myślę, że można by je nazwać „łózkowymi”. Był też bardzo spięty. Czy to nie dziwne?

- On ma piękne oczy? Łózkowe oczy? - zdumiał się Simon. - Kobiety mają przedziwne spostrzeżenia.

- A mężczyźni to nie? Gdyby to była pani Monk, to opowiadałby mi pan o jej biuście.

- To możliwe. I jaki byłby z tego wniosek?

- Pewnie by pan nawet nie zauważył jej twarzy. Mężczyźni są tacy jednokierunkowi.

- Naprawdę tak pani myśli?

Wybuchnęła śmiechem. Poprawił na nosie słoneczne okulary i uśmiechnął się do niej.

- Już się pani lepiej czuje - powiedział z zadowoleniem. - Ładnie się pani śmieje, Lily.

Miło słyszeć ten śmiech. Co wcale nie znaczy, że nie jestem wściekły, że pani tu za mną przyjechała. Muszę jednak powiedzieć, że po raz pierwszy widzę panią w tak dobrej formie.

- Simon, niech pan o tym zapomni, Simon. Już się chyba zbliżamy do domku

Abrahama Turkle'a. Zaraz będzie rozwidlenie. Szosa 211 idzie lewym łukiem do Hemlock Bay, a na prawo jest asfaltowa jednopasmówka w kierunku oceanu. Czy ten domek jest właśnie tam?

- Tak, takie otrzymałem wskazówki. Nigdy nie jechała pani tą drogą do oceanu?

- Chyba nie.

- OK, teraz proszę słuchać uważnie. Abe ma złą reputację, potrafi być groźny, więc musimy bardzo uważać.

Dojechali do rozjazdu i Simon skręcił w prawo, w wąską asfaltową drogę.

- To chyba tu - powiedział. - Nie ma znaku, ale nie ma też innej drogi. Spróbujmy.

Kiedy znaleźli się na małym wzniesieniu, zobaczyli ocean. Tego pięknego dnia rozpościerała się przed nimi spokojna tafla błękitnej wody.

- Jakie to piękne - westchnęła Lily. - Na widok oceanu zawsze coś mnie chwyta za gardło.

Szybko dojechali do końca drogi. Malutki, oszalowany szarymi deskami domek Abe'a Turkle'a przycupnął na urwistym skraju cypla, wprost nad oceanem. Przy domu rosły sekwoje. Były jednak tak pochylone i powykrzywiane, że trudno było dociec, dlaczego jeszcze stoją na swoich miejscach.

Utwardzony podjazd prowadził do domku, przed którym stał czarny motor Kawasaki 650.

Simon zgasił silnik i obrócił się do Lily, ale ona uciszyła go gestem ręki.

- Proszę nic nie mówić. Idę z panem. Nie mogę się doczekać, żeby poznać Abe'a Turkle'a.

Simon obszedł samochód, otworzył jej drzwi.

- Abe jada tylko te ślimaki, które sam wyhoduje - powiedział.

- Mimo to idę z panem.

Ostrożnie rozpięła pas, rzuciła poduszkę na tylne siedzenie i wsparła się na jego rękę.

- Niech pan na mnie nie patrzy takim wzrokiem, jakbym miała zaraz zemdleć.

Każdego dnia czuję się coraz lepiej. Tylko jest mi jeszcze trudno wysiadać z samochodu.



Patrzył, jak przerzuca nogi na zewnątrz i z wolna się wyprostowuje.

- Od tej chwili mówimy sobie po imieniu i proszę za stosować się do mojej linii postępowania. Nie ma powodu, żeby się zbyt szybko dowiedział, kim jesteśmy - powiedział Simon.

Podszedł do drzwi, z których deszcze zmyły już farbę, i chwilę nasłuchiwał.

- Całkowita cisza - stwierdził i mocno zastukał.

Nikt się nie odzywał. Dopiero po dłuższym czasie rozległ się wściekły wrzask.

- Kto tam, do jasnej cholery, i czego, u diabła, chce?!

- Jak widać, artysta jest w domu - zauważył Simon, mrugając porozumiewawczo do Lily i otwierając drzwi. Wszedł do domku, nie pozwalając Lily wysunąć się naprzód, i zobaczył Abrahama Turkle'a, który stał przed sztalugami z jednym pędzlem w zębach, a drugim w prawej ręce, i patrzył na nich wściekłym wzrokiem.

W tym małym frontowym pokoju nie było wcale mebli, tylko przybory do malowania, a przy ścianie stało co najmniej dwadzieścia obrazów - w dwóch rzędach. Pokój przesiąknięty był zapachem terpentyny, frytek i czegoś jeszcze - może smażonych ślimaków. Była też kuchnia, oddzielona od pokoju barową ladą, i mały przedsionek, z którego wchodziło się pewnie do łazienki i sypialni.

Spoglądający na nich brodacz to był na pewno Abe Turkle; Simon widział dużo jego fotografii.

- Cześć - powiedział Simon i wyciągnął rękę na powitanie. Abe Turkle zignorował ten gest.

- Kim ty jesteś, u diabła? A ona? Dlaczego chowa się za ciebie, do cholery? Boi się mnie, czy co?

Lily wysunęła się do przodu i wyciągnęła do niego rękę.

- Lubię ślimaki. Słyszałam, że pan też je lubi - powiedziała. Abraham Turkle uśmiechnął się szeroko. Był wysokim mężczyzną z rękami wielkości bokerskich rękawic. Zupełnie nie wygląda na artystę, pomyślał Simon. Czy artysta nie powinien mieć włosów związanych kucyk i nosić czarnego, pochłapanego farbami ubrania? Abraham Turkle wyglądał raczej na drwala. Ubrany był we flanelową koszulę, dżinsy i wysokie, sznurowane buty. Był jednak pochłapany farbą miał ją nawet w czarnej brodzie i siwiejących włosach.
- A więc tak - powiedział, odkładając pędzle i potrząsając dłonią Lily. - Ta mała kobitka lubi ślimaki, a to znaczy, że już o mnie słyszała, ale ja nie wiem, kim wy jesteście, u diabła?
- Jestem Sully Jones, a to jest moja żona, Zelda. Jesteśmy w podróży poślubnej, jeździmy sobie po wybrzeżu. Powiedziano nam w Hemlock Bay, że pan jest artystą i że lubi pan ślimaki. Zelda uwielbia sztukę i ślimaki, więc postanowiliśmy tu wstąpić i spytać, czy nie ma pan czegoś do sprzedania.
- Jeszcze nie wiemy, czy spodoba się nam to, co pan maluje, panie Turkle, więc czy mógłby nam pan coś pokazać? Mam nadzieję, że nie jest pan zbyt drogi.
- Ja jestem bardzo drogi - stwierdził Abe Turkle. - Nie jesteście bogaci?
- Handluję używanymi samochodami - powiedział Simon. - Trudno powiedzieć, żebym był bogaty.
- To nie będziecie mogli niczego ode mnie kupić. Simon skinął głową, nie odrywając od niego wzroku.
- Zaczekajcie.

Abe Turkle wziął ręcznik i wytarł sobie ręce. Podeszedł do ściany, przy której stało około dziesięciu płócien. Zaczął je przeglądać, wydając przy niektórych nieartykułowane dźwięki, a przy innych tylko wzdychając. Wreszcie podał Lily mały obrazek.

- Taki drobiazg, który namalowałem wczoraj. To Stare Miasto w Eureka. Ślubny prezent dla małej kobitki.

Lily podniosła obrazek do światła i długo się w niego wpatrywała.

- Dziękuję, panie Turkle. To piękny obraz. Jest pan wielkim artystą.

- Jednym z najlepszych na świecie, jeśli o to chodzi.

- Jest mi przykro, że nigdy nie słyszeliśmy pana nazwiska - powiedział Simon.

- Handluje pan używanymi samochodami. Skąd miałby pan o mnie słyszeć?

- Ja skończyłam historię sztuki - wtrąciła Lily. - Ale też o panu nie słyszałam. Teraz widzę, że jest pan niesłychanie utalentowany.

- Może jestem bardziej znany w pewnych kręgach niż wśród szerokiej publiczności.

- To znaczy? - spytał Simon.

- To znaczy, sprzedawco używanych samochodów, że zajmuję się malowaniem reprodukcji znanych obrazów. Tylko ich autorzy mogliby rozpoznać, że to nie oni je namalowali.

- Nie rozumiem - powiedziała Lily.

- To nie tak trudno zrozumieć. Reprodukuję obrazy dla bardzo bogatych ludzi.

- Robi pan falsyfikaty słynnych obrazów? - Simon miał zdumioną minę.

- Hej, ja nie lubię tego słowa. Ale co ty możesz o tym wiedzieć, chłopie. Jesteś tylko facetem, który sprzedaje kupę złomu. Ta mała dama zna się na tym o wiele lepiej niż ty.

- Źle mnie pan zrozumiał - sprostował Simon. - Naprawdę jestem pod wrażeniem pana malarstwa, bez względu na to, jakiemu celowi ono służy.

- Zaraz, zaraz - ocknął się nagle Abe. - Chwileczkę. Ty nie jesteś sprzedawcą używanych samochodów, prawda? O co ci chodzi, chłopie? Powiedz, co tu jest grane?

- Jestem Simon Russo. Abe zastygł w miejscu.

- Tak, teraz już cię poznaję. Niech to szlag, ty jesteś ten dealer... Russo, tak, to ty.

Jesteś Simon Russo, ty skurwielu. Tylko uważaj, żeby nie narobić mi kłopotów. Co tu robisz, do diabła?

- Panie Turkle, my...

- Do cholery, oddaj mi ten obrazek. Nie jesteście w żadnej podróży poślubnej.

Okłamaliście mnie. A tobie, Russo, po prostu skręcę kark.

**16**

Lily instynktownie przyjęła postawę obronną którą pokazał jej kiedyś Dillon, kiedy wprowadzał ją w sztuki walki. W prawej ręce nadal zaciskała obrazek.

Jej buntowniczy, a jednocześnie zabawny wygląd powstrzymał Abe'a Turkle'a w jego zapędach.

- Chcesz się ze mną bić? Praktykować karate za pomocą mojego własnego obrazu?

Zrobiła trzy kroki do przodu, potem zwrot.

- Nie uszkodzę twojego cholernego obrazka. Posłuchaj, koleś, nie chcę z tobą walczyć, chociaż myślę, że potrafiłabym cię pokonać. Jesteś wielki, ale na pewno nie jesteś szybki.

Zresztą jak sobie chcesz. Możemy sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś takim twardzielem.

- Lily, przestań, proszę. - Simon, próbował ją zasłonić, lecz Abe Turkle zaczął się śmiać.

- Jezu, niezła pani jest, mała damo.

Abe chciał jej wyrwać obraz, ale szybko schowała go za plecami.

- Proszę, niech mi pan pozwoli go zatrzymać, panie Turkle. To bardzo piękny obrazek.

Będzie dla mnie cennym przedmiotem.

- A tam, cholera, niech pani zatrzyma to głupie płócienko.

Nie mam też zamiaru z panią walczyć. Pewnie mam stracha. No dobra, skończmy z

tym. Czego tu szukasz, Simonie Russo? A kim jest ta mała kobitka?

- Przyjechałem, żeby zobaczyć, nad którym obrazem Sarah Elliott teraz pracujesz.

Abe Turkle zerknął na sztalugi i gwałtownie poczerwieniał.

- Posłuchaj mnie, Russo. Ja nic nie wiem o tej kobiecie. Chcesz popatrzeć?

- OK. - Simon uśmiechnął się i ruszył w jego stronę. Abe podniósł swoją wielką, umazaną farbami łapę.

- Tylko spróbuj, a skręcę ci kark. Nawet ta mała dama mnie nie powstrzyma.

- OK. - Simon zatrzymał się w miejscu. - W muzeum w Eureka był komplet obrazów, więc teraz pracujesz chyba na podstawie fotografii. Który to obraz? *Dziewicza podróż* czy *Pole pszenicy*? Gdybym ja miał wybierać, to następnym obrazem byłby jeden z tych dwóch.

- Idź do diabła, chłopcze.

- A może musiałeś już dać sobie spokój z Sarah Elliott, kiedy jej obrazy wyjechały z muzeum? Robisz teraz coś innego?

- Już skręciłbym ci kark, gdyby nie to, że mam nową rzecz na sztalugach i nie chciałbym jej uszkodzić. Chcesz wyjść na dwór?

- Miałeś rację, że ta, jak ją nazywasz „mała dama”, zna się na sztuce. Ona nie jest moją żoną. To Lily Savich, wnuczka Sarah Elliott. Te osiem obrazów, które wisały w muzeum, w tym cztery, które już zdążyłeś skopiować, jest jej własnością.

- Czy teraz kończy pan piąty obraz, panie Turkle? Jeśli tak, to nie dostanie pan już pieniędzy za swoją pracę. Oryginał wrócił do mnie i nie będzie już możliwości podmiany.

- Dziwię się, że jeszcze tu mieszkasz - wtrącił Simon - skoro obrazy wyfrunęły z klatki. Mają nadzieję je odzyskać? Nie mają szans. Szczerze mówiąc, Abe, jesteśmy tutaj tylko po to, żeby się dowiedzieć, kto ci zlecił tę robotę. Nie chodzi nam o kolekcjonera, tylko o ludzi stąd, którzy ci płacą i którzy cię tu sprowadzili.

- Tak - przyznała Lily. - Panie Turkle, bardzo proszę, żeby pan nam powiedział, kto to wszystko zorganizował.

Abe Turkle westchnął ciężko. Popatrzył na Lily i twarz trochę mu złagodniała.

- Mała kobitko, wyjdź za mnie za męż. Będę mógł wtedy patrzeć na te obrazy przez resztę życia. Przysięgam, że nie będę wówczas robił żadnych falsyfikatów.

- Przykro mi, ale nadal jestem żoną Tennysona Frasiera.

- To już długo nie potrwa. Słyszałem, że go pani opuściła.

- To prawda, ale te obrazy, panie Turkle, muszą być w muzeum, a nie w prywatnej kolekcji, żeby cieszyła się nimi tylko jedna osoba.

- Ci kolekcjonerzy to ludzie, co mają kupę kasy. To oni wszystkim rządzą.

- Abe, ona rozwodzi się z Tennysonem - powiedział Simon - i to jemu chce dać popalić, a nie tobie. Sam sobie zrobisz przysługę, jeśli nam pomożesz.

- Ty chyba żartujesz, chłopcze - powiedział Abe.

Lily wysunęła się do przodu i położyła rękę na potężnym ramieniu Abe'a Turkle'a.

- My nie żartujemy. Panu może grozić niebezpieczeństwo. Proszę posłuchać,

Tennyson usiłował mnie zabić. Zastanawiałam się, dlaczego zrobił to teraz. Może pan coś wie? Czy coś się wydarzyło, że zaczęłam stanowić dla niego nagłe zagrożenie, chociaż nie zdążył pan jeszcze skopiować wszystkich obrazów? Proszę, panie Turkle, niech pan nam powie, kto pana wynajął do kopiowania moich obrazów. Zapewnimy panu bezpieczeństwo.

- Naprawdę? Ten gość chciał panią zabić? Przykro to słyszeć, ale ja nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Oboje powinniście już stąd wyjść. - Stał na rozstawionych nogach,

krzyżując swoje ogromne ręce na piersi. - Przykro mi, że próbowano panią zabić, ale ta sprawa mnie nie dotyczy.

- Wiemy - odezwał się Simon - że ten domek należy do Frasierów. Ty w nim

mieszkaś. Reszty łatwo się domyślić.

- Na ten temat nie mam nic do powiedzenia. Może, jak już będzie po sprawie, ta mała kobitka zje ze mną lunch. Zamarynuję trochę ślimaków, a potem je opiekę. Takie są najlepsze.

Lily podeszła do sztalug, w czym Abe nie próbował jej przeszkodzić. Zatrzymała się i gwałtownie chwyciła oddech. Na sztalugach stał wspaniały, prawie już gotowy obraz - *Toaletta Venus Velasqueza*, olej na płótnie.

- To niesamowite. Proszę, panie Turkle, niech pan nie dopuści do tego, żeby jakiś kolekcjoner zabrał oryginał. Bardzo pana proszę.

- Maluję to dla zabawy. - Abe wzruszył ramionami. - Mam teraz przerwę w pracy.

Nie, niech pani nie mówi, że to dlatego, że zabrała pani z muzeum wszystkie obrazy Sarah Elliott. Nic się tu nie dzieje, więc tak się bawię.

Simon podszedł do sztalug i spojrzał na obraz.

- Oryginał jest w National Gallery, w Londynie. Mam nadzieję, że twoi rodacy zechcą go tam zatrzymać.

- Jak mówiłem, robię to dla zabawy. Trzeba ćwiczyć, wiesz, co mam na myśli?

Popatrz, namalowałem to z całej serii fotografii. Gdybym to robił za kasę, to nie pozwoliłbym jej na to patrzeć. Poza tym byłbym teraz w Londynie.

- Może jednak powie nam pan prawdę, panie Turkle - nalegała Lily. - Tennyson

Frasier ożenił się ze mną tylko ze względu na moje obrazy. Potem usiłował mnie zabić.

Powiedział panu o tym, panie Turkle? Możliwe, że zamordował również moje dziecko, choć tego nie jestem pewna. Proszę, niech pan nam powie, a obiecujemy, że w nic nie będzie pan wmieszany.

Abe Turkle przenosił kolejno wzrok z Lily na Simona. Potrząsnął głową.

- Żałuję, że mnie odnalazłeś, Russo. Naprawdę tego żałuję. - Odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Zaczekaj! - Lily rzuciła się za nim, ale Simon chwycił ją za rękaw i przytrzymał.

- Pozwól mu odejść, Lily.

Stali w drzwiach i patrzyli, jak wielki, czarny kawasaki, nabierając szybkości, rozrzuca na boki kamyki i kawałki ziemi. Po chwili już go nie było.

- Spieprzyliśmy całą sprawę - stwierdził Simon.

- Szkoda, że nie chciał się ze mną bić - dodała Lily. Simon popatrzył na nią i uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie, jak stała w obronnej pozycji, z obrazkiem w ręku. Musnął dłonią jej włosy.

- Jesteś niebieskooką blondynką, chudą jak patyk, ledwie się na tobie trzymają spodnie i chociaż krótko cię znam, wiem już, że masz więcej odwagi niż rozsądku. Kiedy powiem Savichowi, jak jego mała siostrzyczka chciała walczyć z Abe'em Turkle'em, to on... Nie, lepiej mu nie mówić, że wplątałem cię w taką sytuację. A niech to diabli.

- Jedziemy na spotkanie z Tennysonem? - spytała Lily w samochodzie, kiedy Simon wjechał na szosę prowadzącą do Hemlock Bay.

- Nie, mam teraz na oku kogoś innego.

*Waszyngton*

*Hoover Building*

*Piąte piętro, Wydział Dochodzeń Karnych*

Dochodziła pierwsza w południe. Stół konferencyjny zarzucony był opakowaniami po kanapkach i pustymi puszkami po napój ach - oznaczało to koniec odprawy.

- Jutro rano pojedę do Kitty Hawk, w Karolinie Północnej - powiedział Ollie Hamish do agentów zgromadzonych wokół stołu. - Nasze śledztwo wykazało, że ten facet spędził



sporo czasu w Kitty Hawk, rodzinnym mieście braci Wright. Pewnie dlatego przywłaszczył sobie nazwisko naszych pierwszych konstruktorów lotniczych i imię jednego z braci, Wilbur. Ten drań chciał zalecieć wyżej niż oni swoim pierwszym samolotem, sto lat temu. Szukają go w Dayton, więc możliwe, że będzie się chciał ukryć w Kitty Hawk. Przekazałem wszystkie dane Jane Bitt. Zobaczymy, czy jej portret psychologiczny doda coś nowego do naszej prognozy. Postawię też na nogi nasze biuro terenowe, żeby byli przygotowani, kiedy on się pokaże w Kitty Hawk.

- To dobry pomysł, Ollie. - Savich skinął głową. - Czy znowu ktoś twierdzi, że widział naszego guru w Teksasie?

- Tak - przyznał Ollie - ale zostawiamy to miejscowym agentom. My uważamy, że guru Wilbur jest w drodze do Karoliny Północnej. Nasze biura terenowe na Południu są już postawione w stan pogotowia. Może uda nam się go dopaść, zanim dotrze do Kitty Hawk.

Mamy jego zdjęcia? - spytała Sherlock.

- Tylko jedną, starą i bardzo niewyraźną fotografię.

- Daj mi ją, Ollie - zaproponował agent specjalny Dane Carver, niedawno przydzielony do jednostki. - Może w laboratorium uda nam się ją oczyścić.

- Dobrze.

- Wszyscy wiedzą co mają robić? - spytał Savich, przesuwając wzrokiem po zgromadzonych agentach.

Kiwali głowami lub potwierdzali mruknięciem.

- Dillon, a co z Tammy? - spytała Milly, sekretarka Wydziału Dochodzeń Karnych. -

Widział ją ktoś? Są nowe informacje?

- Na razie nic. Przecież dopiero wczoraj rozmawiałem z Marilyn Warluski w

Quantico. Nasi ludzie obserwują Tony'ego, chłopaka Marilyn, w Bar Harbor. Jego telefon jest

na podsłuchu. Jeśli Tammy zadzwoni, będziemy słyszeć tę rozmowę. On jest chętny do współpracy. - Savich zamilkł i wzruszył ramionami. - To frustrująca sytuacja. Jest ranna, musi być w złym stanie fizycznym, a jednak nikt jej nie widział. Bardzo możliwe, że to ona zabiła tego aptekarza w Souterville, w New Jersey. Sprawdzono, że ktoś zabrał środki przeciwbólowe i antybiotyki. Zabiła go, bo nie chciał jej wydać leków.

- Uprzedziliśmy policję na wszystkich wyspach o możliwości pojawienia się Tammy na którejs z nich. Wiedzą, że powinni również mieć na uwadze apteki i lekarzy.

- Posłuchaj, Savich - odezwał się Ollie - ona ci groziła. To nie są żarty.

Zastanawialiśmy się nad tym i wszyscy doszliśmy do wniosku, że musisz mieć ochronę. Jimmy Maitland powinien przydzielić ci kilku ochroniarzy.

Savich ściągnął brwi i spojrzał na Sherlock. Wiedział, o czym myśli: że Tammy może poznać ich adres i przyjść do ich domu. Wiedział, że Sherlock myśli o Seanie.

- To świetny pomysł, Ollie - przyznał. - Porozmawiam dzisiaj na ten temat z panem Maitlandem. Dzięki, Ollie, jakoś sam o tym nie pomyślałem.

Odprawa dobiegła końca. Savich poszedł do swojego biura i wcisnął guziczek komórki Simona. Odezwał się po trzecim dzwonku.

- Tu Savich. Jak tam Lily? Co się dzieje?

- W porządku. - Simon zrelacjonował mu spotkanie z Abe'em Turkle'em, nie wspominając o zapędach Lily do bójki. Potem opowiedział mu o krótkim spotkaniu z papą Frasierem w Hemlock Bay. - Z tego starego to niezły kawał drania. Ten facet nienawidzi Lily, widać to po jego oczach i postawie. Gdyby mnie tam nie było, toby się pewnie posunął do gróźb.

Savich chciał wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło, więc Simon wszystko mu zrelacjonował. Miał tę scenę wyraźnie przed oczami. Pojechali do biura Elcotta Frasiera, żeby

rzucić mu swoje oskarżenia w twarz i zastraszyć, że wszystko się już wydało. Był prezesem Hemlock National Bank, więc miał eleganckie biuro na pierwszym piętrze, całe przeszklone, z widokiem na ocean i na miasto. Simon był ciekaw, czy Frasier ich przyjmie. Jego asystentka, Lorelee Carmichael, bardzo młoda i bardzo piękna dziewczyna, nie kazała im czekać dłużej niż dwanaście minut, co było całkiem w porządku. Zaskoczyli faceta, więc musiał mieć czas, żeby dojść do siebie i przygotować się na spotkanie. Simon martwił się o Lily - bardzo źle wyglądała. Najchętniej wsadziłby ją do samolotu i odesłał do Waszyngtonu, gdzie byłaby bezpieczna. Nie odzywał się jednak, bo wiedział, że nigdy by się na to nie zgodziła.

Elcott Frasier zaprosił ich do swojego gabinetu i poklepał Lily po ramieniu - Simon zauważył, że miał trochę zbyt ciężką rękę.

- Lily, moja droga. Nie wyglądasz dobrze.

- Panie Frasier. - Lily natychmiast odsunęła się od niego i uśmiechnęła się tak samo zimno jak on. - Jak pan widzi, nic na to nie poradzę. To jest Simon Russo. Zajmuje się handlem dziełami sztuki. Odkrył, że cztery z moich obrazów Sarah Elliott są falsyfikatami.

Elcott Frasier skinął Simonowi głową i zaprosił ich gestem, żeby zajęli miejsca.

- A to niespodzianka. Pan jest dealerem, panie Russo. Nie wiem, czy dealerzy są w stanie rozpoznać falsyfikaty. Jest pan pewny swojej oceny?

- Jestem nie tylko dealerem, panie Frasier, jestem raczej dealerem - pośrednikiem.

Kontaktuję ze sobą kupujących i sprzedających. Czasami tropię falsyfikaty i udaje mi się odzyskać oryginalne obrazy, żeby móc je zwrócić właścicielom. Sarn posiadam obraz Sarah Elliott i dokładnie znam wszystkie jej dzieła, więc rozpoznałem cztery falsyfikaty wśród ośmiu obrazów, których właścicielką jest Lily. Nie było to trudne, ponieważ już wcześniej wiedziałem, które z nich zostały skopiowane.

Simon zawahał się przez chwilę, zastanawiając się, jak wiele powiedzieć Frasierowi, żeby go poważnie przestraszyć. Jasne było, że wiedział o fałszerstwie, nawet nie próbował udawać zdziwienia. Postanowił iść na całość i zmusić Frasiera do działania.

- Początkowo myślałem, że to pan za tym stoi, doszedłem jednak do wniosku, że jest pan tylko małym człowieczkiem, który nie posiada żadnych kontaktów. Ale jest kolekcjoner, Szwed, nazywa się Olaf Jorgenson - jego nie mógłbym nazwać małym człowieczkiem. Wręcz przeciwnie, on jest potęgą. Kiedy czegoś zapragnie, nie uznaje żadnych przeszkód. Sądzę, że to on zapoczątkował tę akcję. Łatwo to prześledzić: Olaf chciał mieć obrazy Sarah Elliott, ale one były w Instytucie Sztuki w Chicago, nie mógł ich stamtąd wyciągnąć, więc musiał trochę poczekać. Dokładnie wiedział, kiedy Lily Savich przeniosła się z Chicago do Hemlock Bay. Wysunął swoje macki i szybko odnalazł pana i pańskiego syna, Tennysona, mężczyznę w odpowiednim wieku do małżeństwa. Wtedy dobiliście targu. Słyszałem, że Olaf ma tylko trzy obrazy, nie wiem jeszcze, gdzie jest czwarty. Miejmy nadzieję, że też go ma - to by ułatwiło sprawę. Odzyskamy je, ot tak. - Simon strzelił palcami przed nosem Frasiera. - Czy dobrze oceniam sytuację, panie Frasier?

Elcott Frasier miał znudzoną minę. Jednak Lily, która go dobrze знаła, zauważyła lekki tik jego lewego oka, który występował tylko wtedy, gdy Frasier był zestresowany albo zły. Teraz pewnie zadziałały oba czynniki. Była zdziwiona, słysząc o Jorgensonie, ale nie dała tego po sobie poznać - uznała, że Simon wie, co mówi.

- Jorgenson ma wielką władzę, Elcott, nie jest takim małym człowieczkiem jak ty.

Simon myślał, że Frasier uderzy Lily, ale zdołał się opanować. Zaczął mówić gładkim głosem, jak polityk przy przyjmowaniu łapówki.

- To pasjonujący scenariusz, panie Russo. Przykro mi, że cztery płótna są falsyfikatami. Bez względu na pana opinię, to musiało się stać, kiedy obrazy były w Instytucie

Sztuki w Chicago. Ta cała skomplikowana historia z niejakim Olafem Jorgensonem przypomina kiepski film. W każdym razie ani ja, ani nikt z mojej rodziny nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Nie rozumiem, dlaczego pan tu przyszedł, żeby mnie o to oskarżać. A ty, Lily - powiedział, patrząc na nią z wściekłością - opuściłaś mojego syna. Obawiam się o jego zdrowie. Jest przygnębiony i myśli tylko o tobie. Mówi, że został niesprawiedliwie oczerniony przez twojego brata i jego żonę. Chce cię zobaczyć, chociaż stale mu powtarzam, że powinien być szczęśliwy, że się ciebie pozbył. Nie byłaś dobrą żoną, nic dla niego nie zrobiłaś. Pomysł, że mógłby się z tobą ożenić, żeby wejść w posiadanie jakichś obrazów, jest całkowicie absurdalny.

- Elcott, nie sądzę, żeby to było aż tak absurdalne. Pan Russo chyba dobrze ocenia tę sytuację. Jest również możliwe, że to pan Monk natrafił na Olafa Jorgensona. Tak czy inaczej, cztery z moich obrazów są falsyfikatami i tylko ty jesteś za to odpowiedzialny. A jeśli Tennyson nie czuje się dobrze, to polecam mu wizytę u doktora Rossettiego, tego psychiatry, który koniecznie chciał się ze mną spotykać, kiedy byłam w szpitalu. Ciekawe, jaką rolę odgrywał w tej sprawie. - Lily zamilkła na chwilę i wzruszyła ramionami. - Ile zapłaciłeś Morriemu Jonesowi, żeby mnie zabił?

- Nie zapłaciłem mu nawet... - Sprowokowała go. Opamiętał się szybko, ale już było za późno.

Simon był zachwycony. Tik Trasierą był teraz bardzo wyraźny, a twarz czerwona z gniewu.

- Jesteś paskudną żoną, Lily. Teraz rozumiem, dlaczego przyszłaś z ochroną. Nie wiem, co zrobiłaś ze swoimi obrazami, ale mnie nie możesz o to oskarżać. Nie jestem niczemu winien.

Simon miał ochotę wstać, chwycić Frasiera za kołnierz koszuli i walnąć go w szczękę.

Sam był zdziwiony tym pragnieniem, żeby zrobić temu facetowi krzywdę. Jednak kiedy się odezwał, był całkowicie opanowany.

- Proszę mi wierzyć, panie Frasier, że Lily nie jest żoną. Natomiast jeśli chodzi o pana syna, to dobrze wiemy, kim on jest. Może mógłby nam pan powiedzieć, dlaczego Abe Turkle mieszka w pana domku nad oceanem? - Simon wychylił się lekko do przodu, patrząc na Frasiera z uprzejmym zainteresowaniem.

- Nie wiem, kim on jest i dlaczego tam mieszka. Tymi sprawami zajmuje się agent nieruchomości.

- Oczywiście, Abe pana zna, panie Frasier, i o wszystkim wie, ponieważ to on kopiował dla pana obrazy. A może Olaf mu za to płaci?

Elcott Frasier zerwał się z biurka. Żyły pulsowały mu na skroni i drżały dłonie. Za chwilę całkowicie straci panowanie nad sobą, pomyślał Simon.

- Nie znam żadnego cholernego Olafa! - wrzasnął. - Wynoście się stąd! Lily, nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Szkoda, że ten napastnik nie dał ci dobrej nauczki.

- Wrócimy złożyć panu wizytę w towarzystwie FBI, kiedy będziemy mieli dowody.

To już nie potrwa długo. Może się pan zastanowi, czy nie warto dojść z nami do porozumienia. Proszę pomyśleć o tych ogromnych, niedobrych chłopach, którzy siedzą w aresztach federalnych; bardzo lubią takich słabowitych staruszków jak pan.

- Wynoście się albo zadzwonię po szeryfa!

- Po szeryfa Kolesia? - roześmiała się Lily.

- On się nazywa Scanlan, a nie Koles! - krzyknął Elcott Frasier. Rzucił się do drzwi i wybiegł z biura.

Popatrzyli za nim, a po chwili Simon pomógł Lily wstać z krzesła.

- Mieliśmy ciężki poranek - powiedział. - Najpierw Abe, a teraz twój przyszły eks -

teść, i obaj robią uniki. Ale potrzęsaliśmy nimi, Lily. Narobiliśmy niezłego zamieszania.

Teraz zaczekamy, kto podejmie rękawicę. Może stary Frasier będzie chciał zawrzeć z nami układ. Chcesz iść na lekki lunch, na przykład meksykański?

- W Hemlock Bay nie ma meksykańskiej restauracji. Mu simy jechać do Ferndale.

Kiedy opuszczali teren biura, Lorelee Carmichael obrzuciła ich uważnym spojrzeniem.

Simon pomachał jej na do widzenia. Elcotta Frasiera nie było nigdzie widać.

- Chciałbym, żebyś się zastanowiła - powiedział, kiedy szli do windy, uważnie dobierając słowa - czy nie byłoby lepiej pozostawić teraz tej sprawy mnie. Czy uda mi się namówić cię, żebyś wróciła do Waszyngtonu?

- Nawet nie próbuj.

- Musiałem spróbować. Kiedy ludzie są doprowadzeni do ostateczności, często robią głupie rzeczy. Śmiertelnie niebezpieczne rzeczy.

- Wiem. Będziemy bardzo ostrożni. Simon westchnął. Musiał się poddać.

- Przy tortillach przedyskutujemy plan następnego ataku - powiedział.

- Naprawdę uważasz, że tę całą sprawę zainicjował Olaf Jorgenson?

- Jak się nad tym dobrze zastanowić, to tylko on ma takie możliwości, chyba że pan Monk o wiele lepiej zna się na nielegalnej stronie tych interesów, niż nam się wydaje. Jestem przekonany, że Frasier porozumie się teraz z panem Monkiem, jeśli już wcześniej tego nie zrobił. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co będzie miał do powiedzenia ten facet z łożkowymi oczami.

Simon opowiedział tę całą historię i zamilkł na chwilę.

- To wszystko, Savich. Z najdrobniejszymi szczegółami.

Przyłożył komórkę do drugiego ucha, czekając na pytania, ale Savich się nie odzywał.

Na pewno rozważał w myślach wszystkie możliwe scenariusze.

- Lily świetnie się spisała, Savich. Jest zmęczona, lecz dzielnie się trzyma.

Usiłowałem ją namówić na powrót do Waszyngtonu, ale nawet nie chce o tym słyszeć.

Przysięgam, że będę ją chronić.

- Wiem o tym - odezwał się wreszcie Savich. - Chcę cię zawiadomić, że Clark Hoyt, naczelnik biura terenowego FBI w Eureka, będzie cię wspierał. Domyśliłem się, że poruszyście gniazdo os, a to zawsze jest niebezpieczne. Nie możesz być zdany tylko na siebie. Jeśli zobaczysz, że chodzi za tobą dwóch facetów, to wiedz, że robią to dla twojego bezpieczeństwa. Gdybyś miał kłopoty, zadzwoń do Clarka Hoyta. Zmusz Lily, żeby odpoczęła.

Ile tortilli zjadła?

- Trzy z mieloną wołowiną, koszyczek chipsów, do których zużyła całą miskę sosu.

Teraz posiedzimy spokojnie, a jutro rano złożymy wizytę panu Monkowi. Damy im czas, żeby się mogli naradzić. Strasznie jestem ciekaw, co teraz robią. Pozdrów ode mnie Sherlock i Seana. Jakies wiadomości na temat Tammy Tuttle?

- Żadnych.

- Zadzwonię do ciebie jutro, po rozmowie z panem Monkiem.

- Clark powiedział mi, że wpadli na trop Morriego Jonesa. Pewnie wkrótce go zamkną.

- Chwała Bogu. Zadzwonię do gliniarzy w Eureka i wszystkiego się dowiemy. Nie będę spuszczał Lily z oczu - dodał po chwili.

**17**

*Eureka, Kalifornia Pensjonat „Rusalka”*

Lily spała i śniło się jej coś przerażającego. Złana potem, poderwała się nagle na łóżku i aż jęknęła z bólu. Złapała się za brzuch i zaczęła głęboko oddychać.

Poczuła zapach dymu w pokoju. To ten swąd wyrwał ją z sennych koszmarów i był



coraz ostrzejszy. Czarny dym kłębił się wokół firanek, które zaczynały się palić.

Dobry Boże, pensjonat stał w ogniu! Wskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi. Były zamknięte. Gdzie jest klucz? Nie było go w drzwiach ani na komodzie. Pobiegnęła do łazienki, zmoczyła ręcznik i przyłożyła go do twarzy.

Rzuciła się do telefonu, wykręciła 911. Telefon był głuchy. Ktoś wzniecił ogień i odciął linię telefoniczną. A może kable się przepaliły? To nie miało znaczenia, ważne było, żeby się wydostać na zewnątrz. Płomienie lizały już dywan w sypialni. Zaczęła walić w ścianę.

- Simon! Simon!

- Lily, uciekaj natychmiast!

- Drzwi są zamknięte! Nie mogę ich otworzyć!

- Już idę! Połóż się na podłodze.

Była zbyt przerażona, żeby się położyć i czekać na ratunek. Podbiegła do drzwi i uderzyła w nie ramieniem. Bez efektu.

Chwyciła krzesło i walnęła nim w drzwi, które się tylko lekko zatrzęsły - były z cholernie solidnego drewna. Słyszała, że Simon otwiera swój pokój, i szybko się odsunęła.

Chwała Bogu, że nie został zamknięty, tak jak ona. Zaczął kopać w drzwi, które coraz mocniej drżały i wreszcie ustąpiły.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Musimy wszystkich ostrzec - powiedziała Lily, ale zaraz zgięła się w pół i zaczęła kasłać. Simon podniósł ją i zniósł na dół po szerokich mahoniowych schodach.

Pani Blade właśnie wyprowadzała z holu staruszkę, która cicho płakała.

- To pani Nast. Mieszka u nas na stałe. Dzwoniłam pod 911, ale telefon nie działa. Na trzecim piętrze są jeszcze ludzie. Proszę ich wyprowadzić, panie Russo.

- Dzwoniłem pod 911 z komórki. Już jadą.

Zanim Simon dotarł do szczytu schodów, już wbiegali strażacy, krzycząc, żeby zszedł stamtąd i opuścił budynek.

Simon skinął głową, ale nagle zobaczył młodą kobietę z dwójką kaszlących dzieci. Strażacy mieli pełne ręce roboty z innymi gośćmi. Simon chwycił matkę z dziećmi i sprowadził ich na dół. Wszyscy kasłali, dzieci płakały, a matka wylewnie mu dziękowała. Wszyscy goście „Rusałki”, dziesięć osób, zostali uratowani. Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń poza lekkim zatruciem dymem. Pensjonat nie poniósł również wielkich szkód.

Colin Smith, agent wysłany przez Clarka Hoyta na nocny dyżur przy pensjonacie, powiedział Lily i Simonowi, że kręciło się tam dwóch mężczyzn. Niestety, stracił ich z oczu, a kiedy wrócił i zobaczył dym, natychmiast zadzwonił po straż.

Simon trzymał Lily w objęciach. Miała na sobie długą, flanelową nocną koszulę, rozpuszczone włosy i była boso. On przed wyjściem z pokoju zdążył włożyć dżinsy, sweter i tenisówki. Było chłodno - strażacy rozdawali koce. Zaczęli się schodzić sąsiedzi, również przynosząc koce, kawę, a nawet bułeczki.

- Lily, nic ci nie jest? - spytał Simon.

- Żyjemy, tylko to jest ważne. Co za łajdaki! Nie mogę uwierzyć, że podpalili cały pensjonat. Tylu niewinnych ludzi mogło ucierpieć, a nawet zginąć.

- Mnie to nie przyszło do głowy, ale twój brat przewidział, że oni mogą podjąć jakąś drastyczną akcję. Przed chwilą poznałaś agenta Colina Smitha. Savich prosił naczelnika biura w Eureka o ochronę.

- Tak, domyśliłam się tego. Szkoda, że nie złapał ich, zanim zdążyli podłożyć ogień.

- On też tego żałuje. Dzwonił do swojego szefa,” Clarka Hoyta. Pewnie Clark

niedługo tu przyjedzie. Założę się, że już zawiadomił Savicha.

- O czwartej rano?

- Słuszna uwaga.

- Simon, jest mi zimno.

Siedział na krzeselku ogrodowym przyniesionym przez sąsiada. Wziął ją na kolana i nakrył kocem.

- Teraz lepiej? Skinęła głową.

- Pieprzona afera - powiedziała. Simon roześmiał się.

- Wiesz, Simon, nawet Remus by się tak daleko nie posunął. Robią swoje, nie zważając na to, ile osób może stracić życie... To przerażające.

- Tak - przyznał. - Tego się nie spodziewałem.

- Napadnięto na ciebie w Nowym Jorku, zaraz po powrocie z Waszyngtonu. Ci ludzie są naprawdę szybcy. Zaczynam myśleć, że za tym wszystkim stoi Olaf Jorgenson, tak jak mówiłeś, a nie Frasierowie. Skąd Frasierowie mogliby cokolwiek o tobie wiedzieć?

- Zgadzam się z tobą. Ale ten facet nie próbował mnie zabić, przynajmniej tak mi się wydaje.

- To mogło być ostrzeżenie.

- Też tak myślę. Jednak teraz to już nie było ostrzeżenie. Lily, tkwimy w tym po same uszy. Założę się, że Clark Hoyt nie spuści nas z oczu, dopóki jesteśmy na jego terenie.

- To dobrze. Nie, Simon, nie próbuj mnie przekonywać. Nie zostawię cię samego. -

Zamilkła na chwilę. - Nie wiem, czy ci mówiłam, że Jeff MacNelly, ten, który dostał nagrodę Pulitzera za komiks polityczny, wywarł wielki wpływ na mojego Remusa. Ale on już nie żyje, a ja nigdy mu tego nie powiedziałam.

Simon zorientował się, że Lily jest na granicy załamania nerwowego. Przykrył ją

dodatkowym kocem. Trudno się było dziwić, że nie była w stanie udźwignąć tego napięcia.

Małżeństwo z Tennysonem Frasierem całkowicie zwichnęło jej życie. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, co przeżywała, kiedy zginęła jej córka. Miała potem przez długie miesiące stany depresyjne. A teraz jeszcze to.

- Jeff MacNelly mówił, że najlepszy efekt humorystyczny osiąga się, umieszczając polityków w aktualnej rzeczywistości. Mnie się nie podoba ta rzeczywistość, Simon. Zupełnie mi się nie podoba.

- Mnie też nie.

*Waszyngton, Hoover Building*

Savich odłożył słuchawkę i ukrył twarz w dłoniach.

- Dillon, co się stało? - zapytała Sherlock. Z wolna podniósł głowę.

- Powinienem być ją zabić, Sherlock, zabić strzałem w głowę, jak Tommy'ego Tuttle'a.

To wszystko moja wina - śmierć tego chłopca w Chevy Chase, a teraz to.

- Znowu zabiła?

Skinął głową i popatrzył na nią z rozpaczą w oczach.

- W Road Town, na Tortoli, na brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

- Opowiedz mi wszystko.

- Dzwonił Jimmy Maitland. Powiedział, że tamtejszy komisarz policji otrzymał nasze raporty, a jego funkcjonariusze byli w pogotowiu. No i stało się. Znaleziono aptekarza z podejrzanym gardłem - apteka była w takim stanie, że nie można było stwierdzić, jakich leków brakuje, ale my wiemy, że to musiały być antybiotyki i środki przeciwbólowe.

Przeszukują wyspę w poszukiwaniu kobiety z jedną ręką. Dotychczas bez rezultatów. Tortola to zupełnie inna wyspa niż należący do Stanów St. Thomas. Jest o wiele bardziej prymitywna, rzadziej zaludniona, dostarcza wielu kryjówek, a co najważniejsze, można się na nią dostać

jedynie łodzią.

- To oznacza, że ona zdobyła łódź - stwierdziła Sherlock. - Ale pewnie się już przeniosła gdzie indziej.

- Trudno uwierzyć, że nikt nie zgłosił kradzieży łodzi.

- Zrobiło się późno - powiedziała Sherlock. - Wyślij e - maile na inne wyspy i chodźmy do domu. Pobawimy się z Seanem, a potem pójdziemy na siłownię. Dillon, miałeś ciężki dzień.

- OK, ale najpierw muszę porozmawiać z tamtejszymi gliniarzami, upewnić się, czy wiedzą już o tym, co się stało na Tortoli, i ponownie ich uczulić, że ona jest bardzo niebezpieczna. - Wstał zza biurka, przytulił ją i pocałował. - Idź do domu i pobaw się z Seanem. Ja niedługo przyjdę. Daj mu kilka krakersów w moim imieniu.

*Qantico, Wirginia Akademia Treningowa FBI*

Marilyn, to do ciebie. - Agent specjalny Virginia Cosgrove podała jej słuchawkę. - Dzwoni kobieta, mówi, że należy do jednostki Dillona Savicha. - Będę słuchać waszej rozmowy na drugiej linii, OK?

Marilyn Warluski, która właśnie składała swoje nowe ubrania do walizki, skinęła głową. Była zdumiona. Mieszkała w hotelu FBI, wraz z dwiema agentkami, i już się powoli przyzwyczajała do tej sytuacji. Czego może teraz chcieć od niej agent Savich? Wzięła słuchawkę z ręki agentki Cosgrove.

- Halo...

- Cześć, laleńko! Tu Timmy! Czy już jesteś na mnie napalona, koteczku?

Marilyn przymknęła oczy - to był zbyt wielki szok.

- Tammy - szepnęła - to naprawdę ty?

- Nie, to Timmy. Posłuchaj, malutka, muszę się z tobą zobaczyć. Chcę, żebyś jutro

przyleciała na Antigue, ja już tam będę. Czekam na ciebie na lotnisku w St. John's. Nie rób mi zawodu, koteczku.

Marilyn rzuciła Virginii przerażone spojrzenie. Agentka napisała coś szybko na kartce i podała ją Marilyn: „OK, ale przylecę późnym wieczorem”.

- Dobrze cię traktują w tej gliniarskiej akademii? Chcesz, żebym się tam pojawiła z ghulami i zrównała ją z ziemią?

- Nie, Tammy, nie rób tego. Przylecę jutro wieczorem. Dobrze się czujesz?

- Pewnie. Musiałam tylko uzupełnić lekarstwa na Tortoli. Paskudne miejsce, nic się tu nie dzieje. Nie mogę się już doczekać, żeby się stąd wyrwać. Do zobaczenia jutro, maleńka.

Marilyn wolno odłożyła słuchawkę i spojrzała na Virginie Cosgrove.

- Skąd wiedziała, gdzie jestem? Muszę zadzwonić do agenta Savicha. Cholera, jest już późno.

Następca dyrektora Jimmy Maitland zadzwonił do Dillona Savicha, żeby zmobilizował grupę agentów potrzebnych do akcji. Po dwóch godzinach ludzie byli już gotowi do wyjazdu.

Maitland wezwał również grupę antyterrorystyczną z Waszyngtonu - cała akcja rozegra się prawdopodobnie na lotnisku i można się spodziewać kłopotów.

- Zgodzili się wziąć w tym udział i mamy już grupę wsparcia, sześciu naprawdę dobrych facetów - powiedział Savichowi Maitland.

Vincent Arbus, najważniejszy człowiek w grupie, silny jak byk, łysy jak kolano i zanadto wycwaniony, żeby mu to mogło wyjść na dobre, popatrzył na Savicha i po chwili przeniósł wzrok na Sherlock.

- Mówcie do mnie Vinny - powiedział niskim, chropawym głosem. - Coś mi się wydaje, że zdążymy się nieźle poznać, zanim ta cała afera dobiegnie końca. Powiedźcie mi,

skąd, u diabła, ta szalona jednoręka kobieta wie, że Marilyn Warluski była zapuszkowana w hotelu w Quantico? Skąd, u diabła, miała numer telefonu?

- Prawdę mówiąc - powiedział wolno Savich, nie patrząc na Sherlock - maczałem w tym palce. Prawdę mówiąc, sam jej w tym pomogłem.

**18**

*Eureka, Kalifornia*

Kuratora Mońka nie było w muzeum. Jego biurko było uporządkowane, jakby miał wrócić do pracy następnego dnia, ale w kalendarzu nie było żadnych notatek ani godzin umówionych spotkań. Nie wiadomo, gdzie się podziewał.

Nie było go również w mieszkaniu na Oak Street. Nie zabrał swoich rzeczy - wszystko wskazywało na to, że wyjechał, nikogo nie zawiadamiając.

- Już go nie ma - oświadczył Hoyt, wchodząc do hotelowego pokoju Simona. - Stałem pośrodku jego salonu, patrzyłem na wiszące na białych ścianach i specjalnie podświetlone obrazy Jasona Argota i mówię ci, Russo, biczowałem się w duchu. Wiedziałem, że powinniśmy obserwować jego mieszkanie, ale nie zrobiliśmy tego. Jestem idiotą. Możesz mi dać w mordę. Może ma jakąś kryjówkę, ale nie udało mi się niczego wyśledzić.

Simon zaprosił Hoyta do swojego ekskluzywnego apartamentu z ogromnym łóżem, które zajmowało trzy czwarte pokoju. Lily mieszkała w sąsiednim apartamencie. Zatrzymali się w pensjonacie „Laguna”, z widokiem zarówno na ocean, jak i na Stare Miasto.

- Jestem ci przede wszystkim wdzięczny za to, że tam poszedłeś. My straciliśmy przecież w pożarze wszystkie ubrania. Gdyby nie to, że wczoraj wieczorem zostawiłem portfel w kieszeni dzinsów, to byłibyśmy w niezłych tarapatach. A gdyby nie przysłano mi nowych kart kredytowych po tym, jak ukradziono mi portfel w Nowym Jorku, to byłibyśmy w jeszcze gorszych tarapatach. A co z samochodem Mońka? Też zniknął?

- Nadaliśmy komunikat radiowy - jeep grand cherokee, dziewięćdziesiąty ósmy rok, ciemnozielony. Mamy też pod obserwacją lotnisko. Zawiadomiliśmy nawet San Francisco, chociaż wątpię, żeby mu się udało dotrzeć aż tak daleko.

- Cały problem polega na tym, że nie wiemy, gdzie go szukać. Nie sądzisz, że byłoby dobrze, gdybyś ogłosił alert lotniskowy na trzy stany?

- Tak, to dobry pomysł. Myślę, że się przestraszył, a wątpię, żeby miał fałszywy dowód tożsamości czy też paszport. Jeśli pokaże się na lotnisku, to już go mamy.

- Napijesz się? Właśnie przyniesiono kawę i croissanty - zaproponował Simon.

Clark Hoyt wypił dwie filiżanki kawy i zjadł croissanta z masłem i dżemem morelowym. Był okropnie przygnębiony.

Pojawiła się Lily, która tak ładnie wyglądała, że Simon uśmiechnął się na jej widok.

Miała na sobie czarne dżinsy, czarny golf i wysokie buty, też czarne. Wyglądała jak księżniczka z bajki, która nocami bawi się we włamywacza, spacerując po dachach i wysokich gzymsach.

- Świetnie pani wygląda. - Clark Hoyt wstał, żeby ją przywitać. - Zupełnie inaczej niż rano. W czarnym jest pani do twarzy.

Lily podziękowała za komplement i naląła sobie kawy. Hoyt wziął drugiego croissanta i powiedział:

- Dzwoniłem do Savicha we Wschodnim Disneylandzie i przekazałem mu wszystkie informacje. Kazał mi przysiąc na głowę mojej sznaucerki Gildy, że nie spadł wam włos z głowy. To było oczywiście podpalenie, nie wiadomo tylko, kto to zrobił i kto za tym stoi.

- Wschodni Disneyland? - Lily, uniosła brew.

- Tak, kolejna pieszczotliwa nazwa na siedzibę FBI. Dziękuję za śniadanie. Jeszcze czuć od was dym. Niełatwo się go pozbyć. Zeszłego lata, kiedy robiłem grilla, spaliłem sobie



brwi, a całą twarz miałem czarną. Teraz siedźcie cicho, nigdzie się nie pokazujcie, dopóki się z wami nie skontaktuję, OK?

Hoyt pojawił się w pensjonacie już wczesnym popołudniem. Jak się okazało, pan Monk nie planował podróży samolotem i ostatecznie nigdzie nie doleciał. Jego jeep stał na małej polance wśród sekwoi - zauważyli go turyści - a on siedział nieruchomo z głową opartą na kierownicy. Dostał trzy kule w plecy.

Porucznik Larry Dobbs z Komendy Policji w Eureka wiedział, że w grę wchodzi o wiele więcej czynników niż jeden martwy człowiek i że nawet FBI jest zainteresowane sprawą. Zgodził się więc, żeby Clark Hoyt przyprowadził na miejsce zbrodni dwóch cywilów, kiedy jego ludzie zakończą rutynowe czynności.

Simon i Lily stali na polance i patrzyli na jeepa.

- Nawet nie próbowali go ukryć - zauważyła Lily. - Chociaż z drugiej strony mógłby tam stać i stać, zanim ktoś przypadkiem by na niego natrafił. Niech Bóg błogosławi turystów.

- Lekarz uważa, że on nie żyje mniej więcej od siedmiu godzin - powiedział Clark Hoyt. - Po sekcji zwłok będziemy mieli więcej informacji. Nasi laboranci dokładnie sprawdzą jeepa. Właśnie nadchodzi porucznik Dobbs, poznałeś go już, prawda, Simon?

- Rozmawialiśmy przez telefon - wyjaśnił Simon i podał Dobbsowi rękę. Zauważył, że szacunek, z jakim traktował go Clark Hoyt, zrobił na poruczniku spore wrażenie.

- Myślicie, panowie, że ktoś z nim był? - spytała Lily. - Zabił go i przesunął ciało na siedzenie kierowcy?

- Tor pocisków wskazuje na to, że zabójca siedział z tyłu, za panem Monkiem - stwierdził porucznik Dobbs. - Mógł być jeszcze ktoś w samochodzie, ale tego nie wiem.

Może Monk wiedział, że wywożą go, żeby zabić. Ale jeśli tak było, to dlaczego sam wjechał do lasu? Faktem jest, że zjechał z drogi pomiędzy sekwoje, a facet, który był na tylnym

siedzeniu, zabił go.

Pozwolono Simonowi i Lily przejść się po otaczającym terenie. Rozglądali się uważnie, ale niczego nie zauważyli. Spanikowani turyści zdeptali wszystkie ślady. Ponadto stało tam pięć samochodów policyjnych i dwa samochody FBI. Nie było żadnych śladów opon poza tymi, które pozostawił jeep, co oznaczało, że drugi samochód musiał być zaparkowany na asfalcie.

Porucznik Dobbs obrzucił Simona i Lily uważnym spojrzeniem.

- Agent Hoyt mówi, że jesteście w to wciągnięci po uszy. Muszę przyznać, że przysporzyliście mi więcej zmartwień, niż miałem przez ostatnie dziesięć lat, a wszystko zaczęło się od tego gnoja, który zaatakował panią w miejskim autobusie, pani Frasier. Aha, funkcjonariusz Tucker dwie godziny temu odnalazł Morriego Jonesa, który ukrywał się w podrzędnym hoteliku na Conduit Street.

- I niech go pan dobrze trzyma, poruczniku - powiedziała Lily. - On też był w to wplątany, podobnie jak pan Monk, a sam pan widzi, co go spotkało.

- Tak, widzę - stwierdził porucznik Dobbs. - Ale wiecie co, w gruncie rzeczy to wszystko wcale nie jest takie złe. Przy okazji poznałem Hoyta, prawdziwego agenta federalnego, i nie musiałem oglądać razem z żoną *Koła Fortuny*. Od czasu waszego telefonu nie nudziłem się ani przez minutę. Jedyna niedobra rzecz to zwłoki, które tutaj mamy. Zwłoki nigdy nie są dobre. - Westchnął, dał ręką znak jednemu z funkcjonariuszy i zawołał. - Clark, postaraj się chronić tych dwoje, żeby już ich nic złego nie spotkało! No właśnie, będę przesłuchiwał wszystkich Frasierów, łącznie z pani mężem Tennysonem. Może ich przestraszę i znowu zrobią jakieś głupstwo. Wiem, że już próbowaliście tej metody i to ich rozwścieczyło. Teraz zobaczymy, jak dadzą sobie radę z przedstawicielami prawa. - Wskazał gestem zawinięte w czarną folię zwłoki pana Mońka. - To nie było mądre posunięcie.

- Niech pan nie pominię też Charlotty Frasier, poruczniku - powiedziała Lily - i nie da się zwięść jej przesłodzonemu akcentowi. To przerażająca kobieta.

- A ja - wtrącił Hoyt - zaczekam, aż porucznik z nimi skończy. Gdy poczują się już bezpiecznie w swoim domu w Hemlock Bay, wtedy złożę im wizytę i nieźle ich przypieczę. Savich przesłał mi dużo materiałów. Rozmawiałem też z naszymi ludźmi w Sacramento i zacząłem badać sytuację finansową Elcotta Frasiera. Do tej pory uzyskałem mnóstwo sprzecznych informacji, w każdym razie dużo pieniędzy wpływało tam na jego rachunki i dużo też z nich wypływało. Coś z tego wyniknie, zawsze tak się dzieje. Aha, słyszałem, że Elcott Frasier wynajął adwokata, Bradley a Abbotta, jednego z najlepszych specjalistów od spraw karnych na całym Zachodnim Wybrzeżu, żeby występował w obronie jego i jego rodziny. - Hoyt zatarł dłonie. - Będzie ciekawie.

W drodze powrotnej do Eureka Simon nie odzywał się do Lily. Prowadził samochód z ponurą miną ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Przestań się chmurzyć, Simon - powiedziała Lily. - Wyglądasz, jakbyś myśłami był gdzieś bardzo daleko.

- Myślałem o Abrahamie Turkle'u. To kolejny urwany wątek, Lily, tak samo jak kurator Monk. Morrie Jones to też cienka sprawa, ale on jest w więzieniu i można mieć nadzieję, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Porucznik postara się, żeby był dobrze strzeżony.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że kiedy rozmawiałeś z Hoytem, porucznik Dobbs poinformował mnie, że Morrie twierdzi, że poturbowało go kilku łobuzów w barze. Żadna kobieta nie dałaby mu rady. Jeszcze coś, Morrie ma drogiego adwokata. Ciekawa jestem, ile dostaje za to, żeby milczał.

- Czy porucznik Dobbs może się dowiedzieć, kto wynajął tego adwokata? -

zainteresował się Simon.

- Pytałam go, czy wie. Powiedział, że się tym zajmie. Już wiem, Simon, dlaczego jesteś taki ponury. Martwisz się, że Abe Turkle może być w niebezpieczeństwie. - W tym momencie Lily zapomniała o tym, że jest głodna i że chciała szybko wrócić do pensjonatu. - Teraz mnie też serce podeszło do gardła. Simon, jedźmy do Abe'a.

Uśmiechnął się do niej, przyhamował, wykonał szeroki łuk i zawrócił.

- Nieźle - powiedziała. - Ten rzęch nie mógłby jechać trochę szybciej?

- Jesteś bezbłędna, Lily - roześmiał się Simon. - Widzę, że samochód za nami też zawraca. To na pewno nasza ochrona.

- To dobrze. Mam nadzieję, że wytrzyma to szaleńcze tempo. Simon roześmiał się znowu.

- Mój ojciec, Buck Savich, mówił, że gdybym chciała zostać zawodowym bukmacherem, to byłabym najlepsza w tym zawodzie. Miałabym tylko jeden problem.

- Jaki?

- Mówił, że kiedy kłamię, to moje oczy zmieniają kolor. Gdyby ktoś to zauważył, to moja bukmacherska kariera byłaby skończona.

- Teraz masz niebieskie. Jakiego są koloru, kiedy kłamiesz?

- Nie wiem. Nigdy nie kłamałam do lustra.

- Zapamiętam to i przy okazji ci powiem.

Simon zamyślił się znowu. Przed oczami stanął mu zwałisty Abe Turkle z pędzlem w zębach, szykujący się do bójki. Później spojrzał na Lily i uśmiechnął się. Ten facet był hochsztaplerem, ale też wspaniałym artystą. Simon naprawdę nie chciał, żeby ktoś go zabił. Przyspieszył do setki, bo wszystko aż się w nim skręcało. Fatalna sprawa, fatalna. Jednak kiedy zwrócił się do Lily, jego głos miał żartobliwe brzmienie.

- Poznałem twojego tatę, kiedy byliśmy z Dillonem na ostatnim roku studiów. Był wspaniałym człowiekiem.

- Tak - przyznała. - Był nadzwyczajny. Bardzo za nim tęsknię. Wszystkim nam go brakuje. Mama bardzo długo nie mogła się pozbierać, ale w zeszłym roku poznała faceta, kongresmana z Missouri. Twierdzi, że są tylko przyjaciółmi, jednak jest teraz o wiele szczęśliwsza, często wychodzi z domu i stale się uśmiecha. Uwielbia Seana. To jej jedyny wnuk, a do tego mieszka niedaleko.

- A jaka jest opinia twojej mamy na temat tych legend, które krążą o Bucku Savichu? O tych barwnych historiach, które opowiadano jeszcze na długo przed jego śmiercią?

- Potrząsała tylko głową, uśmiechała się i mówiła, że nie sądzi, żeby te opowieści były przejawskrawione. A twoi rodzice? Gdzie oni mieszkają?

- Moi rodzice są już od dawna rozwiedzeni. Mój ojciec jest prawnikiem, ożenił się z bardzo młodą dziewczyną i mieszkają w Bostonie. Nie mam przyrodniego rodzeństwa. Moja mama nie wyszła powtórnie za mąż, mieszka w Los Angeles i prowadzi małą firmę konsultingową. Jeśli kiedykolwiek się lubili, to przestali, zanim byłem na tyle duży, żeby to zapamiętać. Moje dwie siostry, które są starsze ode mnie, powiedziały, że nie zauważyły między nimi czegokolwiek, co by mogło przypominać ciepłe uczucie. - Zamilkł na chwilę, wziął ostry zakręt i przyspieszył znowu. - Wiesz co, Lily, nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako bukmachera. Zarobiłaś jakieś pieniądze, żeby opłacić college?

- No pewnie. - Lily błysnęła białym zębami. - Mama uznała, że będzie lepiej, jeśli ojciec się nie dowie, jaką sumę udało mi się zarobić pomiędzy szesnastym a osiemnastym rokiem życia. Zwłaszcza że nie płaciłam podatków. Simon patrzył na nią bez słowa.

- Teraz wyglądasz jak księżniczka z bajki. Podobasz mi się w czarnym.

- Nic dziwnego, przecież sam kupowałeś mi ubranie. Chcesz, żebym wyglądała jak

Batgirl?

- Zawsze chętnie ją oglądałem. A naprawdę to było tak: zobaczyłem czarne spodnie i już wiedziałem, że cała reszta też powinna być czarna. - Simon ponownie skoncentrował się na drodze, ale po chwili odezwał się znowu. - Ale najbardziej się odmieniłaś, kiedy zmyłaś sadzę z twarzy i włosów - dodał ze śmiechem.

Wszystko, co miała na sobie, było czarne, nawet skarpetki i bielizna.

- Dlaczego się nigdy nie ożeniłeś? - spytała.

- Byłem żonaty dawno temu.

- Opowiedz mi o tym.

Zerknął na nią z ukosa i stwierdził, że ona rzeczywiście była tego ciekawa.

- Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata, więc kierowały mną zmysły, podobnie było u Janice. Pobraliśmy się, rozwiedli po sześciu miesiącach i oboje wstąpiliśmy do wojska.

- To rzeczywiście było dawno temu. Gdzie ona teraz jest?

- Została w wojsku. Jest generałem brygady i stacjonuje w Waszyngtonie. Słyszałem, że radzi sobie wspaniale. Wyszła za męża za generała dywizji, może kiedyś zostanie generałem broni.

- Ciekawe, dlaczego Dillon nic mi o tym nie powiedział.

- Byłby moim drużbą gdyby sprawy potoczyły się zwykłym torem, ale myśmy uciekli, a on wtedy był w Europie. Wiedziałem, że nie miał pieniędzy na to, żeby przylecieć do domu i znowu wracać do Europy. - Simon wzruszył ramionami. - To i tak nie miałoby znaczenia.

Jaki był twój pierwszy mąż, ojciec Beth?

- Nazywał się Jack Crane. Był maklerem giełdowym w Chicago.

- Dlaczego się rozstaliście?

Chciała go zbyć, zbagatelizować pytanie, ale to się jej nie udało. Głęboko wciągnęła

powietrze.

- Nie chcę o tym mówić.

OK, jesteśmy na miejscu. Na razie jest w porządku, ale bądź czujna, Lily. Mam złe przeczucia.

Simon skręcił na prowadzącą do domku drogę i zobaczył, że ich ochrona również skręca za nim.

Ani śladu motoru.

Simon rozejrzał się szybko dokoła. - To mi się wcale nie podoba.

- Może pojechał do miasta, żeby kupić sos do ślimaków? Simon nie był o tym przekonany; zostawił to pytanie bez odpowiedzi. Podeszli do domku. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wysunął się do przodu, pilnując, żeby Lily była za jego plecami. Wolno otwierał drzwi. W środku było ciemno, wszystkie rolety opuszczone. Pokój był całkowicie pusty - żadnych obrazów pod ścianami, sztalug, palet. Nie było nawet kropli farby na podłodze, ulotnił się też zapach terpentyny.

- Sprawdź kuchnię, Lily. Ja idę do sypialni.

Po pięciu minutach spotkali się w pustym pokoju.

- Ani śladu Abe'a Turkle'a? - Agent Colin Smith stał w otwartych drzwiach.

- Nie. - Simon potrząsnął głową. - Zostało tylko pudełko dmuchanego ryżu, trochę mleka - jeszcze nie zdążyło skwaśnieć - i kilka jabłek, które też nadają się do jedzenia. Musiał się niedawno zwinąć.

- Spakował się i wyjechał - dodała Lily. - Zabrał wszystko, nawet pastę do zębów.

Myślisz, że pojechał do Londynu z tym obrazem, który kończył malować? - zwróciła się do Simona.

- Mam nadzieję, że nie. Ta kopia była rzeczywiście doskonała.

- Baliście się, że on nie żyje, prawda? - spytał Colin Smith. - Myśleliście, że zamordowano go, podobnie jak pana Mońka.

- Tak, taka myśl przysłała mi do głowy - przyznał Simon. - Trzeba będzie zawiadomić o tym porucznika Dobbsa. Agencie Smith, czy mógłby pan też poinformować o tej sprawie Clarka Hoyta? Abe miał mnóstwo rzeczy - co najmniej dwadzieścia obrazów stało tu przy ścianach, a miał tylko motor. Może wynajął półciągarówkę, żeby móc to wszystko wywieźć.

- Może ktoś z Frasierów pożyczył mu duży samochód?

- To też możliwe. Chcę pana poinformować, agencie Smith, że ja i Lily chcemy złożyć wizytę Morriemu Jonesowi. Muszę się jeszcze porozumieć z porucznikiem Dobbsem i prokuratorem okręgowym i uzyskać ich zgodę. Mam dla Morriego propozycję nie do odrzucenia.

- Może już się dowiedzieli, kto płaci za jego adwokata - zasugerowała Lily.

Simon zamknął drzwi domku i pomachał agentowi Smithowi.

- Nie licz na to - powiedział, kładąc jej poduszkę na brzuchu i zapinając pas.

**19**

*St. John's, Antigua*

*Siedziba miejskich władz administracyjnych*

*w pobliżu lotniska Reed*

Ile tu słońca - westchnęła Sherlock. - Seanowi by się tu na pewno podobało.

Moglibyśmy zbudować mu zamek z piasku, a nawet fosę. Już sobie wyobrażam, jak by się tarzał ze szczęścia piasku, przy okazji burząc zamek.

Sherlock zorientowała się nagle, że Dillon jej nie słucha, co się nigdy przedtem nie zdarzało. Wiedziała, że zastanawia się nad przebiegiem czekającej ich akcji i rozważa wszystkie „za” i „przeciw”. Sam był za wszystko odpowiedzialny, nic więc dziwnego, że miał



problem. Współpracowali z Komendą Policji Królewskiej, której siedziba znajdowała się, dziwnym trafem, na American Road. Amerykańska placówka konsularna ułatwiła im ten kontakt. Byli jednak w obcym kraju, a miejscowi policjanci nie potrafili początkowo zrozumieć, dlaczego pięćdziesięciu agentów federalnej policji kryminalnej Stanów Zjednoczonych staje przeciwko jednej kobiecie, która w dodatku nie ma jednej ręki. Zaczęli traktować sprawę poważnie, kiedy Savich pokazał im fotografie ofiar, łącznie z tą z wyspy Tortola. Ta ostatnia rzeczywiście zrobiła na nich wrażenie.

Nie było możliwe, żeby Tammy dotarła na Antiguę wcześniej niż przed południem, nawet gdyby chciała przylecieć szybkim statkiem. Tortola była zbyt odległa. Nie mogła ich wyprzedzić, chyba że samolotem, a oni sprawdzili już wszystkie połączenia z Tortolą i sąsiednimi wyspami i nic nie wskazywało, że miała taki zamiar. Mieli więc dość czasu, żeby się przygotować.

- Mamy czas - powiedziała Sherlock. - Dillon, przestań się zadręczać. Marilyn będzie tu za dwie godziny i jeszcze raz wszystko z nią przećwiczymy, krok po kroku.

- A jeśli Tammy nie będzie sama? Może podróżuje jako Timmy? Pamiętaj, że to Timmy dzwonił do Marilyn do Quantico.

Sherlock nigdy jeszcze nie widziała, żeby miał tyle wątpliwości przy zaplanowanej przez siebie akcji.

- Bez względu na wszystko jedna ręka jest zawsze jedną ręką - powiedziała łagodnie. -

Tu, na wyspach, nikt nie zauważył jeszcze osoby z jedną ręką. Ona nie ma szans. Przecież wiesz, że cała miejscowa policja, zarówno na brytyjskich Wyspach Dziewiczych, jak i na amerykańskich Wyspach Dziewiczych, jest postawiona w stan pogotowia. Władze Antigui nie są przyzwyczajone do takich akcji, więc mogę się założyć, że zachowają się bardzo odpowiedzialnie. Po obejrzeniu fotografii z miejsca zbrodni są prawdopodobnie jeszcze

bardziej zdenerwowani niż my. Uwierz mi, Dillon, wszyscy traktują to bardzo serio.

- Uważasz, że powinienem przestać się przejmować?

- Nie, pamiętaj tylko, że jesteś świetny, więc nie kwestionuj swoich decyzji. Zrobiłeś już wszystko, co było możliwe. Jeśli będziemy musieli zmierzyć się z czymś innym niż sama Tammy, to się zmierzmy.

Miejscowi policjanci, których zresztą nie było wielu, zgromadzili się na lotnisku.

Usiłowali zachowywać się swobodnie, ale niezbyt dobrze im to wychodziło. Niektórzy żartowali nawet z turystami. Nigdy nie brali udziału w podobnej obławie, zajmowali się zwykle tubylcami, którym czasami zdarzało się nadmiernie odurzyć rosnącymi na wyspie roślinami albo przeholować z piciem rumu. Czasem też jakiś turysta próbował coś ukraść z wolnocłowego sklepu. Ta akcja różniła się drastycznie od ich dotychczasowych doświadczeń. Savich nie potrafił się opanować - wciąż sprawdzał pozycje, które zajmowali antyterrorysty. Gdyby Tammy Tuttle udało się wziąć jakiegoś zakładnika, to również byli na to przygotowani. Sześciu strzelców wyborowych zajęło pozycje w strategicznych punktach dokoła lotniska, inni byli w środku. Część snajperów ubrana była jak turyści, część jak personel lotniska. Świetnie wtapiali się w otoczenie.

Czy Tammy przyleci samolotem? Czy też zwyczajnie wejdzie do hali? Nikt tego nie wiedział. Sprawdzono już wszystkie hotele i pensjonaty. Jimmy Maitland siedział w biurze komisarza policji i gotował się żywcem w swoim nowym garniturze, mimo że włączony był wiatrak.

Prawie pięćdziesięciu agentów FBI brało udział w tej akcji - kryptonim „Statyw”.

Agent specjalny, Dane Carver, wymyślił tę nazwę, ponieważ poszukiwana miała dwie nogi i jedną rękę, więc wyglądała jak statyw.

Minęło kilka godzin. Marilyn Warluski była już na lotnisku i stała teraz, drżąc ze

strachu, obok agentki Virginii Cosgrove, która była jej ochroną. Cosgrove była również niespokojna, ale miała zbyt mało doświadczenia, żeby się naprawdę bać, chociaż powinna. Myślała tylko o tym, że jest najważniejszą agentką na lotnisku. Tammy Tuttle miała podejść tylko do niej. Świetnie strzelała, więc wiedziała, że potrafi ochronić Marilyn Warluski. Była gotowa do akcji.

Marilyn przyleciała na lotnisko Reed o szóstej po południu i czekała na Savicha przy stanowisku Karaibskich Linii Lotniczych.

- Ona tu będzie, panie Savich - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Marilyn, wszystko będzie dobrze. - Virginia po raz kolejny pogładziła jej rękę. -

Agent Savich nie dopuści do tego, żeby się wydarzyła jakaś nieprzewidziana historia.

Dopadniemy Tammy.

- Mówiłam ci, że to Timmy do mnie dzwonił. A kiedy ona jest Timmy, wszystkiego się można po niej spodziewać.

- Myślałem, że również można się po niej wszystkiego spodziewać, kiedy jest tylko Tammy - wtrącił Savich.

- To prawda. Jeśli tu będą oboje, nie tylko Timmy, to będzie poważny problem.

Savich poczuł skurcz żołądka. Zaczął mówić głębokim, spokojnym tonem.

- Marilyn, co pani ma na myśli, mówiąc, jeśli tu będą oboje? To znaczy Tammy i Timmy? Nie rozumiem tego.

- Nie chciałam panu o tym mówić, ale już raz to widziałam. - Marilyn wzruszyła ramionami. - To było parę lat temu. Byliśmy wtedy w tym ekskluzywnym miasteczku turystycznym, Oak Bluffs. Wie pan, na wyspie Martha's Vineyard. Zobaczyłam, jak Tammy wychodzi z tego ładnego, różowego domu wiktoriańskiego, gdzieśmy wszyscy mieszkali - nagle okręciła się parę razy dokoła i zamieniła w Timmy'ego, jakby byli jakoś w sobie

wtopieni. To była najbardziej przerażająca rzecz, jaką widziałam do czasu, gdy Tammy weszła do motelu umazana krwią tamtego małego chłopca.

Savich wiedział, że to czyste szaleństwo. Tammy nie mogła nagle stać się mężczyzną.

To było niemożliwe, a jednak Marilyn wyraźnie w to wierzyła.

- Wydawało się pani, że Tammy i Timmy są w jakiś sposób scaleni w jednej osobie?

- Tak właśnie jest. Tylko się kilka razy okręciła i już była Timmym, naprawdę seksownym facetem.

- Kiedy Tammy stała się Timmym, jak on wyglądał?

- Jak Tammy, ale jak facet, rozumie pan?

Virginia Cosgrove była wyraźnie oszołomiona. Miała ochotę się odezwać, ale Savich potrząsnął tylko głową. Chciał, żeby Marilyn opisała Timmy'ego, ale ona nagle zeszywniała.

Zaczęła węszyć, jak zwierzę, które wyczuwa niebezpieczeństwo.

- Czuję, że Timmy jest już blisko, panie Savich - szepnęła. - On jest bardzo blisko.

Och Boże, strasznie się boję. Skręci mi kark za to, że panu pomagam.

- Nic z tego nie rozumiem. - Virginia Cosgrove mówiła teraz takim cichym szeptem jak Marilyn. - Więc Tammy jest facetem?

- To się okaże, agentko Cosgrove. Niech się pani nad tym nie zastanawia. Pani priorytetem jest ochrona Marilyn. Proszę skupić się tylko na tym.

Marilyn przysunęła się do Virgini i wzięła ją za rękę.

- Agentko Cosgrove, pani nie pozwoli, żeby on mnie porwał, prawda?

- Nie, Marilyn. Nie pozwolę mu nawet zbliżyć się do pani. - Obróciła się do Savicha. -

Może pan na mnie liczyć. Osłonię ją własnym ciałem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Minęła godzina - teraz była siódma. Niebo usiane już było gwiazdami i świecił

księżyc. Było ciepło i bardzo pięknie. Słysząc było granie cykad.

Lotnisko było trochę zbyt zatłoczone, jak na tę porę dnia, ale Savich miał nadzieję, że Tammy Tuttle nie zwróci na to uwagi. Obawiał się jednak, że nie umknie jej nerwowe zachowanie miejscowych policjantów. Albo może jemu - zależnie od tego, które z nich się tu pojawi.

Savich odetchnął głęboko, przesuając wzrokiem po ludziach zgromadzonych na lotnisku.

- Sherlock, Timmy jest już blisko - powiedział. - Tak twierdzi Marilyn. Mówiła, że już go wyczuwa, a to było godzinę temu. Jest jeszcze bardziej przerażona niż ja. Poza tym jest przekonana, że Tammy może błyskawicznie zamienić się w mężczyznę, w tego Timmy.

O tej porze na lotnisku nie było wielu turystów – tych prawdziwych turystów.

Samoloty ze Stanów już dawno wylądowały i pasażerowie opuścili halę. Wieczorem latało jeszcze tylko kilka samolotów z wyspy na wyspę. Było to i dobre, i złe. Niedobre, jeśli chodzi o kamuflaż, ale miały też szanse, że komuś postronnemu stanie się krzywda.

To się stało tak szybko, że nie dało się niczemu zapobiec. Niski, szczupły, śmiertelnie blady mężczyzna, z ostrzyżonymi tuż przy czaszce czarnymi włosami - jedynie na czubku głowy miał parę loków - zmaterializował się nagle za plecami agentki Virginii Cosgrove.

- Tylko się porusz, koteczku - powiedział z ustami przy jej uchu - i zaalarmuj tych federalnych, którzy się tu snują, a poderżnę ci gardło. Będzie zabawa - zdążysz jeszcze zobaczyć, jak twoja krew tryska czerwoną fontanną.

Virginia usłyszała zduszony jęk Marilyn. Jak to się stało? Dlaczego nikt jej nie zaalarmował? Dlaczego nikt go nie widział? To musiał być ten mężczyzna, Timmy Tuttle, o którym mówiła Marilyn.

- Nie poruszę się. - Lekko skinęła głową. - Niczego nie zrobię.

- To dobrze - odparł mężczyzna i poderżnął jej gardło. Krew trysnęła strumieniem.

Virginia chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko cichy bulgot.

- Chodźmy, kochanie. - Mężczyzna zwrócił się z uśmiechem do Marilyn. - Już się stęskniłem za swoją ślicznotką. Jesteś gotowa, koteczku?

- Tak, Timmy, jestem gotowa - szepnęła Marilyn. Wziął ją za rękę zakrwawioną dłonią, a drugą ręką przyłożył jej nóż do gardła. Savich, który rozmawiał szeptem z Vinnym Arbusem, zobaczył nagle, że z gardła Virginii Cosgrove bucha krew. A przecież dopiero przed chwilą na nią patrzył. Jak to się mogło stać? Zobaczył też mężczyznę, który ciągnął Marilyn, trzymając jej nóż na gardle. Kilkunastu agentów i przynajmniej kilkunastu cywilów widziało, jak Virginia pada na podłogę, jak rozpryskuje się krew, widzieli też śmiertelnie bladego mężczyznę, który prowadził Marilyn Warluski.

Rozpętało się piekło. Zapanował totalny chaos. Jedni krzyczeli, biegli przed siebie, inni zamarli w miejscu, a jeszcze inni padali na podłogę, osłaniając głowę rękami. Powietrze przesiąknięte było zapachem krwi.

Został wzięty zakładnik, a tym zakładnikiem nie była osoba postronna, tylko Marilyn Warluski.

Mężczyzna znalazł się teraz na wolnej przestrzeni - nie kłębili się już wokół niego spanikowani cywile. Savich rozpoznałby tę twarz nawet na końcu świata - to była twarz Tammy Tuttle. Ale przecież to niemożliwe. Savich mógłby przysiąc, że ten mężczyzna, który przykładał nóż do gardła Marilyn Warluski, miał dwie ręce - widział jego obie dłonie na własne oczy. To musiał być ktoś inny, a nie Tammy Tuttle przebrana za mężczyznę. Ktoś, kto był na tyle podobny do Tammy, żeby wprowadzić go w błąd. Jak to jednak było możliwe, że znalazł się nagle tuż przy Virginii i Marilyn i nikt go nie zauważył? To wszystko nie miało żadnego sensu.

Agenci popychali na podłogę tych turystów, którzy nie zdążyli się jeszcze położyć,

torując sobie drogę do porywacza i jego zakładniczki.

Miejscowy policjant, młody chłopak z wąsikami, dopadł ich pierwszy. Krzyknął, żeby się zatrzymali, i oddał ostrzegawczy strzał w powietrze.

Mężczyzna odwrócił się powoli, błyskawicznym ruchem wyciągnął z kieszeni SIG Sauer i strzelił mu w czoło. Potem obrócił się dokoła i skierował wzrok na Savicha, który stał w odległym kącie hali.

- Hej, to ja, Timmy Tuttle! - krzyknął. - Witaaaaam, was!

Savich zapanował nad emocjami, wywołanymi przez brzmienie tego głosu. Musiał to zrobić, żeby w ogóle móc normalnie funkcjonować. Wiedział, że rozmieszczeni w hali lotniska snajperzy mają Timmy'ego Tuttle'a na celownikach. Niedługo będzie już po wszystkim.

Przesunął się wzdłuż ściany, wślizgnął za ladę Karaibskich Linii Lotniczych i wraz z kilkoma towarzyszącymi mu agentami zbliżał się do Timmy'ego Tuttle'a.

Padły jednocześnie trzy strzały. To snajperzy, którzy by nie strzelali, gdyby nie mieli Tammy Tuttle na celowniku.

Savich podniósł głowę. Od Timmy'ego Tuttle'a dzieliło go teraz tylko kilka metrów, ale go nie widział. Czyżby spudłowali?

Rozległo się jeszcze kilka strzałów przy akompaniamencie krzyków przerażonych ludzi.

Savich doznał nagle bardzo dziwnego uczucia, które było tak silne, że szybko się odwrócił. Po swojej lewej stronie, w odległości około trzech metrów, zobaczył Sherlock i trzech agentów. Sherlock wstawała właśnie z kolan, z SIG Sauerem wymierzonym w miejsce, gdzie przed chwilą był Timmy Tuttle i Marilyn. Robiła wrażenie oszołomionej. Całą siłą woli powstrzymał się, żeby nie krzyknąć, żeby trzymała się z daleka, nie narażała na

niebezpieczeństwo. Ale co mogło jej grozić? Mężczyzna, który w rzeczywistości nie był człowiekiem z krwi i kości, tylko zjawą wysnutą z chorego umysłu Tammy Tuttle?

Savich dostrzegł jakiś ruch, poczuł zapach krwi i wiedział, że to Timmy Tuttle. Rzucił się biegiem w kierunku sali konferencyjnej. To było jedyne miejsce, gdzie Timmy mógł zabrać Marilyn. Kopniakiem otworzył drzwi.

Zatrzymał się z bronią gotową do strzału. Na środku sali stał duży stół i dwanaście krzeseł. Zauważył rzutnik, faks i kilka aparatów telefonicznych.

W sali nie było nikogo. Była całkowicie pusta. Nawet tu wyczuwało się zapach krwi Virginii. Zaczął przeszukiwać salę cal po calu, nerwowo przełykając ślinę.

A więc Timmy tu nie wchodził. Trzeba przeszukać inny pokój. Biegł przez hol, a kilku agentów za nim. Zauważył Sherlock, z bronią gotową do strzału - otwierała drzwi z napisem SECURITY.

Kiedy tam wpadł, Sherlock stała pośrodku pokoju, a trzech towarzyszących jej agentów przeszukiwało pomieszczenie. Sherlock stała w miejscu, wpatrując się w duże okno. Odwróciła się, zobaczyła go w otwartych drzwiach i agentów za jego plecami, przechyliła głowę na bok, jakby chciała o coś spytać, a po chwili zamknęła oczy i upadła na podłogę.

- Sherlock!

- Mój Boże, postrzelił ją?

- Co się stało?

Podbiegło do niej trzech agentów.

Savich wiedział, że nie może się tu zatrzymać, chociaż była to najtrudniejsza decyzja w jego życiu.

- Zajmijcie się nią! - krzyknął. - Deevers, Conlin, Marks, Abrams, idziecie ze mną!



- Oddycha - usłyszał za plecami głos jednego z agentów. - Wygląda na to, że nic się jej nie stało. Tego faceta tu nie było. Nie wiemy, gdzie się podział.

Okno, przemknęło mu przez myśl. Sherlock wpatrywała się w okno. Chwycił krzesło i rzucił je w szybę.

Przez otwór w stłuczonej szybie wydostali się na zewnątrz. Trzeźwo myśląc, nie można było przypuszczać, żeby Timmy Tuttle i Marilyn Warluski obrali tę drogę, kiedy szyba była jeszcze cała, ale to nie miało teraz znaczenia. Timmy Tuttle nie mógł obrać innej drogi. Przeszukali każdy cal ziemi, sprawdzili wszystkie budynki, poszli nawet na pas startowy, gdzie stał American 757, i rozmawiali z pilotem. Nie było żadnego śladu po Tammy czy też Timmy Tuttle ani po Marilyn. Jakby rozplynęli się w powietrzu, nie zostawiając po sobie niczego, co by świadczyło, że tu byli, poza zwłokami Wirginii Cosgrove i ciałem policjanta, którego Timmy Tuttle zabił strzałem w głowę.

Strzelał do policjanta z prawej ręki.

W tamtej stodole w Maryland, w pobliżu Plum River, strzał Savicha zmasakrował prawą rękę Tammy Tuttle.

W szpitalu amputowano jej prawą rękę.

Zaczął się zastanawiać, czy nie ogarnęło ich jakieś zbiorowe szaleństwo.

Ale nie, musiało być na to jakieś wytłumaczenie.

Jakiś mężczyzna musiał się wdrzeć na lotnisko, zabił Virginię Cosgrove i porwał Marilyn. Zauważono go dopiero wtedy, kiedy miał już Marilyn w swoich rękach.

Nikt nie miał ochoty wdawać się w rozmowę. Wszyscy agenci, którzy przebywali w hali lotniska, wyglądali, jakby całą noc spędzili na pijaństwie.

Savich i jego ludzie wrócili do pokoju ochroniarzy. Sherlock nie odzyskała jeszcze przytomności, leżała na podłodze przykryta kocami. Obok niej siedział lekarz.

Nikt nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Jimmy Maitland był blisko Sherlock.

Savich podniósł żonę z podłogi i usiadł na krześle, trzymając ją w ramionach.

- Wygląda, jakby spała - powiedział lekarz, stając obok niego. - Po prostu jakby spała.

Niedługo powinna się obudzić. Dowiemy się wtedy, co się stało.

- Rozesłaliśmy list gończy za Timmy Tuttle i Marilyn Warluski. Ci trzech agenci, którzy byli z Sherlock, niczego nie zauważyli.

Savich skinął tylko głową. Pomyślał, że już nic nie zdoła go zaskoczyć.

Po kilku minutach Sherlock otworzyła oczy. Popatrzyła na męża i uśmiechnęła się.

- Trzymasz mnie w ramionach, Dillon? Dlaczego? Co się stało?

- Nie pamiętasz? - spytał, chociaż wolałby nie znać odpowiedzi.

- Pamiętam, że wbiegłam do tego pokoju, a trzech agentów za mną. Nikogo tu nie

było. - Sherlock ścisnęła brwi. - Nie, tego nie jestem pewna. Coś tu było... może jakieś światło, coś, czego nie mogę sobie przypomnieć.

- Kiedy tu wszedłem, stałaś nieruchomo, wpatrując się w okno. Agenci przeszukiwali pokój. Po chwili upadłaś na podłogę.

- Widziałaś Timmy'ego Tuttle'a albo Marilyn? - spytał Jimmy Maitland.

- Pamiętam Timmy'ego Tuttle'a - powiedziała Sherlock. - Tego faceta, który wyglądał jak szaleniec i był blady jak jeden z jeźdźców Apokalipsy. Trzymał Marilyn za kark - aha, miał też nóż. Byłam przerażona, kiedy zobaczyłam, że Dillon wbiega za nim do sali konferencyjnej.

- Widziałaś, jak Timmy wchodził do sali konferencyjnej?

- Tak mi się wydaje. Ale nie jestem pewna. Czy on nie wszedł właśnie tutaj?

- Tego nie wiemy. Żaden z agentów go tu nie widział - odparł Savich. - Sherlock, musisz teraz odpocząć. Kiedy dojdiesz do siebie, pewnie coś ci się jeszcze przypomni. Boli

cię głowa?

- Trochę. Czemu pytasz?

- Czujesz się tak, jakbyś miała kaca?

- To prawda.

- Każdy, z kim rozmawiałem, zarówno agenci, jak i turyści - Savich zwrócił się do Jimmy'ego Maitlanda - wszyscy mają takie samo uczucie.

- Sherlock, dlaczego tylko ty upadłaś? - Maitland nachylił się nad nią. - Musiałaś coś zobaczyć.

- Usiłuję to sobie przypomnieć, sir.

Siedząc na kolanach męża, zaczęła nagle drżeć. Savich przytulił ją do siebie, próbując chronić, sam nie wiedząc przed czym. Nie chciał, żeby stała się jej jakaś krzywda, żeby znowu pojawiły się potwory.

- Dillon - odezwała się silnym głosem. - Już wszystko w porządku, zapewniam cię.

Muszę teraz to wszystko przemyśleć. Stało się coś dziwnego, prawda?

- Tak.

- To tkwi gdzieś w mojej głowie. Ale ja to wydobędę.

**20**

*Eureka, Kalifornia*

Morrie Jones wpatrywał się w siedzącą przed nim młodą kobietę. Udało się jej pokonać go, a nawet nieźle poturbować, zanim zdołał przed nią uciec. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Była taka chuda, wyglądała jak panienka z dobrego domu, niech ją nagły szlag... Z tymi jasnymi włosami, niebieskimi oczami i niewinną buzią była typową Amerykanką z wyższych klas społecznych. Ten cholerny adwokat poinformował go nawet, że ona jest rekonwalescentką po ciężkiej operacji, a mimo to nieźle mu przy grzała. Miał wielką ochotę

spłacić ten dług. Tym razem zrobiłby to nawet za darmo.

- Mówił pan, że nie musimy rozmawiać w obecności mojego adwokata, że ma pan dla mnie propozycję nie do odrzucenia - powiedział do Simona. - Pan jest z prokuratury?

- Nie - odrzekł Simon - ale prokurator okręgowy jest powiadomiony o mojej wizycie.

Widzę, Morrie, że poznajesz panią Savich.

- Ona nazywa się Frasier. To jest nazwisko tej facetki, którą będę skarżyć o napaść.

- Wnieś na mnie skargę, chłopcze, a znowu poharatam ci buzię - Lily postukała kostkami zaciśniętych dłoni. Morrie od dzieciństwa nie mógł znieść tego dźwięku. Jego ojciec zawsze tak robił, kiedy był pijany.

- Przestań - powiedział Monie, nie odrywając wzroku od jej rąk. - Dlaczego gliniarze was tu wpuścili?

Jeszcze raz postukała kostkami zaciśniętych dłoni. Nie robiła tego od czasu, kiedy zajmowała się bukmacherką i jakiś dzieciak z innej okolicy chciał zawłaszczyć jej terytorium.

- O co chodzi, Morrie? Jeszcze się mnie boisz?

- Zamknij się, ty zołzo!

- Powtórz to, a zobaczysz, co z tobą zrobię.

- Dość tego - wtrącił Simon. - Posłuchaj, Morrie. Chcemy się dowiedzieć, kto cię wynajął. Ta informacja może uratować ci życie.

Morrie zaczął pogwizdywać *Old Man River*.

- Ojciec Rzeka - powiedział.

- Możesz nam tego oszczędzić, Morrie - roześmiała się Lily. - Masz trochę rozumu w głowie? To posłuż się nim. Herman Monk nie żyje. Dostał trzy kule w plecy.

- Nie znam żadnego Hermana Mońka. Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

To mogła być prawda.

- Monk stał się niewygodny. Nie żyje. Morrie, ty też jesteś niewygodny. Pomyśl tylko o swoim adwokacie. Kim on jest? Kto go przysłał? Kto mu płaci? Wierzysz, że on będzie się starał wyciągnąć cię z kłopotów?

- Ja go wynająłem. To mój dobry przyjaciel od kieliszka. Wspólnie oglądaliśmy walki w barze u Sama, wiesz, na Cliff Street.

Lily stuknęła palcami po pulpicie, nie dotykając oddzielających ich od Morriego krat.

- On ciebie wystawia na odstrzał, Morrie. Nie widzisz tego? Powiedział szeryfowi, że wziął twoją sprawę pro publico bono, mówiąc, że każdy człowiek ma prawo do obrony.

- Chcę papierosa.

- Nie bądź głupi. Chcesz umrzeć, wypluwając płuca po kawałku? Powiedział, że wziął tę sprawę za darmo, z dobroci serca. Przemyśl to sobie, Morrie. Co ten adwokat ci obiecał?

- Powiedział, że dzisiaj stąd wyjdę.

- Tak, słyszeliśmy o tym - wtrącił Simon. To była prawda, zgodnie z tym, co mówił porucznik Dobbs. Sędzia miał tylko ustalić wysokość kaucji. - Wiesz, co się wtedy stanie?

- Tak, pójdę sobie na piwo.

- To możliwe - przyznała Lily. - Mam nadzieję, że to piwo będzie ci smakowało, Morrie, bo nie dożyjesz do następnego rana. Ci ludzie nie lubią kłopotliwych sytuacji.

- Kim był ten Monk? - spytał Morrie.

- Kuratorem w muzeum, które wystawiało obrazy mojej babci - wyjaśniła Lily. -

Należał do grupy ludzi, którzy zlecili skopiowanie czterech obrazów i zastąpili oryginały falsyfikatami. Kiedy to się wydało i kiedy stało się oczywiste, że wszystkie ich sprawki wyjdą na jaw, Monk dostał trzy kule w plecy. Właśnie dlatego chcieli, żebyś mnie zabił. To były moje obrazy, a oni wiedzieli, że ja się dowiem, kto je ukradł. Ciekawa jestem, jak szybko ciebie zastrzelą, Morrie.

- Od razu wyjadę z miasta.

- To dobry pomysł - stwierdził Simon - ale nie tak łatwo go urzeczywistnić. Po pierwsze, wciąż siedzisz w więzieniu. Adwokat powiedział, że cię wyciągnie? Kto zapłaci kaucję, Morrie? Twój adwokat? To możliwe, biorąc pod uwagę, że ludzie, którzy cię wynajęli, mają dużo pieniędzy. Powiedzmy, że stąd wyjdiesz, i co dalej? Schowasz się w ciemnej ulicy? Będziesz czekał, aż cię zabiją?

Simon czuł, że Morrie mu wierzy. Odczekał jeszcze chwilę.

- Tak się składa, że mogę ci teraz pomóc.

- W jaki sposób?

- Pani Savich wycofa oskarżenie przeciwko tobie i wydobędziemy cię stąd, a twój prawnik się o tym nie dowie. Na pociechę dam ci jeszcze pięćset dolarów. Będziesz mógł wyjechać i zacząć wszystko od nowa. Podasz mi tylko nazwisko osoby, która cię wynajęła.

- Jak tylko stąd wyjdę, to zaraz złożę oskarżenie na tę panią Savich. Pięćset dolarów?

To gówno, a nie pieniądze.

Simon nie ugiął się. Wiedział, że Morrie musi się poddać. Wystarczy jeszcze jeden argument. Włożył rękę do kieszeni marynarki i włączył magnetofon.

- Muszę ci powiedzieć, Morrie, że porucznik Dobbs i prokuratura okręgowa nie chcieli się zgodzić, żebym ubijał z tobą jakiekolwiek interesy. Musiałem ich długo przekonywać. Oni chcą, żebyś po procesie poszedł na długie lata do więzienia. Ponieważ Lily nieźle cię poturbowała, to nie będzie już tylko jej słowo przeciwko twojemu. Jesteś trafiony i zatopiony, Morrie.

Po trzech minutach negocjacji Simon zgodził się dać Morriemu Jonesowi osiemset dolarów, Lily zgodziła się wycofać oskarżenie, a Morrie zgodził się podać im to nazwisko.

- Zanim cokolwiek powiem, chcę zobaczyć, jak ona podpisuje ten papier, i chcę

zobaczyć pieniądze.

Porucznik Dobbs i przedstawiciel Prokuratury Okręgowej nie byli zachwyceni takim obrotem sprawy, wiedzieli jednak, że Morrie był jedynie pionkiem w porównaniu z osobą, która go wynajęła.

Lily w obecności porucznika Dobbsa, zastępcy prokuratora, detektywa i dwóch policjantów podpisała oświadczenie, że wycofuje oskarżenie przeciwko dwudziestoletniemu Morriemu Jonesowi.

Kiedy znowu znaleźli się sami, Morrie odchylił się w swoim krześle.

- A teraz daj mi pieniądze, ty ważniaku, jeśli chcesz, żebym znowu otworzył usta.

Simon wstał, wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i wyłożył całą jego zawartość. Było tam osiem banknotów studolarowych i jedna dwudziestka.

- Cieszę się, że całkowicie mnie nie wyczyściłeś, Morrie. Za tę dwudziestkę kupimy sobie z Lily kilka tortilli.

Morrie uśmiechnął się cynicznie, patrząc, jak Simon zaczyna przesuwać banknoty pod kratą.

- Powiedz mi wszystko, Morrie.

- Właściwie to nie znam nazwiska. Hej, nie zabieraj tych pieniędzy. Mam coś równie dobrego jak nazwisko. Ona do mnie zadzwoniła. Ta kobieta, z takim bardzo wyraźnym akcentem, prosto z Południa, rozumiesz? Głos monotony i bardzo powolny. Nie podała swojego nazwiska, tylko nazwisko Lily Frasier. Opisała jej wygląd, powiedziała, gdzie mieszka, i żeby zrobić to jak najszybciej.

Więc poszedłem do banku, wziąłem pieniądze i ruszyłem do pracy. - Morrie zerknął na Lily z ukosa. - Tyle tylko, że to nie wyszło tak, jak miało być.

- Nie wyszło, bo jesteś mięczakiem, Morrie.

Morrie uniósł się na krzesło. Stojący pod ścianą strażnik więzienny natychmiast przyjął czujną postawę, ale Simon uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Ile zapłaciła ci ta kobieta za zabicie Lily?

- Dała mi tysiąc zaliczki. Po wszystkim, jakby to się ukazało w wiadomościach, miałem dostać jeszcze pięć tysięcy.

- Co ty na to, Simon? - Lily patrzyła uważnie na Morriego. - Byłam warta tylko sześć tysięcy dolarów?

- Tylko tyle - uśmiechnął się Morrie. - Wiesz, zrobiłbym to za jeszcze mniej, gdybym wiedział, coś ty za jedna.

Simon zorientował się, że rozmowa z tym młodym bandytą bawi Lily. Stuknął ją lekko łokciem, ale nie dała się powstrzymać.

- To, co zrobiłam tobie, zrobiłam za darmo. Simon spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Morrie, jaki to bank?

- Najpierw daj mi pieniądze.

Simon przesunął banknoty pod kratą. Morrie szybko przykrył je dłonią.

- Wells Fargo - powiedział. - Na First Street. Pieniądze były na moje nazwisko.

- Nie spytałeś, kto je tam dla ciebie zostawił? Chłopak potrząsnął głową.

- Dziękuję, Morrie. - Lily wstała z krzesła. - Porucznik Dobbs mówi, że wyjdiesz dziś po południu. Zgodził się nie zawiadamiać o tym twojego adwokata. Dam ci radę: natychmiast zwiewaj z tej okolicy. Tym razem nie musisz się bać mnie, tylko tej kobiety, która cię wynajęła. Ona na pewno nie chciałaby, żebyś żył, i jest zdolna do tego, żeby cię sama tej przyjemności pozbawić.

- Wiecie, kim ona jest?

- Tak, wiemy - odparła Lily. - Ona by cię zjadła na śniadanie. A gdzie te tysiąc



dolców, które ci dała?

- Nie twój cholerny interes. - Morrie odwrócił wzrok.

- Przegrałeś je w pokera, prawda? - roześmiała się Lily.

- Nie, do diabła. W bilard.

Clark Hoyt czekał na nich w biurze porucznika Dobbsa. Stał tam z rękami skrzyżowanymi na piersi; miał dziwny wyraz twarzy.

- Dzwonił do mnie Savich, na dodatek z Saint John's z Antigui. Prosił, żeby wam powiedzieć, że zaraz rozpęta się piekło we wszystkich mediach, ale on i Sherlock są cali.

Tammy Tuttle porwała Marilyn Warluski i obie zniknęły. To wszystko działo się tam na lotnisku. Savich powiedział, że to całkowita porażka.

- Antigua? - powtórzył Simon. - Rozumiem, że nie mógł nam powiedzieć, że tam był.

- Dillon długo nie będzie mógł sobie tego darować. - Lily pokiwała smutno głową.

- Savich nie podał mi żadnych szczegółów - powiedział Hoyt. - Mówił, że zadzwoni wieczorem. Powiedziałem mu, gdzie się teraz zatrzymaliście. No dobra, powiedzcie mi, kto wynajął Morriego.

- Właśnie - dorzucił porucznik Dobbs, wchodząc do swojego biura. - Kto to był?

- Moja teściowa - odparła Lily. - Nie mam żadnych wątpliwości, że to była Charlotte.

Nie podała Morriemu swojego nazwiska, ale ten jej akcent...

- A więc już wiecie, ale nadal nie ma dowodów. - Porucznik Dobbs potrząsnął głową.

- Razem z Hoytem przesłuchiwalismy Frasierow, całą trójkę, ale pojedynczo. Przy każdym przesłuchaniu był ich adwokat, Bradley Abbott, niezły zresztą skurwiel. Frasierowie odmówili odpowiedzi na pytania. Abbott odczytał nam oświadczenie, w którym Frasierowie twierdzą, że to wszystko stek bzdur. Przykro im z powodu śmierci pana Mońka, ale oni nie mieli z tym nic wspólnego. Powiedzieli też, że Lily jest wariatką, która z jakiegoś

niezrozumiałego powodu chce się na nich zemścić, i że nie można wierzyć temu, co ona mówi. Potrzebujemy więcej dowodów, żeby móc przyprowadzić ich na komisariat i ponowić przesłuchanie.

- Poślę dwóch agentów, żeby mieli Morriego Jonesa na oku. - Hoyt zwrócił się do Simona i Lily. - Porucznik Dobbs będzie bardzo zadowolony, szczególnie że brakuje mu ludzi.

- Teraz mam morderstwo do rozpracowania - oświadczył porucznik Dobbs. - Sprawę Lily - usiłowanie morderstwa - muszę przesunąć na dalszy plan. To wszystko jest bardziej skomplikowane niż węzeł gordyjski i równie ze sobą splecione.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, poruczniku - powiedział Simon - to chciałbym pójść do Wells Fargo i sprawdzić, czy jest jakiś dowód na to, kto dał Morriemu tysiąc dolarów za napaść na Lily. To mało prawdopodobne, ale warto spróbować.

- Ona zapłaciła temu gnojkwowi tylko tysiąc dolarów za wyciszenie Lily? - Porucznik Dobbs był zdumiony.

- Ależ nie - wtrąciła szybko Lily. - Jestem warta o wiele więcej. Po wykonaniu roboty miał dostać jeszcze pięć tysięcy.

W banku, dzięki temu, że byli w towarzystwie Hoyta, natychmiast zajęto się ich sprawą. Jeden z wiceprezesów, których było więcej niż kasjerów przy okienkach, rzucił się do komputera, żeby sprawdzić przelewy dokonane tego ranka, kiedy Monie zaatakował Lily w autobusie.

Po chwili pan Trempani uniósł głowę znad klawiatury.

- To bardzo dziwne. Pieniądze zostały przesłane na nazwisko pana Momego Jonesa przez firmę pod nazwą Tri - Light Investments. Czy ktoś z państwa słyszał o takiej firmie?

- Tri - Light - powtórzyła Lily. - Nie wydaje mi się, żeby Tennyson kiedykolwiek

wymienił tę nazwę.

- Co to za jedni? - spytał Hoyt.

- Mamy tylko ich numer konta w Szwajcarii, w Zurychu. Habib Bank AG i adres: 59 Weinbergstrasse.

- Ciekawe - zauważył Simon.

- Zadzwoń do Interpolu, żeby to sprawdzili - powiedział Hoyt. - Ale nie liczcie na to, że się czegoś dowiemy. W takich wypadkach Szwajcarzy milczą jak zakłeci. - Namyślał się przez chwilę. - Simon, ty kogoś podejrzewasz, prawda? Tu chodzi nie tylko o Frasierów. O kogo jeszcze?

- Jeśli właścicielem Tri - Light Investments okaże się Szwed, Olaf Jorgenson, to nasze przypuszczenia się potwierdzą.

- To kolekcjoner, prawda? - spytał Hoyt. - To wszystko wiąże się ze sprawą obrazów pani Savich. Myślicie, że zostały skopiowane na jego zamówienie?

- Możliwe - przyznał Simon.

- Nawet bardzo możliwe - stwierdziła Lily. - Niech pan zadzwoni do nas na komórkę, kiedy się pan czegoś dowie.

- Obiecaliście, że nie będziecie pakować się w kłopoty - przypomniał Hoyt. - A to oznacza, że nie pójdziecie beze mnie do Charlotte Frasier.

*Hemlock Boy, Kalifornia*

Lily poprosiła Simona, żeby zatrzymał się przy aptece pana Bullocka. Znalazł wolne miejsce tuż obok pralni chemicznej Sporesa. Za dużą szybą wystawową wisiały trzy świeżo wyprane perskie dywany. Był tam też stary człowiek, który im się ciekawie przyglądał.

Po dziesięciu minutach Lily wyszła z apteki. Wsiadła do samochodu i głęboko odetchnęła.

- Jakie to piękne miasto - powiedziała. - Czujesz zapach oceanu, sól osadza ci się na skórze. To cudownie.

- OK, zgoda. Piękne miasto, piękny zapach oceanu, ale co się stało?

- Wizyta w aptece to było poważne przeżycie. Opowiedziała mu, co ją spotkało. W aptece było około dziesięciu osób, które natychmiast się od niej odsunęły, wymieniając tylko uwagi za jej plecami i nie odpowiadając na pozdrowienia. Lily odczuła ulgę, kiedy pan Bullock, co najmniej osiemdziesięcioletni staruszek, skinął jej głową.

- Wszyscy są bardzo zmartwieni tym, że znowu chciała się pani zabić, pani Frasier - powiedział, podając jej aspirynę.

- Nie zrobiłam tego, panie Bullock.

- Słyszeliśmy, że zrzuciła pani winę na doktora Frasiera i że go pani porzuciła.

- Wszyscy w to wierzą?

- Państwa Frasierów znamy od dawna. O wiele dłużej niż panią.

- Nie ma w tym za grosz prawdy, panie Bullock. Ktoś próbował mnie zabić, i to już trzy razy.

Pokręcił tylko głową, patrząc na buteleczkę aspiryny.

- Pani są potrzebne o wiele mocniejsze leki, pani Frasier. Jeśli pani tego nie zrozumie, to nie dożyje pani mojego wieku.

- Mógłby pan porozmawiać na ten temat z porucznikiem Dobbsem w Eureka.

Pan Bullock już się więcej nie odezwał. Lily nie miała ochoty sprzeczać się ze staruszką, więc zapłaciła i szybko wyszła z apteki.

- To ciekawe, że poza panem Bullockiem nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Tylko stali i słuchali.

- Mimo wszystko to piękne miasto - stwierdził Simon. - Jak widać, Frasierowie nie

próżnowali. Może zjemy teraz lunch?

Pojechali do małej restauracji na molo.

- Chcę odwiedzić córkę - powiedziała niespodzianie Lily. Simon nie zrozumiał.

- Chcę jechać na cmentarz - wyjaśniła ze łzami w oczach. - Na pewno prędko tu nie wrócę. Chcę się pożegnać.

Nie mógł puścić jej tam samej, to było zbyt niebezpieczne. Rozumiała to. Zatrzymali się przy małej kwiaciarni, Molly Ann's Blooms, na końcu Whipple Avenue.

- Hilda Gaddis jest właścicielką kwiaciarni. Przysłała piękny bukiet żółtych róż na pogrzeb Beth.

- Maj ą tu ładne żonkile.

- Tak. Beth uwielbiała żonkile.

Cmentarz znajdował się w pobliżu kościoła prezbiteriańskiego, był osłonięty rzędami świerków i sekwoi.

Poszedł razem z nią aż do nagrobka z białego marmuru, ozdobionego rzeźbą anioła.

Na marmurze wyryte było imię i nazwisko dziewczynki, data urodzenia i śmierci oraz słowa:

*Była radością mojego życia.*

Lily bezgłośnie płakała. Simon patrzył, jak osuwa się na kolana i układa na grobie żonkile.

Chciał ją pocieszyć, wiedział jednak, że w takiej chwili powinien zostawić ją samą.

Wrócił więc do samochodu.

Usłyszał dzwonienie swojej komórki.

To był Clark Hoyt. Wydawał się niesłychanie podniecony.

Savich nie miał tam już nic więcej do roboty. Timmy Tuttle, który miał zdrowe obie ręce, przetrzymywał gdzieś Marilyn, a Savich nie chciał nawet myśleć o tym, co on z nią robi.

A może Marilyn była we władzy dwóch różnych osób: mężczyzny o dzikich oczach i z dwiema zdrowymi rękami oraz kobiety z jedną ręką i szaleństwem w oczach.

Savich nie potrafił dać sobie z tym rady. To przez niego Marilyn wpadła w pułapkę, przez niego zginęła agentka FBI i policjant. Wiedział, że szybko się nie uwolni od widoku Virginii Cosgrove z podejrzanym gardłem.

Jimmy Maitland położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie zadręczaj się tym, Savich. Sam aprobowałem wszystkie twoje posunięcia.

Zderzyliśmy się z czymś, czy też kimś, czego nikt nie mógł się spodziewać. Musisz o tym zapomnieć i dalej robić swoje. - Przeczesał palcami siwe włosy. - Jedziemy do domu, tutaj już nic nie zdziałamy. Zostawiam tu Vinniego Arbusa i jego antyterrorystów. Będą szukać Marilyn i koordynować działania tutejszej policji. Z czasem wszystko się wyjaśni. Na pewno znajdzie się wytłumaczenie na to, co się tu działo.

Savich nie spuszczał oczu z Sherlock. Zachowywała się inaczej niż zwykle - była zamyślona i bardzo cicha. Najwidoczniej analizowała w myślach to, co się wydarzyło.

Zostało jeszcze wiele spraw do wyjaśnienia, pomijając te niewytłumaczalne. A co najważniejsze, nie było śladu mężczyzny, który porwał Marilyn Warluski na lotnisku w St. John's.

Po powrocie do Waszyngtonu Savich poszedł na siłownię i ćwiczył aż do całkowitego wyczerpania.

Kiedy wrócił do domu, synek przyrączkował do niego i chwycił go za nogawki.

Savich schylił się, żeby go podnieść, ale usłyszał głos Sherlock.

- Nie, zaczekaj chwilę.

Sean szarpnął go za spodnie, zacisnął materiał w piąstkach i stanął na nóżki.

Uśmiechnął się do ojca, podniósł jedną nogę do góry, a potem drugą.

Savich zapomniał nagle, że poniósł porażkę, opuściło go poczucie winy. Schylił się, podniósł Seana i tak długo go podrzucał, aż dzieciak zaczął wrzeszczeć.

Tego wieczoru Savich sam napisał notatkę w dzienniczku osiągnięć Seana:

„Niesłychany krok do przodu. Podnosi kolejno nogi do góry. Niedługo zacznie chodzić. Jego babcia mówi, że ja też wcześniej zacząłem chodzić”.

- Sean pomaga nam odnaleźć się w tym chaosie, prawda? - spytała Sherlock, kiedy leżeli już w łóżku.

- Tak. Wróciłem do domu całkowicie wyczerpany, a tu on pełźnie do mnie, podnosi się do góry i zaczyna ćwiczyć kroki. Nie sądziłem, że coś zdoła mnie dziś ucieszyć, ale tak było.

- Nie czuj się winny z tego powodu. Powinieneś być zobaczyć Gabrielle, która aż pękała z dumy. Wcale nie miała ochoty wracać do domu. Czekam, aż zadzwoni jej mąż z pretensją, że ją zbyt długo przetrzymujemy.

Savich pocałował żonę w czoło, przewrócił się na plecy i wpatrywał się w sufit.

- Dillon?

- Hm?

- Przypomniałam sobie, co się wydarzyło w tym pokoju na lotnisku.

*Hemlock Bay*

Simon, trudno ci będzie w to uwierzyć - powiedział Hoyt.

- - Dobra, o co chodzi, Clark?

. - Porucznik Dobbs, on ma...

Simon usłyszał, że coś się poruszyło na tylnym siedzeniu samochodu, ale zanim

zdążył się odwrócić, otrzymał silne uderzenie w prawą skroń. Osunął się na kierownicę i uderzył w nią głową - klakson zawył przeraźliwie.

Lily usłyszała klakson. Czy to ich wynajęty samochód? Przecież był tam Simon.

- Simon? Simon, gdzie jesteś? Co się stało, do cholery?

Nagle zdała sobie sprawę, że dzieje się coś złego. Zerwała się na nogi i popędziła wypiełgnowanymi drózkami cmentarza w stronę parkingu. Zorientowała się, że biegnie za nią jakiś mężczyzna, słyszała chrzęst żwiru pod jego stopami.

Zwiększyła tempo, ominęła parking, zawracając do gęsto rosnących sekwoi i świerków. Zawsze bardzo szybko biegała.

Mężczyzna krzyknął, ale nie do niej. Wołał do swojego pomocnika. Co się stało

Simonowi? Klakson nadal wył, ale już nie tak blisko. Zrozumiała, że Simon musiał upaść na kierownicę. Nie żył? Nie, to niemożliwe.

Wybiegła spomiędzy drzew, po drugiej stronie cmentarza. Tam był ten cholerny klif - miała przed sobą całe kilometry stromej skały. Co robić?

Pobiegła wzdłuż krawędzi klifu, szukając zejścia. W pewnym miejscu skała

wykruszyła się i powstało coś w rodzaju krętej dróżki. Nie wahając się ani chwili, pobiegła w dół. Gdyby została na górze, na pewno by ją złapali albo po prostu zastrzelili. Na plaży miała większe szanse.

Musiała zwolnić, bo ścieżka była bardzo stroma. Potykała się, a raz omal nie spadła.

W ostatniej chwili uchwyciła się jakiegoś kolczastego krzewu, raniąc sobie dłonie.

Dopiero teraz usłyszała wrzaski mew.

Wiedziała, że ścigający ją mężczyźni musieli już dotrzeć do tej ścieżki. Na pewno

będą ją gonić. A co było na plaży? Może znajdzie jakieś miejsce, gdzie będzie mogła się ukryć, jaskinię, cokolwiek.



Z trudem łapała oddech. Biegła, nie odrywając wzroku od krętej ścieżki. Kiedy się wreszcie skończy? Słyszała krzyk mężczyzn. Wołali, żeby wróciła na górę, że nie zrobią jej krzywdy.

Zrobiła jeszcze trzy kroki, kiedy rozległ się strzał. Kula odbiła się od skały, tuż obok niej, odłamek skalny uderzył ją w nogę, ale nie przebił dzinsów.

Skuliła się i pobiegła zygzakiem. Wreszcie dotknęła stopami twardego piasku.

Odważyła się spojrzeć do góry: jeden z mężczyzn zbiegał w dół, a drugi celował do niej. Miał tylko krótką broń, na szczęście niezbyt przydatną przy tak dużej odległości. Strzelił jeszcze trzy razy, ale żadna kula nie padła blisko niej.

Potknęła się o wyrzucony przez morze kawałek drewna i upadła twarzą w piasek.

Leżała przez chwilę, gwałtownie łapiąc oddech, lecz zaraz poderwała się na nogi. Zobaczyła, że zbiegający ścieżką mężczyzna to wielki facet, który nie tylko nie był zręczny, ale też nieostrożny. Miał na nosie lotnicze okulary, więc nie widziała wyraźnie rysów jego twarzy.

Miał gęste, brązowawe włosy i trzymał w ręku broń. Widziała, że się potknął i gwałtownie zamachał rękami, żeby chwycić równowagę. Po chwili potoczył się bezwładnie w dół ścieżki i ciężko upadł na piasek. Nie poruszał się. Gdzie podziała się jego broń? Ta broń była jej ostatnią szansą. Szybko pobiegła w jego kierunku, chwytając po drodze kawałek drewna.

Rzuciła je po chwili, bo było zbyt namoknięte, i wzięła do ręki kamień. Pochyliła się nad napastnikiem i z całej siły uderzyła go kamieniem w głowę. Wsunęła rękę do wewnętrznej kieszeni jego kurtki i wyjęła portfel. Schowała go do kieszeni i wtedy zauważyła, że na ścieżce leży pistolet.

Stojący na górze mężczyzna wrzeszczał i nie przestawał strzelać, ale ona nie zwracała już na niego uwagi. Złapała pistolet i pognęła wzdłuż plaży.

*Waszyngton*

Savich czuł, że serce zaczęło mu bić przyspieszonym rytmem. Usiadł na łóżku i zapalił lampę.

- Powiedz mi.

- Pamiętam, że się bałam o ciebie, kiedy wchodziłeś do tej sali konferencyjnej. Jestem pewna, że widziałam, jak Timmy Tuttle wciągał Marilyn do pokoju ochroniarzy. Pobiełam tam, a za mną trzech agentów. Pokój był pusty. Przynajmniej tak mi się początkowo wydawało. Nagle zobaczyłam jaskrawe światło, które mnie prawie oślepiło. Nie mogłam ruszyć się z miejsca. Ten blask koncentrował się przy oknie, a Timmy i Marilyn byli w samym jego środku. Słyszałam, jak agenci wrzeszczeli na siebie, i zorientowałam się, że oni nie widzą tego co ja. Nadal nie mogłam się poruszyć. Byłam przygwożdżona do miejsca, nie mogąc oderwać oczu od tego białego światła. Wtedy Timmy Tuttle chwycił Marilyn za kark i...

- I co?

- Dillon, przysięgam, że nie jestem wariatką.

- Wiem - powiedział i przytulił ją do siebie.

- Oni po prostu zniknęli. Najpierw byli tuż przede mną, potem stali przed oknem, które było skąpane w tym oślepiającym świetle. Potem zaczęli się oddalać w tym świetle i po chwili już ich nie było. To wszystko, co zdołałam zapamiętać.

- Doskonale, Sherlock. To się dobrze komponuje z całą resztą. Tammy Tuttle posłużyła się masową hipnozą. Wiesz, jak David Copperfield przeszedł przez Wielki Chiński Mur? Wiesz, jak na oczach milionów widzów - większość oglądała to w telewizji - dał się przeciąć piłą na pół?

- Tak. Myślisz, że Tammy też ma takie możliwości?

- To jedyne racjonalne wytłumaczenie. Ona, czy też on, przez chwilę widziani byli z

Marilyn, a potem jej, czy też jego, już tam nie było. Uważam, że zrobiła to całe przedstawienie, żeby nam udowodnić, że porwaliśmy się na prawdziwego mistrza. Myślę, że Tammy dobrze wiedziała, że zastawiam na nią pułapkę, a Marilyn służy za przynętę. Wiedziała, że będziemy czekać na nią na lotnisku. Była na to przygotowana. Domyślam się też, że ona chce, żebyśmy uwierzyli w jej nadprzyrodzoną moc, w coś, czego nasze słabe umysły nie są w stanie ogarnąć. Ale tak nie jest, chociaż trzeba przyznać, że jest w tym bardzo dobra. Chciała nas śmiertelnie przestraszyć, sparaliżować. Ciekaw jestem tylko, dlaczego nie próbowała mnie zabić.

- Bała się do ciebie zbliżyć. - Sherlock dotknęła palcami jego policzka. - Bardzo dużo o tym myślałam, Dillon. Ona wie, że nie potrafi cię zahipnotyzować, kiedy stoisz na tyle blisko, żeby cię mogła zabić.

- Chcesz powiedzieć, że z bliska nie widziałbym Timmy'ego, tylko Tammy?

- Tak myślę. Jeśli ona nie może się do ciebie przybliżyć, to wystawia się na niebezpieczeństwo. Kiedy byłeś w tej stodole w Maryland, w jakiej odległości od niej stałeś?

- Około siedmiu metrów.

- Ona była tylko sobą? Tammy Tuttle?

- Tak. Wzywała ghule, ale nie zmieniła wyglądu. Kiedy do niej strzeliłem, widziałem, jak kula rozrywa jej rękę, widziałem, jak pada i wrzeszczy z bólu. Przez cały czas była sobą.

- W takim razie - powiedziała Sherlock - bała się zbliżyć do ciebie na lotnisku, bo wiedziała, że zobaczysz ją taką, jaka jest, i zabijesz. Po tym spotkaniu w stodole zrobiła się ostrożna.

- Kiedy byłem w siłowni, zadzwonił Jimmy Maitland. Powiedział, że Jane Bitt z Wydziału Nauk Behawioralnych przypuszcza, że Tammy ma również zdolności telepatyczne. Nie jest tego pewna, sądzi jednak, że po tym, czego Tammy zdołała dokonać na lotnisku, taką

hipotezę można również brać pod uwagę.

- Może ma zarówno ten talent, jak i umiejętność stwarzania iluzji - powiedziała

Sherlock. - Uważam, że masz rację. Tammy wiedziała, że zastawiasz na nią pułapkę, a

Marilyn służy za przynętę. Z jakiegoś powodu chciała, żeby ta dziewczyna do niej wróciła.

Mam tylko nadzieję, że nie dlatego, żeby ją mogła zabić. Może ona rzeczywiście ma słabość

do Marilyn. Może podbudowuje jej ego, może przy niej czuje, że posiada władzę - Marilyn

jest tak bardzo podatna na sugestię. Tammy może sprawić, że Marilyn zobaczy i uwierzy we

wszystko, co ona jej podsunie. Mówiłeś mi chyba, że Marilyn wierzy we wszystko, co mówi

Tammy.

- Tak, i to wcale nie jest udawane, Sherlock. Doktor Hicks powiedział, że nawet pod

hipnozą Marilyn bała się Tammy i wierzyła we wszystko, co tamta jej mówiła.

Savich wyskoczył z łóżka i szybko włożył dżinsy.

- Popracuję nad tym razem z MAXEM.

Pochylił się nad łóżkiem, uśmiechnął się do żony, wziął ją w ramiona i tak pocałował,

że przemknęło jej przez myśl, że spotkanie z MAXEM można by odłożyć do rana. Wiedziała

jednak, że zbyt wiele pytań kłębiło mu się w głowie i chciał szybko znaleźć na nie

odpowiedź.

- Niedługo wrócę.

Zgasiła lampę i podciągnęła kołdrę pod brodę. Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała, jak

Dillon przemawia do MAXA w swoim gabinecie. Usłyszała też, że się roześmiał.

**22**

*Hemlock Boy, Kalifornia*

Nie było tam jaskiń, nawet żadnego wgłębienia w skałę, gdzie by się mogła wcisnąć i

przeczekać. Rozpościerała się przed nią niekończąca się plaża, usiana wyrzuconym przez

ocean drewnem i śliskimi wstęgami wodorostów, na których łatwo było się poślizgnąć.

Miała jednak broń. Nie znała się na niej, wiedziała tylko tyle, że ma w ręku pistolet, z którego można zabić, jeśli podejdzie się wystarczająco blisko do ofiary.

Słońce schowało się za chmurami i zrobiło się chłodno. W każdej chwili mógł spaść deszcz. Nie wiedziała, czy to jej pomoże, czy nie.

Czy tych mężczyzn było trzech? Jeden został przy Simonie, a dwóch ją ścigało? Może było ich tylko dwóch, może Simonowi udało się uciec i wezwać pomoc. Oboje zachowali się jak ostatni krety - powiedzieli ochroniarzom z FBI, że jadą tylko na cmentarz i chcą być sami, więc spotkają się ponownie w mieście.

Zatrzymała się, bo zabrakło jej tchu. Przyłgnęła do skalnej ściany i obejrzała się do tyłu.

- Lily Frasier! - Usłyszała nagle głos jednego z tych mężczyzn. - Mamy Simona

Russa. Jeśli się nie poddasz, zabijemy go. Potem nasi przyjaciele osaczą cię na drugim końcu plaży. Zobaczysz, co ci wtedy zrobimy.

Te słowa przywróciły jej zdolność oddychania. Ten mężczyzna miał silny akcent - wymuszony i nienaturalny. Szwedzki. Niech to szlag, chyba pojawił się tu sam Olaf Jorgenson albo przysłał swoich przyjaciół. Pobieгла przed siebie, okrążyła cypel skalny i spojrzała do góry. Ucieknie im - dojrzała prowadzącą do góry ścieżkę i natychmiast zaczęła się wspinać, przytrzymując się rękami występów skały, było szybciej. Nie mogli jej dostrzec, dopóki sami nie okrążą cypla.

Nie mogą zabić Simona. Na pewno zostawili go w samochodzie. A jeśli pilnował go jakiś trzeci mężczyzna, to i tak nie mogliby się z nim porozumieć. Chyba że mieli telefon komórkowy. Teraz wszyscy mieli komórki. Och, Boże, nie, modliła się w duchu. Na pewno blefowali.

Potknęła się, kilka kamieni i sporo małych kamyczków osunęło się w dół. Zamarła na chwilę, ale zaraz znowu ruszyła do przodu. Kiedy znalazła się na górze klifu, zaczęła biec. Ci mężczyźni pewnie już wiedzieli, którądy uciekła.

Musiała się spieszyć. Wszystko ją bolało, ale nie zwracała na to uwagi. Musi ratować Simona. Dobiegła do ogrodzenia cmentarza, przeszła przez żeliwne ogrodzenie i pobiegła dróżką w kierunku parkingu.

Klakson już przestał wyć.

Jeszcze chwila. Dojrzała ich wynajęty samochód, ale nie widziała Simona. Podbiegła do auta. Leżał na przednim siedzeniu, nieprzytomny lub martwy.

Otworzyła drzwi.

- Simon! Zbudź się, do diabła! Zbudź się! Jęknął, usiłując się podnieść.

- Ściga nas dwóch mężczyzn. Mają broń. Uciekłam im, ale niedługo tu będą. Przesuń się. Pojadę wprost do więzienia i poproszę porucznika Dobbsa, żeby nas tam zamknął. To jedyne bezpieczne miejsce na świecie. Adwokaci nie mają wstępu. Tylko porucznik Dobbs. On może nam przynosić jedzenie. Wezwiemy Dillona i Sherlock. Oni to wszystko rozpracują i dopiero wtedy stąd wyjedziemy.

Wygłaszając tę przemowę, przesunęła Simona na siedzenie obok kierowcy.

- Wszystko będzie dobrze. Teraz ja prowadzę. Odpocznij sobie, Simon.

- Nie, Lily, nic z tego. Już nigdzie nie pojedziesz. Słyszac ten przesłodzony głos, Lily wolno odwróciła głowę. Charlotte Frasier trzymała w ręku długą strzelbę i celowała w nią.

- Sprawiasz nam zbyt wiele kłopotów. Gdybym sama się tym nie zajęła, znowu byś nam uciekła. Do trzech razy sztuka. Lily, wysiadaj z samochodu! I to już!

Lily niezbyt się nawet zdziwiła, że to nie Elcott, tylko Charlotte. Miała ochotę się uśmiechnąć. Charlotte nie wiedziała, że ona ma broń. Czy Charlotte ośmieliłaby się zabić ich

na cmentarnym parkingu? Tak, była przekonana, że teściowa jest zdolna do wszystkiego.

Nadal była na wolności, chociaż pan Monk zginął już trzy dni temu.

Zobaczyła, że tamci mężczyźni już do nich biegną. Musiała coś wymyślić, i to szybko.

Otworzyła drzwi samochodu, podnosząc jedną rękę, a drugą chowając z tyłu.

- A gdzie Elcott? - spytała, chcąc, choćby na chwilę, odwrócić uwagę Charlotte. - A twój wspaniały synek? Tak bardzo mnie kocha, że chce mnie pogrzebać? Nie czają się gdzieś w ukryciu, czekając na twoje rozkazy?

- Jak śmiesz tak mówić o moim mężu i synu... Lily podniosła pistolet i wystrzeliła.

*Waszyngton Siedziba FBI*

Mamy go! - krzyknął Ollie Hamish, wbiegając do biura Savicha. - Mamy Anthony'ego Carpellego, znanego pod nazwiskiem Wilbur Wright. Dopadliśmy go w Kitty Hawk. Klęczał tam przed pomnikiem i nie stawiał oporu, kiedyśmy go zwiłali.

Savich był roztargniony i przez chwilę nie wiedział, o czym Ollie mówi. Potem przypomniał sobie tego guru z Teksasu, który kazał swoim wyznawcom zabić szeryfa i jego dwóch zastępców. Był Kanadyjczykiem o sycylijskich korzeniach, studiował na McGill University i zrobił dyplom z biologii molekularnej.

- Usiądź, Ollie - powiedział Savich. - Mówiłeś, że on klęczał przed pomnikiem? Jakby się modlił?

- Może i tak. Wszyscy agenci byli uradowani, że to tak łatwo poszło, że postanowili to uczcić. Od jedenastej rano piją piwo. Mamy go, Savich. Teraz zostanie odesłany do Teksasu, gdzie prawdopodobnie czeka go krzesło elektryczne.

- Chyba nie - powiedział Savich. - Pamiętaj, że on nie jest bezpośrednio powiązany z tamtymi zabójstwami - to są tylko podejrzenia kobiety, która jest na niego wściekła.

- Wiem, chodzi o Lureen. Ona będzie głównym świadkiem oskarżenia. Złapali też

jeszcze dwóch ludzi z sekty Wilbura. Wszyscy się spodziewają że pogrążą go właśnie jego wyznawcy. W każdym razie mamy go i nikogo już więcej nie zabije. Hej, Savich. Powinieneś być z tego zadowolony. Przecież to ty i twój MAX przewidzieliście, że on pojedzie do Kitty Hawk.

Savich zorientował się, że był tak zaabsorbowany sprawą Tammy Tuttle, że w gruncie rzeczy Wilbur Wright niewiele go obchodził. A przecież odnieśli zwycięstwo i powinni się z tego cieszyć.

- Jestem zadowolony - uśmiechnął się do Olliego. - MAX odkrył jeszcze szesnaście morderstw w południowo - zachodnich Stanach, które wyglądają na robotę Wilbura. Można mu zarzucić więcej zbrodni, oprócz tej jednej. Dane Carver się tym zajmuje. Teraz możesz oddać Wilbura Wrighta w ręce naszych lekarzy, żeby stwierdzili, co nim powoduje.

- Nawet nie chcę tego wiedzieć.

- Niestety, ława przysięgłych będzie tego żądać. Spotkaj się z Dane'em i popracujcie nad tymi innymi zbrodniami, potem przesłuchajcie Wilbura.

- Przyjrzałem mu się, jak go złapaliśmy. Wiesz co, Savich, nigdy nie widziałem takiego martwego wzroku, a przecież tylu złoczyńcom patrzyłem już w twarz. Ten Wilbur był przerażający. Ciekawe, co on widzi tym martwym wzrokiem. Już niedługo zostanie przekazany do Teksasu z wystarczającymi dowodami winy, żeby go posadzić na krześle.

- Jego adwokaci będą na pewno walczyć przeciwko ekstradycji.

- No pewnie. Woleliby stan, gdzie się nie orzeka kary śmierci, ale jeśli będzie dość dowodów winy, to nic nie wskórają.

- Dobrze się spisaliśmy, Ollie. Teraz razem z Dane'em zajmiecie się tą sprawą, OK?

- Załatwione. - Agent Ollie Hamish siedział teraz pochylony, trzymając zaciśnięte dłonie między nogami. - Słyszałem różne opowieści o tym, co się wydarzyło na Antigui. Jak



się ta sprawa posuwa?

Savich opowiedział mu całą historię.

- Musimy się dowiedzieć, gdzie ona nauczyła się sztuki wytwarzania iluzji, żeby mieć pełną świadomość, do czego jest jeszcze zdolna. Już nasi ludzie nad tym pracują. Dodatkowo agenci przeczesują lotnisko na Antigui, żebyśmy mogli odpowiedzieć sobie na pytanie, jak się jej udało stamtąd uciec. Przepytują wszystkich w okolicach lotniska, przeszukują statki i prywatne czartery.

- Ona ma tylko jedną rękę i chyba jej stan fizyczny nie jest zbyt dobry, prawda? - spytał Ollie.

- Nie wiem tego. Chirurg powiedział, że jeśli wda się zakażenie, to bez antybiotyków może nie przetrzymać tygodnia. Ale jeśli nie będzie zakażenia, to szybko powróci do zdrowia. Mówił, że wspaniale zniosła operację. Spytałem go, czy nie zauważono kogoś innego zamiast Tammy Tuttle albo czy nie widziano jej tam, gdzie nie powinno jej być.

- Czy zrozumiał, o co ci chodzi?

- Zrozumiał. Sanitariusz mu powiedział, że w dzień po operacji widział Tammy, gdy szła do łazienki. Poszedł zaraz sprawdzić jej łóżko - leżała bez ruchu. Nikt mu nie uwierzył. Potem uciekła i również nikt tego nie potrafił wyjaśnić. No dobra, Ollie. Jak się ma Maria i Josh? On ma teraz dwa lata, prawda?

- Tak. Biega po całym domu, otwiera wszystkie szuflady i stuka garnkami. Krzyczy „nie” co najmniej pięćdziesiąt razy dziennie i jest o wiele fajniejszy niż ten szczeniaczek, którego niedawno dostaliśmy. Psiak nasiusił mi na koszulę, którą miałem dzisiaj włożyć. Savich roześmiał się. Skinął głową Olliemu i powrócił do MAXA.

Po godzinie dostał telefon. Widziano Tammy Tuttle w Bar Harbor, w Maine. Agenci pokazywali w mieście jej fotografie, na których była razem z Marilyn, i zostawiali

kontaktowe numery telefonów. Do komendy policji w Bar Harbor zadzwonił właściciel sklepu fotograficznego. Zostawiła u niego film i miała wrócić po odbitki.

- Muszę przyjrzeć się jej z bliska - powiedział Savich, całując Sherlock na pożegnanie.

- Muszę zobaczyć Tammy z jedną ręką, a nie to, co ona chce, żebym zobaczył - dodał, wybiegając z biura.

- Proszę cię, nie podchodź do niej za blisko! - zawołała za nim Sherlock, lecz chyba jej nie usłyszał.

Savich wraz z sześcioma agentami wsiadł do samolotu na wojskowym lotnisku.

Podczas lotu do Bar Harbor powiedział agentom o wszystkich aspektach tej sprawy.

Stwierdził, że powinni wiedzieć, z kim będą mieć do czynienia.

Psychopatka i zbrodniarka, posiadająca umiejętność wywoływania iluzji i

prawdopodobnie zdolności telepatyczne. Nigdy się jeszcze z czymś podobnym nie zetknął i miał nadzieję, że go to już nigdy więcej nie spotka.

Powiedział agentom o għulach, powtórzył im słowa Marilyn i opisał to, co sam widział. Nawet jeśli mu nie uwierzyli, to wszystkie wątpliwości zachowali dla siebie.

Uwierzyła mu bez zastrzeżeń agentka, która była przyjaciółką Virginii Cosgrove.

- Virginia mówiła mi trochę o tym, co słyszała od Marilyn Warluski. To było przerażające, panie Savich - powiedziała, kiedy wysiadali z odrzutowca w Bar Harbor.

- Wystarczy Savich, panno Rodriguez. Mnie też bardzo dotknęła śmierć agentki Cosgrove.

- Wszystkich dotknęła, sir. - Agentka Rodriguez zdobyła się na uśmiech. - Wystarczy Lois, Savich.

- Załatwione. Posłuchajcie! - Savich zwrócił się do agentów. - Jeśli zobaczycie ją, albo jego, macie nic nie kombinować. - Pokazał im portret pamięciowy. - Niech wam nawet nie

przyjdzie do głowy, żeby brać ją żywą. Strzelajcie tak, żeby zabić. Pojadę teraz do sklepu fotograficznego. Spotkamy się w komendzie policji.

Zastanawiał się, czy Tammy będzie w towarzystwie ghuli. Był zadowolony, że nie ma tu Sherlock, że została w domu z Seanem.

Wszedł do sklepu fotograficznego, Hamlefs Pies, na Wescott Avenue, żeby sprawdzić zgodność informacji przekazanej policji przez pracującego w sklepie chłopaka.

Teddi Tyler, który zaznaczył, że jego imię pisze się przez „i”, powiedział Savichowi, że kobieta z fotografii była w sklepie wczoraj, późnym popołudniem. Natychmiast zawiadomił o tym policję.

- Czego chciała?

- Wywołać film.

Savich poczuł przyspieszone bicie serca, ale zachował spokój. Sprawa zbliżała się do końca.

- Wywołał pan ten film, panie Tyler?

- Tak, sir. Policjanci powiedzieli mi, żebym go wywołał i zatrzymał zdjęcia dla FBI.

- Kiedy ma przyjść po fotografie?

- Dzisiaj, o drugiej.

- Czy ona nie wyglądała na chorą, panie Tyler?

- Była tylko trochę blada. Wczoraj było zimno i cała była opatulona. Miała na sobie ciepły płaszcz, duży szal i wełnianą czapkę narciarską, ale poznałem ją bez problemu.

- Nie powiedział jej pan, że wydaje się panu znajoma?

- Ależ skąd. Zachowałem spokój.

Savich mógł mieć tylko nadzieję, że zachowanie chłopaka nie wzbudziło czujności

Tammy, ale chyba tak nie było, bo Teddi Tyler jeszcze żył. To, co powiedział Savichowi,

pokrywało się z tym, co mówił policjantom.

- Niech się pan teraz dobrze zastanowi, panie Tyler. Którą ręką podawała panu film?

Teddi zmarszczył brwi.

- Lewą - odparł po chwili milczenia. - Tak, na pewno lewą ręką. Na lewym ramieniu miała torebkę na długim pasku, z której wyjęła film. To było nieporęczne.

- Widział pan jej prawą dłoń? Teddi zamyślił się znowu.

- Przykro mi, ale nie przypominam sobie tego. Jestem tylko pewny, że była cała opatulona. Zresztą nic dziwnego, było przecież bardzo zimno.

- Dziękuję panu, panie Tyler. Wkrótce przyjdzie tu agent Briggs, który zajmie pana miejsce za ladą. Proszę z nim wszystko uzgodnić. - Teddi Tyler chciał zaprotestować, ale Savich powstrzymał go gestem dłoni. - Pan już jej nie spotka, to absolutnie wykluczone. Ona jest bardzo niebezpieczna, nawet dla nas. Teraz proszę mi pokazać fotografie.

Teddi podał mu kopertę. Savich podszedł do wystawy. Jak na listopad, dzień był wyjątkowo słoneczny, chociaż na dworze było tylko sześć stopni. Otworzył kopertę i wyjął sześć małych fotografii.

Obejrzał je po kolei, po czym zrobił to jeszcze raz. Nie potrafił tego zrozumieć.

Zdjęcia robione były na plaży, niewątpliwie na Karaibach. Dwa wczesnym rankiem, dwa w południe, a dwa o zachodzie słońca. Nie były dobre - zresztą nic dziwnego, ona miała tylko jedną rękę - ale po co je robiła? Tylko zdjęcia plaży, na żadnym nie było ludzi. O co tu chodzi?

- Mówiła coś na temat tych zdjęć? - spytał Teddiego. - Gdzie je robiła?

- Tak, powiedziała, że to są fotografie z wakacji i chce je pokazać swojej współlokatorce, żeby zobaczyła, jak pięknie jest na Karaibach.

Jeśli to prawda, to znaczy, że Marilyn żyje i ma podziwiać widoki z karaibskiej plaży.

Powiedział Teddiemu Tylerowi, żeby po przybyciu agenta Briggsa jak najszybciej opuścił sklep. Wierzył, że Briggs będzie wiarygodną osobą w zakładzie fotograficznym - wykonywał już wiele podobnych zadań. Był bystry, szybko oceniał cudze zachowanie. Savich mu ufał. Briggs wiedział, że Tammy jest niebezpieczna, wiedział o niej wszystko, co tylko możliwe.

Mieli jeszcze trzy godziny na zorganizowanie akcji. Trzech agentów obserwowało dom chłopaka Marilyn przy Newport Drive, chociaż Savich wątpił, żeby ktoś się tam pokazał. Wyszedł ze sklepu i po drodze na spotkanie ze swoimi agentami postanowił zadzwonić do Simona Russa. Już od prawie trzydziestu godzin nie kontaktował się ani z nim, ani z Lily. Wiedział, że wszystko jest w porządku; gdyby tak nie było, Hoyt już by go zaalarmował. Chciał jednak wiedzieć, co się u nich dzieje. Martwił się o Lily. Wiedział, że nad jej bezpieczeństwem czuwał Simon, Hoyt i miejscowa policja, lecz mimo to się martwił. Była jego siostrą i bardzo ją kochał. Miała już dość ciężkich przejść.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej się niepokoił.

Postawił kołnierz skórzanej kurtki i wystukał numer komórki Simona. Nie uzyskał połączenia. Nie próbował pocieszać się myślą, że wyczerpała się bateria, lecz natychmiast zadzwonił do Clarka Hoyta.

**23**

*Bar Harbor, Maine*

Clark Hoyt odebrał telefon po trzecim dzwonku.

- Savich? Dobrze, że dzwonisz. Nie możemy znaleźć Si mona i Lily. Nasi ludzie stale byli przy nich, ale kiedy Lily chciała pojechać na cmentarz, wszyscy uznali, że tam będą bezpieczni, i zgodziliśmy się puścić ich samych. Jezu, Savich, oni ich dopadli na cmentarzu! Kiedy nie pojawili się po godzinie w Bender's Cafe, moi agenci zawiadomili mnie o tym i

zaraz pojechali na cmentarz. Na parkingu znaleźliśmy wy najęty samochód Simona i jeden z samochodów Frasierów. Nie było tam innych aut. Wiemy, że Lily była na grobie córki, bo leżały tam żonkile, które przedtem kupowała.

Hoyt zamilkł na chwilę.

- Clark, znaleźliście coś jeszcze?

- Trochę krwi na przednich siedzeniach, bardzo niewiele. Więcej krwi było na parkingu. Badamy ją. Spieprzyliśmy to, Savich. Jezu, jak mi przykro. Przysięgam ci, że ich znajdziemy.

Savich poczuł skurcz żołądka, ale zdołał zapanować nad głosem.

- Czy fakt, że znaleźliście samochód Frasierów i samochód Simona, oznacza, że Frasierowie również zostali porwani? A może należeli do tego spisku i tylko zostawili samochód na parkingu? Jeśli mają zamiar wrócić, to dlaczego zostawili swój samochód obok auta Simona? To by oznaczało, że są w to wmieszani.

- Też tak myślimy.

- Nie znalazłeś zwłok, więc zostali porwani. Przez kogo?

- Staramy się odnaleźć Frasierów, ale nam się to jeszcze nie udało. Na pewno są razem z Simonem i Lily. Poszliśmy z porucznikiem Dobbsem to szpitala, żeby zobaczyć się z Tennysonem Frasierem. Twierdził, że nie wie, gdzie mogą być jego rodzice. Wydawało mi się, że go to zupełnie nie obchodzi. Natomiast okropnie się zdenerwował, kiedy mu powiedziałem o zaginięciu Lily. Ten doktor Rossetti - pamiętasz, ten psychol, który chciał zająć się Lily, kiedy była po wypadku, ten facet, którego nie lubiła - był tam razem z Tennysonem i strasznie się oburzał. Powiedział, że Tennyson jest wspaniałym człowiekiem i świetnym lekarzem, a jego żona to suka, która nie zasługuje na takiego męża. Na naszych oczach podał Tennysonowi trzy pigułki rozweselające. Wiesz co, Savich, wydaje mi się, że

Tennyson naprawdę nic nie wie o zaginięciu Lily.

Savich słuchał, co mówi Hoyt, i jednocześnie intensywnie myślał. Był przerażony.

Chciał natychmiast lecieć do Kalifornii, ale nie mógł tego zrobić. Po prostu nie mógł.

- Nie potrafię ci nic w tej chwili powiedzieć, Clark, i nie mogę w niczym pomóc.

Jestem całkowicie zaangażowany w sprawę. - Savich głęboko zaczerpnął powietrza. - Za chwilę czeka nas tutaj, w Bar Harbor, konfrontacja z psychopatyczną zbrodniarką i ja dowodzę tą akcją.

- Słuchaj, Savich, wszyscy nasi ludzie zajmują się tu tą sprawą. Dowiemy się, kto ich porwał.

- Jeśli za tym stoi Olaf Jorgenson - powiedział Savich - to jest się o co zaczepić. Na przykład można przejrzeć rozkład lotów prywatnego learjeta. W tym wypadku nietrudno będzie ich odnaleźć.

- Już się tym zajęliśmy. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę coś wiedział. Powodzenia w Bar Harbor.

- Dziękuję. Informuj mnie o wszystkim.

- Naturalnie. Savich, strasznie mi przykro. Niech to szlag! Miałem dbać o ich bezpieczeństwo. Zrobię wszystko, co tylko będzie możliwe. Będę do ciebie dzwonił co godzinę.

- Nie, Hoyt. Przez następne trzy godziny dzwoń tylko wtedy, kiedy będzie coś bardzo pilnego. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mógł.

Savich rozłączył się. Teraz musi zadzwonić do Sherlock, żeby jej powiedzieć, co się stało. Nie chciał, żeby dowiedziała się o Simonie i Lily od Hoyta lub porucznika Dobbsa. Do rozpoczęcia akcji pozostały jeszcze dwie godziny i czterdzieści minut.

Poszedł na Firefly Lane, gdzie mieściła się komenda policji w Bar Harbor. Musiał

przestać myśleć o Lily i Simonie i skoncentrować się na zlikwidowaniu Tammy Tuttle.

Lily usłyszała jęki, a po nich nastąpiła seria stłumionych przekleństw, które dziwnie brzmiały - jakby ktoś przeciągał wyrazy. Po chwili rozległ się płacz. Kto płakał?

Przecież ona nie płakała ani też nie przeklinała. Gdzie jest Simon? Odczuwała jakąś delikatną wibrację. Ciekawe, skąd się to brało?

Niechętnie otworzyła oczy; tak bardzo bolała ją głowa, że bała się nawet to zrobić.

Kobieta znowu zaczęła jęczeć, płakać i kląć tym dziwnym miękkim akcentem.

To była Charlotte. Lily teraz to sobie przypomniała. Strzelała do Charlotte, ale ona jeszcze żyła. Była ranna i cierpiała. Lily odczuła pewną satysfakcję. Gdyby nie ten potworny ból głowy, toby się nawet uśmiechnęła. Nie zdołała ocalić siebie ani Simona, ale przynajmniej wyrządziła krzywdę wrogowi.

Z wolna odwróciła głowę. Poczula gwałtowny ból, ale to było do zniesienia.

Zorientowała się, że na wpół leży na ogromnym skórzanym fotelu, przypięta jakimś pasem.

Simon siedział obok niej. On też przypięty był pasem i trzymał ją za rękę. Jego wzrok zwrócony był na Charlotte.

- Simon.

Powoli odwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

- Cholera, wiedziałem, że powinnaś była zostać w domu - powiedział.

- I zrezygnować z takiej przygody? W żadnym wypadku. Tak się cieszę, że żyjesz.

Gdzie jesteśmy?

- W powietrzu, w prywatnym odrzutowcu. Jak się czujesz, moja słodka?

- Niezbyt słodko się czuję. Jesteśmy w samolocie? Stąd to dziwne uczucie wibracji.

Sądzę, że lecimy do Szwecji.

- To możliwe, ale dlaczego mówisz to z takim przekonaniem?



- Kiedy ci faceci gonili mnie po plaży, wykrzykiwali coś z obcym akcentem. Myślę, że to był szwedzki akcent. Pomyślałam sobie, że Olaf Jorgenson postanowił wziąć sprawy w swoje ręce.

- Masz rację, to są Szwedzi. Mówisz, że uciekałaś przed nimi plażą?

Opowiedziała mu, co się wydarzyło, jak znalazła go nieprzytomnego i że strzelała do Charlotte.

- Gdyby nie było tam Charlotte, to udałoby nam się uciec. Przeprowadzilibyśmy się do więzienia w Eureka, bez prawa przyjmowania wizyt.

- Ten płacz i przekleństwa to Charlotte Frasier. Opatrzył ją pilot, który chyba jest też lekarzem. Przestrzeliłaś jej prawą rękę. Niestety, wyzdrowieje. Zanim się zbudziłaś, krzyczała, że jesteś niewdzięcznicą, a ona tyle dla ciebie zrobiła. Mówiła, że sama cię zabije.

- Nie dodał, że przeplatała tę przemowę najohydniejszymi przekleństwami, jakie kiedykolwiek słyszał.

- Dobrze się czujesz? - spytała po chwili milczenia.

- Tak, mam tylko lekki ból głowy. A jak twoja głowa?

- Boli.

- - Aha, zauważyli, że już nie śpimy. Alpo Viljo nadchodzi.

On naprawdę ma na imię Alpo. Pewnie to szwedzkie imię. Chyba jest ochroniarzem.

Słyszałem, że to on uderzył cię kolbą pistoletu w głowę.

Alpo Viljo okazał się jednym z dwóch mężczyzn, którzy gonili ją po plaży. Potężny facet, ale w niezbyt dobrej formie. Lily nigdy nie widziała takiej figury u Skandynawów, z którymi się stykała. Był blondynem i miał niebieskie oczy. Musiał mieć w sobie krew wikingów.

Nie odzywał się, stojąc nad nimi z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Jak ma na imię pana partner? - spytała Lily. Ściągnął brwi, jakby nie rozumiał pytania.

- Ma na imię Nikki - odparł po chwili w sztucznie brzmiącej, ale całkowicie zrozumiałej angielszczyźnie. - To niedobry człowiek. Nie należy go denerwować.

- Dokąd lecimy, panie Viljo?

- Nie pani interes.

- Dlaczego pan Olaf Jorgenson sprowadza nas do Szwecji? Potrząsnął tylko głową i wrócił na przód kabiny, gdzie leżała Charlotte Frasier, nadal rzucając przekleństwa.

- Rozumiesz, Lily? Nie należy denerwować Nikkiego. Myślę, że Alpo cię polubił.

Wyglądasz jak księżniczka, może Alpo jest romantykiem. Ale zbytnio na to nie licz, OK?

Uśmiechnęła się, chociaż nawet ruch ust wywoływał ból głowy. Gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła góry.

- Simon, podobają mi się twoje włosy. Nawet jak jesteś potargany, ładnie skręcają ci się na karku. Są długie, ale nie za bardzo. Wyglądają seksownie.

- Lily - powiedział, pochylając się nad nią. - Powinnaś spróbować zasnąć.

- To chyba dobry pomysł. Mogłabym dostać aspirynę? Simon zawołał Alpa Viljo, który przyniósł Lily dwie aspiryny i dużą szklanekę wody. Zażyła lekarstwo, uśmiechnęła się i przymknęła oczy.

Dokładnie w tej samej chwili Simon zrozumiał, że już koniec z nim. Spotkał kobietę, której mógł zaufać, kobietę niezwykle lojalną, która zakłóciła jego równowagę. Stała się jego księżniczką, była tak delikatna i czysta - co prawda teraz była przemoknięta, umazana błotem i rozczochrana; jednak w jego oczach prezentowała się wspaniale.

Co miał z tym zrobić?

Wziął z fotela małą poduszkę i wsunął ją pod pas na brzuchu Lily. Oparł się wygodnie

i też przymknął oczy.

Lily zbudziła się, myśląc o bracie. Była pewna, że on szaleje teraz z niepokoju. Hoyt i

Dillon na pewno dowiedzieli się już o porwaniu. Ale czy wiedzą, dokąd ich zabrano?

Zerknęła na fotel Simona. Był pusty. Gdzie on jest?

Po chwili usłyszała tuż przy uchu głęboki męski głos. Ten człowiek fatalnie mówił po angielsku.

- Jedz teraz.

Na fotelu Simona usiadł Nikki z tacą na kolanach. To on krzyczał do niej na plaży, a

Alpo mówił, że on jest złym człowiekiem.

- Gdzie Simon?

- Nie twoje zmartwienie. Jedz.

- Nie, najpierw muszę zobaczyć Simona Russa.

Nikki położył jej na karku swoją wielką łapę i odchylił jej głowę do tyłu. Zmusił ją do wypicia jakiegoś płynu. Próbowała z nim walczyć, krztusiła się, rozpryskując ten płyn, który miał zapach kawy i jeszcze czegoś innego. Poczula, że łyka jakieś tabletki. Zanim Nikki ją puścił, zakręciło jej się w głowie.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Niedługo lądujemy. Chcemy, żebyś była cicho. To źle, że nie jadłaś. Jesteś za chuda.

- Gdzie Simon, ty skurwielu?

Wiedziała, że te wyzwiska nie mają sensu. Żałowała też, że niczego nie zjadła. Po chwili ogarnęła ją ciemność.

**24**

*Bar Harbor, Maine*

Za ladą stał agent specjalny Aaron Briggs, charakteryzujący się rozmiarem

kołnierzyka około pięćdziesięciu centymetrów, odpowiednią posturą i złotym zębem, widocznym, kiedy się szeroko uśmiechał. Skinął głową dwóm wchodzącym do sklepu agentom, Lowellowi i Possner. Mieli na sobie dzinsy, swetry i kurtki. Chcąc robić wrażenie klientów, zaczęli oglądać ramki i albumy na fotografie.

Była punkt druga.

Savich był na zapleczu. Aaron wiedział, że Savich trzyma swojego SIG Sauer w pogotowiu i jest gotów do akcji. Wiedział też, że Savich chce zabić Tammy Tuttle. Aaron też tego chciał. Tammy Tuttle powinna być martwa dla dobra innych ludzi, przede wszystkim nastoletnich chłopców. Uważnie słuchał tego, co Savich mówił w samolocie. Znał agentów, którzy byli na lotnisku i widzieli tego faceta z szaleństwem w oczach, który poderżnął gardło Viriginii Cosgrove. Agentów, którzy nie potrafili wytłumaczyć tego, co widzieli i słyszeli. Poczł skurcz żołądka, ale szybko sobie wytłumaczył, że ona będzie wkrótce martwa i te wszystkie niewytłumaczalne rzeczy, które wyprawiała na lotnisku, odejdą w niepamięć razem z nią.

Usłyszał dzwonek - znak, że ktoś otwiera drzwi. Do sklepu weszła Tammy Tuttle w wełnianym, luźnym płaszczu. Aaron uśmiechnął się szeroko, ukazując swój złoty ząb, i patrzył, jak ona podchodzi do lady. Wyczuwał napięcie agentów Lowella i Possner. Jego własny SIG Sauer leżał pod ladą w zasięgu ręki.

Była bardzo blada, nie miała żadnego makijażu i było w niej coś dziwnego, coś, czego nie powinno być.

W roli sprzedawcy Aaron był najlepszym tajnym agentem w całym FBI. Mówiono o nim, że potrafiłby sprzedać terroryście stary, używany samochód rzadkiej marki. Natychmiast przywołał cały swój urok osobisty.

- Witam. Mogę w czymś pomóc panience?

Tammy nisko pochyliła się nad ladą. Nie była wysoka. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Gdzie jest tamten facet? Wie pan, ten dureń, który uważa, że Teddy pisze się przez „i” ?

- To zabawne, nie? Teddi z „i”. Więc ten Teddi zadzwonił do mnie i prosił, żebym go zastąpił, bo boli go brzuch. Według mnie trochę za dużo wczoraj wypił w Night Cave Tavern.

Była tam pani? Na Snów Street?

- Nie. Przyszłam po zdjęcia.

- Pani nazwisko, panienko?

- Teresa Tanner.

- Chwileczkę.

Aaron obrócił się do ponumerowanych według liter alfabetu szuflad i otworzył tę na

T. Znalazł kopertę Teresy Tanner w trzeciej przegródce, tam gdzie sam ją schował przed

godziną. Wyjął ją i powoli zaczął się odwracać. Wiedział, że musi upaść na podłogę, żeby Savich mógł do niej strzelić. Nagle usłyszał jakiś głośny syk, który wdzierał mu się wprost do ucha. Zamarł w miejscu. To syk węża, on jest blisko, przy jego szyi, zaraz zatopi w niej zęby i...

Nie, to tylko jego wybujała wyobraźnia. Ale zaraz! Znowu to samo. Aaron zapomniał,

że ma upaść na podłogę i umożliwić Savichowi oddanie strzału. Wyciągnął spod lady

swojego SIG Sauera i błyskawicznie się obrócił. Possner i Lowell na pewno zrobili to samo.

Koperta ze zdjęciami znalazła się już w jej ręce, sam nie wiedział jak. Tammy Tuttle, wraz ze swoją kopertą, zniknęła ze sklepu.

- Z drogi, Aaron! Rusz się! - usłyszał krzyk Savicha.

Briggs nie mógł się poruszyć. Jakby ktoś go przygwoździł do podłogi. Savich

próbował go odepchnąć, ale on się opierał; musiał się opierać, nie mógł go przepuścić. W

kącie sklepu błysnął język ognia, poczuł zapach palonego plastiku i usłyszał krzyk agentki Possner. W tej części sklepu wybuchł pożar, a agentka Possner stała w ogniu. Paliły się jej brwi, włosy i kurtka. Krzyczała, usiłując rękami stłumić płomień.

Aaron Briggs odsunął Savicha na bok i ruszył biegiem do agentki Possner.

Lowell obrócił się do niej, a kiedy zobaczył płomienie, rzucił się na nią. Upadli na podłogę, przewracając wielką ramę. Lowell próbował ugasić jej włosy gołymi rękami. Aaron w biegu ściągał z siebie sweter, przy okazji zrzucając z półek ramki i albumy.

Savich biegł do drzwi, trzymając broń w pogotowiu. Aaron widział go, ale niczego nie rozumiał. Czyżby nie obchodził go fakt, że agentkę Possner pożera ogień? Usłyszał pojedynczy strzał, po którym zapanowała cisza.

Nagle języki ognia zniknęły. Possner leżała na podłodze, płacząc cicho, z koszulą Lowella na głowie. Lowell wyjął nawet telefon komórkowy, żeby wezwać karetkę i posiłki. Briggs zauważył, że Lowell nie ma żadnych oparzeń - jego palce wcale nie były poparzone. A przedtem wydawało mu się, że palce Lowella były poparzone, że agentka Possner była poparzona...

Savich biegł, przeszukując ulice. Nie było wielu przechodniów, nie widać było turystów - na jesieni było zbyt chłodno, żeby urządzać sobie przechadzki po plaży w Bar Harbor.

Trzymał SIG Sauera w pogotowiu i odtwarzał w pamięci siatkę ulic. Gdzie Tammy mogła pójść?

Nagle zobaczył, że jej długi granatowy płaszcz znika za rogiem następnej przecznicy.

Biegnąc w tamtym kierunku, omal nie przewrócił jakiegoś staruszka. Rzucił przeprosiny, ale nie zwolnił biegu. Wpadł za róg i stanął jak wmurowany. Uliczka była pusta, tylko granatowy, wełniany płaszcz leżał porzucony niedbale pod ścianą.

Co się z nią stało? Zauważył małe drewniane drzwiczki, ledwie widoczne w ścianie.

Były zamknięte na klucz. Przestrzelił zamek i wszedł do środka. Nisko pochylony, z bronią gotową do strzału, przeszukiwał mroczne pomieszczenie. Wiedział, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeśli Tammy gdzieś tam była, to mogła go z łatwością zauważyć - jego sylwetka była widoczna w świetle lampy ulicznej, którą miał za plecami.

Zorientował się, że to jakiś magazyn. Przy ścianach stały beczki, półki były wypełnione kartonami i puszkami. Drewniana podłoga skrzypiała pod jego stopami. Było bardzo cicho, nawet szczury nie biegały mu pod nogami. Spieszył się, nie przypuszczał, żeby ona tu była - na pewno wyszła przez drugie drzwi na końcu magazynu. Wyczekiwanie w ukryciu nie leżało w charakterze Tammy.

Otworzył drzwi; oślepił go blask słońca, Zobaczył jasną salkę restauracyjną, pełną ludzi, którzy jedli lunch. Szybko ogarnął ją wzrokiem. Za wysoką ladą była kuchnia z wielkimi wentylatorami, toalety po lewej stronie i pojedyncze drzwi prowadzące na ulicę. Wszedł do salki, przesiąkniętej zapachem pieczeni wołowej, czosnku i świeżego chleba. Przycichły rozmowy, a po chwili wszyscy wpatrywali się w milczeniu w stojącego w rozkroku mężczyznę, który trzymał broń w wyciągniętej ręce, przesuając nią z wolna po całej sali, jakby chciał kogoś zabić. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć.

- Co tu się dzieje?

Zza kuchennej lady wyłonił się potężnie zbudowany mężczyzna. Miał na sobie biały fartuch poplamiony sosem ze spaghetti i trzymał w ręku wielki, zakrzywiony nóż.

- Czy to napad?

Savich opuścił broń. Nie mógł jeszcze uwierzyć, że za tym ponurym magazynem mogła być restauracja, a w niej było pełno śmiertelnie teraz wystraszonych ludzi. Schował SIG Sauera do kabury. Wyjął odznakę FBI, podszedł do mężczyzny z nożem i zatrzymał się

niecały metr przed nim.

- Przykro mi, że wszystkich wystraszyłem - powiedział donośnym głosem. - Szukam kobiety, która ma dwadzieścia kilka lat, nie jest zbyt wysoka, ma czarne włosy i jest bardzo blada. Ma tylko jedną rękę. Czy tu nie wchodziła? Przez drzwi magazynu, tak samo jak ja przed chwilą?

Nie było odzewu. Savich zająrzył do toalet i doszedł do wniosku, że Tammy już dawno zdążyła uciec. Przeprosił właściciela restauracji i wyszedł na ulicę.

Staął na chodniku i nagle usłyszał śmiech - głęboki, zjadliwy śmiech, od którego dostał gęsiej skórki. Oczywiście, w pobliżu nikogo nie było. Był już tak dezorientowany i oszołomiony, że jej głos dzwięczał mu w głowie.

Poszedł wolnym krokiem w stronę Hamlet's Pies. Gdy dotarł do sklepu, stanął na chodniku, nie wierząc własnym oczom. Kiedy stamtąd wybiegał, w sklepie właśnie wybuchł pożar. Teraz nie było tam wozów strażackich ani policyjnych samochodów. Sklep wyglądał normalnie.

Wszedł do środka. Zobaczył trzech agentów, którzy cicho ze sobą rozmawiali.

Agentka Possner nie była poparzona. Wewnątrz nie było żadnych śladów po pożarze.

Agenci Briggs, Lowell i Possner wpatrywali się w niego w milczeniu.

Savich wyszedł. Usiadł na drewnianej ławce naprzeciwko sklepu i ukrył twarz w dłoniach.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że FBI powinno wyznaczyć innego agenta do tej akcji. On się nie sprawdził. Zawiódł, i to już po raz drugi.

Poczuł, że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu. Uniósł głowę i zobaczył Teddiego Tylera.

- Przykro mi, chłopie. Ona musi być niesamowita. Żeby się wyślizgnąć wam...



- To prawda - przyznał Savich i poczuł się troszkę lepiej. - Ona jest niesamowita.

Złapiemy ją, Teddi, tylko jeszcze nie wiem jak.

Ona była gdzieś w Bar Harbor, razem z Marilyn, na pewno jeszcze tu była. Podniósł się z ławki. Musi zorganizować ogromną obławę.

Nagle przyszło mu do głowy, że nawet jeśli im nie uda się jej znaleźć, to przecież ona chce go dopaść. Ona będzie go ścigać. A jego znaleźć było o wiele łatwiej.

*Goteborg, Szwecja*

Był o przeraźliwie zimno. Lily nie odzyskała jeszcze całkowitej przytomności, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje, czuła tylko, że trzęsie się z zimna.

Nagle znalazł się przy niej Simon. Wiedziała, że to on, czuła jego zapach. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Czuła jego oddech na karku i słyszała, jak przeklina. Były to bardzo dosadne przekleństwa, jakich z jego ust nigdy nie słyszała. Przyłgnęła do niego; dreszcze powoli ustępowały, a jej umysł zaczynał już funkcjonować.

- Simon, gdzie jesteśmy? Dlaczego jest tak zimno? Czy oni porzucili nas koło fiordu?

Energicznym ruchem dłoni masował jej plecy, a po chwili przykrył ją własnym ciałem.

- Myślę, że jesteśmy w Szwecji. W tym pokoju jest tak zimno, że na pewno nie jesteśmy na Riwierze. Obudziłem się przed chwilą. Podali nam narkotyk. Pamiętasz?

- Tak, Nikki zmusił mnie, żebym coś połknęła. Kiedy to było?

- Parę godzin temu. Jesteśmy w pokoju, gdzie nie ma nawet ogrzewania. Drzwi są zamknięte na klucz, a na łóżku nie ma pościeli. Dopiero teraz zorientowałem się, że trzęsiesz się z zimna. Teraz lepiej?

- Tak - szepnęła. - O wiele lepiej.

Milczał przez chwilę, wsłuchując się w jej oddech. Czuł, że robi jej się cieplej, że się

powoli rozluźnia.

- Lily - odezwał się nagle. - Wiem, że to nie pora na taką rozmowę, ale muszę ci coś powiedzieć. Jak widać, wybierasz sobie coraz gorszych mężów. Przed podjęciem takiej decyzji po raz trzeci powinnaś zasięgnąć czyjejs rady, jak dokonać właściwego wyboru.

- Możliwe. - Lily uniosła głowę. - Ale nadal jestem żoną Tennysona.

- To już długo nie potrwa. Wkrótce zamkniesz ten fatalny rozdział w historii swoich małżeństw i będziesz mogła rozejrzeć się za odpowiednim doradcą matrymonialnym.

- Tennyson to najgorszy rozdział w historii moich małżeństw, wcale nie takiej znowu długiej. Ożenił się ze mną tylko po to, żeby mieć dostęp do moich obrazów. Dawał mi leki, które wywołują depresję. To pewnie on chciał mnie zabić, przecinając linki hamulcowe w explorerze. Jack Crane i Tennyson Frasier, dwa fatalne wybory.

- Rozwiedziesz się z Tennysonem, tak samo jak rozwiodłaś się z Jackiem Crane'em.

Potem zastanowimy się wspólnie, jakie powinnaś zastosować kryteria przy wyborze nowego męża.

- Chcesz być moim doradcą matrymonialnym?

- Czemu nie?

- Nie wiem, czy masz w tej dziedzinie jakieś doświadczenie.

- Porozmawiamy o tym później. Opowiedz mi o swoim pierwszym mężu.

- No dobrze. Nazywał się Jack Crane. Pod pewnymi względami był nawet gorszy od Tennysona. Zaciął mnie poszturchiwać, kiedy byłam w ciąży z Beth, i wreszcie mnie uderzył. Po raz pierwszy i ostatni. Zadzwoiłam zaraz do Dillona. Natychmiast przyjechał i zbił Jacka do nieprzytomności. Obluzował jego trzy nieskazitelnie białe zęby, podbił mu oczy i zwichnął szczękę. Nauczył mnie wtedy, jak mam się bronić, żeby sama mogła dać mu radę, gdyby jeszcze kiedyś pokazał mi się na oczy.

- Czy po rozwodzie zjawił się kiedyś, żebyś mogła mu przywalić?

- Nie, cholera, nigdy. Nie sądzę, żeby bał się mnie. Bał się, że Dillon zmobilizuje wszystkich agentów z Chicago i już będzie po nim. Wiesz co, Simon, nie wydaje mi się, żeby doradca matrymonialny mógł mi w czymkolwiek pomóc. Bardzo długo zastanawiałam się nad Tennysonem, pamiętając, że Jack rzucał się do bicia.

- Niezbyt dokładnie się nad tym zastanawiałaś. Lily, ty masz problem ze stosowaniem odpowiednich kryteriów i dlatego potrzebny ci jest doradca matrymonialny.

- Nie, to nie o to chodzi. Po prostu nie potrafię wybrać sobie faceta. Twoje konsultacje mi w tym nie pomogą. Postanowiłam, że już nigdy nie wyjdę za mąż, więc nie muszę się z nikim konsultować.

- Jest mnóstwo mężczyzn zupełnie niepodobnych do twojego pierwszego i drugiego męża. Popatrz na Savicha. Czy Sherlock może na niego narzekać?

- Dillon jest wyjątkiem. - Lily wzruszyła ramionami. - Jest wspaniały, po prostu taki się urodził. Sherlock jest najszczęśliwszą kobietą na świecie i dobrze o tym wie. Sama mi to powiedziała.

Zamilkła, była prawie całkowicie odprężana i nie było jej już zimno. Simon nie wiedział, dlaczego rozpoczął tę dziwną rozmowę.

- Zaczynam podejrzewać - odezwała się nagle - że każdy mężczyzna, który się ze mną żeni, przemienia się w demonicznego pana Hyde'a, i że ten proces postępuje bardzo szybko.

Pewnie mi powiesz, że to ja stosuję niewłaściwe kryteria.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy faceci zamienią się w pana Hyde'a?

- To bardzo możliwe, z wyjątkiem Dillona. Zrozum mnie, Simon, wierzyłam, że Jack i Tennyson naprawdę mnie kochają. Ja też ich kochałam. Obaj zachwycali się moim talentem i twierdzili, że są niesłychanie ze mnie dumni. Po ślubie byłam szczęśliwa z każdym z nich

może przez miesiąc, a może dwa. Jack dał mi Beth, więc nigdy nie będę żałować, że za niego wyszłam.

Głos się jej załamał. Imię córki obudziło wszystkie potworne wspomnienia. Musi zerwać z przeszłością, pamiętając tylko swoją śliczną Beth. Tyle się wydarzyło, a teraz biedny Simon był w to wszystko wplątany. I ta rozmowa... Czyżby się w niej nagle zakochał?

- Simon, nie chcesz mi chyba udzielać teraz porad matrymonialnych? Grozi nam śmierć, nawet nie próbuj temu zaprzeczać. Sam o tym wiesz. Chciałeś odwrócić moją uwagę od zagrożenia, ale rozmowa o Jacku i Tennysonie niezbyt mi pomogła.

- Rozumiem.

- Nie mów do mnie tym uspokajającym tonem, kiedy sam jeszcze nie doszedłeś do siebie. Zapomnij o doradztwie matrymonialnym. To nie dla mnie. I zjedź ze mnie, bo już jest mi ciepło.

Simon zsunął się z niej, chociaż zrobił to niezbyt chętnie, i podparł głowę na łokciu.

- Ten goły materac wygląda jak nowy. Jesteśmy w ładnym pokoju, Lily, naprawdę ładnym.

- To dom Olafa, gdzieś w Szwecji.

- Pewnie tak.

- Dlaczego...

Słowa zamarły jej na wargach.

W otwartych drzwiach ukazał się Alpo, za nim stał Nikki.

- Obudziliście się już?

- Tak. - Simon usiadł na skraju łóżka. - Nie lubicie ogrzewania? Olaf zaczął oszczędzać?

- Zamknij się, mięczaku.

- Nie mamy takich warstw tłuszczu jak wy - wtrąciła Lily. - Może na tym polega cała różnica.

Nikki odepchnął Alpa na bok i podszedł do Simona.

- Wstawaj - powiedział i zwrócił się do Lily: - Ty też. Kobieta nie ma prawa tak się odzywać. Nie jestem tłusty, tylko dobrze zbudowany. Pan Jorgenson na was czeka.

- Aha, spotkamy teraz Wielkiego Mikado - mruknęła Lily. Wprost z operetki Sullivana, dodała w duchu.

- Co to znaczy? - spytał Nikki. Odsunął się od łóżka, żeby mogli wstać.

- To facet, który wszystkim rządzi - wytłumaczył mu Simon.

- Tak - stwierdził Nikki po chwili namysłu. - Idziemy teraz do Wielkiego Mikado.

Spodobał mu się - dodał, patrząc na Lily. - Może nawet zechce cię namalować, zanim cię zabije.

Zabrzmiało to niezbyt pocieszająco.

**25**

*Bar Harbor, Maine*

Zbliżał się koniec dnia i nadal nie było śladu po Tammy Tuttle i Marilyn Warluski.

Było tylko mnóstwo telefonów na temat miejsca ich pobytu. Każda wiadomość musiała być sprawdzona, ale to niczego nie dało. Była to największa obława w historii stanu Maine, w którą zaangażowano dwustu ludzi. Savich przez cały czas myślał o Lily - gdzie jest i czy żyje.

Najgorsze, że nic nie mógł w tej sprawie zrobić.

Był już u krańca wytrzymałości nerwowej, kiedy zadzwonił Jimmy Maitland.

- Wracaj do domu, Savich - powiedział. - Jesteś potrzebny w Waszyngtonie. Prędzej czy później będziemy mieli jakąś wiadomość o Tammy. Tam już nie masz nic do roboty.

- Zdaje pan sobie sprawę, sir, że ona znowu popełni morderstwo i dopiero wtedy

dostaniemy tę wiadomość? Prawdopodobnie zabiła już Marilyn.

- Masz rację - przyznał Jimmy Maitland po chwili milczenia. - Wiem jednak, że teraz nic nie możemy zrobić. Wracaj do domu, Savich.

- Czy to rozkaz, sir?

- Tak.

Nie powiedział, że dzwoni z domu Savicha, siedząc w jego ulubionym fotelu z Seanem na kolanach, że stoi przy nim Sherlock, trzymając w jednej ręce szklaneczkę whisky, a w drugiej krakersa. Jimmy miał nadzieję, że krakers nie jest przeznaczony dla niego. Potrzebował whisky.

- Dobrze. Wrócę za kilka godzin - obiecał Savich. Gdyby Sean zaczął gaworzyć, kiedy jego ojciec był przy telefonie, Jimmy musiałby przyznać, skąd dzwoni, ale chłopiec siedział spokojnie, gryząc paluszki i uśmiechając się do niego. Jimmy odłożył telefon, podał Seana Sherlock i wziął od niej szklaneczkę.

- Zrobił się straszliwy zamęt, ale przynajmniej Savich będzie dziś wieczorem w domu. On jest bardzo przygnębiony.

- Wiem, wiem. Wymyślimy coś. - Sherlock dała krakersa Seanowi.

- Savich czuje się - powiedział Jimmy - jakby to on zawiódł i śmierć tych wszystkich ludzi, łącznie z Virginią Cosgrove, była jego winą.

- Nic się na to nie poradzi. On już taki jest. Jimmy patrzył, jak Sean zajada krakersa.

- On mi przypomina mojego Landry'ego - powiedział. - Był strasznym rozrabiaką, nieźle przez niego osiwiąłem. Jeśli Sean ci zanadto dokuczy, zadzwoń do mnie.

Jednym haustem wypił whisky i zatrzymał wzrok na wiszącym nad kominkiem obrazie Sarah Elliott.

- Zawsze fascynował mnie żołnierz na tym obrazie. Zastanawiałem się, czy ktoś by po

nim rozpaczął, gdyby zginął.

- Tak, to wspaniały obraz. Czy Dillon powiedział panu, co się dzieje w sprawie Lily i Simona?

- Mówił mi, że agent Hoyt znalazł rozkład lotów prywatnego odrzutowca, który należy do Waldemarsudde Corporation. Ten learjet wystartował z lotniska Arcata do Goteborga. Na czele tej korporacji stoi Ian Jorgenson, syn Olafa Jorgensona, kolekcjonera, który zapewne jest z tą sprawą związany.

- Mówił panu, że jego syn też jest kolekcjonerem?

- Tak - odparł Jimmy. - Ciekawe, że Elcott i Charlotte Frasierowie zostali również porwani. Może zresztą polecili dobrowolnie, wiedząc, że tutaj pętla się już zacieśnia.

Tennyson jest nadal w Hemlock Bay. Nie ma jeszcze żadnych dowodów, które by pozwoliły włączyć go do sprawy zamachu na życie Lily czy zabójstwa pana Mońka. Wydaje mi się, że mąż Lily jest niewinną ofiarą swoich rodziców.

- To możliwe - odrzekła Sherlock. - Ale teraz nie ma to już wielkiego znaczenia. Lily się z nim rozwodzi. Aha, jeszcze coś. Dillon telefonował już do swoich przyjaciół z policji w Sztokholmie i w Uppsali. Wiemy, że Jorgensonowie mają olbrzymią posiadłość w Goteborgu. Nazywa się Slotsskogen, Leśny Zamek. Dillon mówił, że jeden z jego przyjaciół, Petter Tuomo, ma dwóch braci w policji w Goteborgu. Zajęli się sprawą, ale jeszcze nie mamy żadnych wiadomości.

- To dobrze, że rozpoczęto akcję - powiedział Jimmy. - Czy Savich ma przyjaciół na całym świecie?

- Prawie i chwała Bogu za to. - Sherlock westchnęła, pocałowała Seana i potrząsnęła głową. - Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie czyhają na nas jakieś okropieństwa. Strasznie się boimy o Lily i Simona. Możemy się tylko modlić, żeby Olaf Jorgenson ich nie zamordował.

- Po co by miał ich porwać, gdyby chciał zabić? To nie miałyby sensu. To wszystko musi być bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje.

*Goteborg, Szwecja*

Godzinę później Lily i Simon, po ciepłej kąpieli, przebrani w nowe ubrania, schodzili szerokimi, dębowymi schodami do holu. Alpo i Nikki szli za nimi. Przeszli przez hol, którego podłoga z białych i czarnych kwadratów marmuru tworzyła kolosalną szachownicę. Wzdłuż ścian stały wyrzeźbione z marmuru białe i czarne figury szachowe. Każda figura miała około pięćdziesięciu centymetrów wysokości.

Potem szli szerokim korytarzem i weszli do ogromnego, bardzo wysokiego pokoju. Na wszystkich ścianach były półki pełne książek i stało tam kilka wysokich bibliotecznych drabinek. W marmurowym kominku płonął ogień, a w rogu pokoju stało duże biurko. Siedział za nim około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Był wysokim, szczupłym blondynem z niebieskimi oczami, bardzo opalonym. Kiedy wprowadzono Simona i Lily, wstał zza biurka i popatrzył na nich z wyrazem uprzejmego zainteresowania. Alpo i Nikki zostali przy drzwiach.

- Witam pana w Slotsskogen, panie Russo, i panią, pani Frasier. To nasz Leśny Zamek. Za naszym przykładem nazwano niegdyś Leśnym Zamkiem największy park w tym mieście. Może państwo usiądą.

- Jakie to miasto?

- Siadajcie. Ojciec prosił, żebym was przywitał.

- Mówi pan płynnie po angielsku - zauważył Simon.

- Studiowałem w Princeton. Skończyłem historię sztuki, jak łatwo się domyślić.

Oczywiście ukończyłem również studia menedżerskie.

- Dlaczego tu jesteśmy? - spytała Lily.



- A oto ojciec. Nikki, podwieź go tutaj, żeby mógł się przyjrzeć pani Frasier.

Lily zeszywniała na krześle, kiedy Nikki pchał wózek inwalidzki w ich kierunku.

Siedział w nim niesłychanie stary człowiek, z kilkoma kępkami siwych włosów na głowie.

Wyglądał na słabowitego, rachitycznego staruszka, ale kiedy podniósł głowę, w jego zimnych, niebieskich oczach zobaczyła wybitną inteligencję. Była pewna, że nadal ma sprawny umysł.

- Blżej - polecił starzec.

Nikki przysunął wózek inwalidzki tuż do Lily. Stary mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął końcami palców jej policzka. Lily chciała się cofnąć, ale zastygła w miejscu.

- Jestem Olaf Jorgenson, a ty jesteś Lily. Mówię dobrze po angielsku, bo tak samo jak mój syn studiowałem w Princeton. Masz na sobie białą sukienkę, tak jak sobie życzyłem. Jest piękna. - Przesunął dłonią po jedwabnym rękawie. - Chcę, żeby zrobiono ci portret w tej sukni. Cieszę się, że tym amerykańskim durniom nie udało się zabić ani ciebie, ani pana Russa.

- My też się z tego cieszymy - powiedziała Lily. - Dlaczego oni chcieli nas zabić, panie Jorgenson?

- Oddałem tę sprawę w ręce Frasierów, ale oni ją pokpili. Teraz jestem z tego zadowolony. Nie wiedziałem, jak wyglądasz, Lily. Kiedy Ian pokazał mi twoją fotografię, kazałem Frasierom zostawić cię w spokoju. Wysłałem Alpa i Nikkiego do Kalifornii, żeby cię do mnie przywieźli. Oni też nie najlepiej się spisali. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło i wreszcie tu jesteś, moja droga.

- Nie ma nic szczególnego w moim wyglądzie - powiedziała Lily. - Po prostu jestem sobą.

Wiedziała jednak, że jest podobna do kogoś, na kim mu zależy, więc czekała,

wstrzymując oddech.

- Wyglądasz jak Sarah Jameson - odezwał się wreszcie - gdy poznałem ją w Paryżu

bardzo dawno temu, jeszcze przed drugą wojną światową, kiedy kwitło tam życie artystyczne.

Francuscy burżuazyści wściekali się na nasze ekscentryczne, hulaszczę życie, bo nie potrafili go zrozumieć. Do dziś pamiętam te długie godziny, które spędzaliśmy u Gertrudy Stein. To była niezwykle inteligentna kobieta. Picasso uwielbiał ją, i malował. Pamiętam też Matisa, który był cichy i spokojny, dopóki nie napił się absyntu. Zaczynał wtedy malować, śpiewając niesłychanie sprośne piosenki.

Wszyscy najbardziej utalentowani ludzie zgromadzili się wtedy w Paryżu. Widziałem Hemingwaya, jak z Brakiem i Sherwoodem urządzali zawody w pluciu na odległość. Twoja babka też przy tym była. Jakże cudowne było życie cyganerii, która dała światu tak wspaniałą sztukę.

- Nie wiedziałem, że jest pan pisarzem czy też malarzem - odezwał się Simon.

- Niestety, nie jestem, chociaż próbowałem malować, uczyłem się u wielkich mistrzów i zmarnowałem wiele płócien. Tylu moich młodych przyjaciół chciało malować albo pisać.

Przyjechaliśmy do Paryża, żeby podziwiać te wspaniałe talenty, licząc na to, że ich mistrzostwo choć trochę nas zainspiruje. Niektórzy z moich starych przyjaciół rzeczywiście stali się wielkimi artystami; inni wrócili do domu, żeby zająć się produkcją mebli albo sprzedają znaczki na pocztę. Ale Sarah Jameson była najwspanialsza. Stein korespondowała z nią aż do śmierci.

- Jak dobrze znał pan moją babcię, panie Jorgenson? Cichy głos Olafa Jorgensona przywoływał wspomnienia, które wciąż żyły w jego pamięci.

- Sarah była trochę starsza ode mnie - piękna i utalentowana, gwałtowna i nieujarzmiona jak Sirocco wiejące od libijskich pustyń. Kochałem ją. Potem poznała jakiegoś

cholernego Amerykanina, który przyjechał do Paryża w interesach, biznesmena w szarym flanelowym garniturze, i wołała go ode mnie. Opuściła mnie i pojechała z nim do Ameryki.

- To był mój dziadek, Emerson Elliott. Wyszła za niego za mąż w połowie lat trzydziestych, w Nowym Jorku.

- Tak, opuściła mnie i już jej nigdy więcej nie spotkałem. W latach pięćdziesiątych zacząłem kolekcjonować jej obrazy. Początkowo nikt o tym nie wiedział, że swoje obrazy zapisała w testamencie wnukom. Zostawiła każdemu z nich osiem swoich pięknych płócien. Pragnąłem mieć je wszystkie w swojej kolekcji. Tak się złożyło, że jesteś pierwsza, ale udało się nam zdobyć tylko cztery oryginały, zanim Frasierowie przekonali się, że chcesz opuścić ich syna mimo leków, które ci podawali. Wiedzieli, że zabierzesz stamtąd obrazy, więc postanowili cię zabić. Po śmierci twojej córki cały spadek przypadłby mężowi.

- Ale nie umarłam.

- To prawda, chociaż bardzo się o to starali.

- Mówi pan, że mój mąż nie należał do tego spisku?

- Nie, Tennyson Frasier był tylko pionkiem w ich rękach. Nie spełnił oczekiwań rodziców, udało mu się tylko z tobą ożenić. Może nawet się zakochał, przynajmniej na tyle, żeby wziąć cię za żonę, czego życzyli sobie jego rodzice.

A ona była przekonana, że Tennyson należał do tego spisku.

- Dlaczego nie zaproponował mi pan, żebym sprzedała panu obrazy?

- Wiedziałem, że odrzucisz ofertę, a inni spadkobiercy też nie sprzedadzą swoich obrazów. Wybrałem ciebie, bo byłaś najłatwiejszym łupem, szczególnie po rozwodzie z Jackiem Grane'em.

- To szaleństwo. Ten cały skomplikowany plan wprowadzono w życie tylko po to, żeby pozbawić mnie obrazów babki?

- Obrazy Sarah należą do mnie, bo tylko ja potrafię je ocenić, zobaczyć to, czego nie ma na płótnie, bo ja poznałem jej duszę. Rozmawiała ze mną o swojej pracy, mówiła, o czym myślała, malując poszczególne obrazy. Rozmawialiśmy o tym całymi godzinami. Patrzyłem, jak malowała, i słuchałem jej głosu. Była jedyną kobietą z którą pragnąłem dzielić życie, jedyną.

Zamilkł na chwilę. Lity widziała, że jego twarz jest ściągnięta bólem. Nie wiedziała, czy to ból po stracie babki, czy wywołany chorobą.

- Tak, Lity - dodał po chwili - wybrałem ciebie, bo byłaś najbardziej podatna na manipulację. A co najważniejsze, byłaś sama. Kiedy przeniosłaś się do Hemlock Bay, poleciłem łanowi, żeby skontaktował się z Frasierami. Powiedz im o tym, Ian.

- Zabawiłem się w swata - roześmiał się Ian Jorgenson. - Miałem wielką satysfakcję, że wszystko tak dobrze poszło. Kupiłem Frasierów - to było proste. Kiedy wyszłaś za mąż za Tennysona, rodzice kazali mu cię przekonać, żebyś przeniosła obrazy Sarah Elliott z Chicago do Muzeum Sztuki w Eureka. A tam chciwy pan Monk natychmiast przychylił się do naszych żądań.

- Udało się sfałszować tylko cztery obrazy, zanim się w tym wszystkim zorientowałem - powiedział Simon.

Bystre niebieskie oczy starca spoczęły teraz na Simonie. On jednak wiedział, że Olaf Jorgenson nie może go wyraźnie widzieć.

- Pana ingerencja, panie Russo, pokrzyżowała nam plany. Moja przyjaciółka, emigrantka, zdradziła mnie i sprzedała wszystkie ważne informacje ludziom, którzy z kolei sprzedali je panu. Gdyby nie ona, miałbym teraz wszystkie wasze obrazy, a ty, Lily, byłabyś już martwa. Nie jestem pewny, czy to byłoby najlepsze rozwiązanie tej sprawy.

- A teraz nigdy pan nie dostanie pozostałych czterech obrazów - powiedziała Lily. - Są

już poza pana zasięgiem. Niedługo straci pan również te, które już są w pana posiadaniu.

Chyba pan o tym wie.

- Tak sądzisz, moja droga? - zaśmiał się starzec. - Chodź, coś ci pokażę.

Po przejściu trzech korytarzy Lily i Simon znaleźli się, w dużej sali, wyposażonej w czujniki temperatury i wilgotności. Na ścianach wisiało chyba sto pięćdziesiąt obrazów Sarah Elliott.

- Nie mógł pan kupić legalnie aż tylu obrazów - zauważył Simon.

- Pewnie obrabowywał pan również muzea.

- Jeśli to było konieczne. W większości przypadków wcale nie było trudne. Wymagało tylko trochę cierpliwości, a ja jestem bardzo cierpliwy. No i mam wspaniałe rezultaty.

- To wymagało również pieniędzy - powiedział Simon.

- Oczywiście - przyznał Ian Jorgenson.

- Przecież pan nie może już widzieć tych obrazów. - Lily zwróciła się do Olafa

Jorgensona. - Mając obsesję na punkcie mojej babci, ukradł pan obrazy, których nie jest pan w stanie zobaczyć.

- Jeszcze pięć lat temu miałem bardzo dobry wzrok. Nawet teraz widzę wytworne pociągnięcia pędzla, cienie i barwy. Znam każdy z tych obrazów tak dobrze, jakbym sam je namalował. Znam ich fakturę. Dotykam dłonią nieba i czuję ciepło słońca i powiew wiatru. To moi starzy przyjaciele; jestem ich częścią, a one są częścią mnie. Zbieram te obrazy od trzydziestu lat. Zwróciłem się do ciebie, Lily, bo chcę mieć je wszystkie, zanim umrę. Gdybym wiedział, jak bardzo przypominasz moją Sarah, nie pozwoliłbym tym idiotom próbować cię zabić. Ale ty im się nie dałaś.

Lily przypatrywała się staruszkowi na wózku inwalidzkim. Piękny, ręcznie robiony niebieski koc przykrywał mu nogi. W niebieskim kaszmirowym swetrze, białej jedwabnej

koszuli i ciemnoniebieskim krawacie wyglądał na bezbronного, uroczego starca. Nie odzywała się. Cóż miała powiedzieć? To wszystko było szalone, poza tym ten człowiek był zdolny do morderstwa.

Rozejrzała się po ścianach - obrazy jej babci zgrupowane były według lat, w których powstawały. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tyle piękna zebranego w jednej sali.

Simon podchodził kolejno do każdego z nich, wreszcie zatrzymał się przed ulubionym obrazem Lily *Łabędzi śpiew*.

- To był pierwszy z twoich obrazów, który skopiowałem, moja droga - powiedział Olaf Jorgenson. - To był zawsze mój ulubiony obraz. Wiedziałem, że jest w Instytucie Sztuki w Chicago, ale nie mogłem go stamtąd wydobyć. Bardzo stresująca sytuacja.

- Więc to było pierwsze płótno ukradzione przez pana z muzeum w Eureka - stwierdził Simon.

- Nie było w tym nic szokującego - wtrącił Ian Jorgenson, kładąc dłonie na ramionach ojca. - Pan Monk, kurator, chętnie się zgodził na skopiowanie obrazów. Zatrudnił w tym celu naszego malarza, wieszając jakąś marną kopię, którą zamienił później na dzieło naszego artysty. Nikt niczego nie zauważył. Początkowo liczyłem również na pana, panie Russo. Pan też ma obraz Sarah Elliott. Miałem nadzieję odkupić go od pana za godziwą cenę i zaoferować panu partnerstwo, bardzo korzystne z punktu widzenia finansowego, w niektórych moich interesach.

Ian patrzył na Simona zwięzionymi oczami, ale jego głos miał nadal miłe brzmienie.

- Mój ojciec, po wysłuchaniu Alpa i Nikkiego, zdał już sobie sprawę, że nie zechce pan z nami współpracować. Zabraliśmy pana do Szwecji tylko dlatego, że ojciec chciał pana wypróbować pod kątem przydatności dla naszej organizacji.

- Niech mnie pan przetestuje - zaproponował Simon. - Zobaczymy, co z tego

wyniknie.

- Miałem zamiar zaproponować panu wymianę: w zamian za *Ostatnie namaszczenie*

Sarah Elliott ofiarowałbym panu życie i dałbym możliwość wykazania swojej przydatności dla mnie.

- Przyjmę tę ofertę, jeśli zwróci pan wolność Lily i mnie.

- Tego się właśnie obawiałem - westchnął Olaf i skinął głową.

- Z przyjemnością zabiję pana, panie Russo - powiedział Ian. - Wiedziałem, że nie uda się przeciągnąć pana na naszą stronę. A do tego popsuł nam pan interesy.

- Panie Jorgenson - Simon zwrócił się do Olafa - miał pan szansę na pozyskanie

*Ostatniego namaszczenia* w zamian za wolność dla Lily i dla mnie, ale ją pan odrzucił. Mogę panu obiecać, że nigdy nie dostanie pan tego obrazu. Po mojej śmierci znajdzie się on w Metropolitan Museum of Art.

- Nie cierpię mylić się co do ludzi. Trudno, panie Russo - powiedział Olaf.

- Czy to prawda, że na pana jachcie wisi *Straż nocna* Rembrandta? - Lily zwróciła się do Iana.

Ian Jorgenson uniósł brwi.

- Proszę, proszę, pan Russo ma wielu dobrych informatorów. Tak, moja droga, ten obraz niepostrzeżenie opuścił Rijks - museum jakieś dziesięć lat temu. Nie było to proste. Podarowałem go mojej żonie, która wkrótce potem zmarła. Ale ten podarunek sprawił jej ogromną radość.

- Jak mówił ojciec, Instytut Sztuki w Chicago - ciągnął Ian - to jest miejsce, z którym nie chciałbym już mieć więcej do czynienia. W ostatnich latach dodali tyle nowych środków bezpieczeństwa, że wyjęcie obrazu jest prawie niemożliwe. A co gorsza, mój jedyny kontakt, człowiek, który był tam kuratorem, stracił pracę pięć lat temu. Zupełnie nie wiedziałem, co

robić, dopóki nie przeniosła się pani do tego śmiesznego miasteczka w Kalifornii, do Hemlock Bay.

- Spędziliśmy wiele godzin z łanem, opracowując ten plan - dodał Olaf Jorgenson. -

Ian pojechał do Kalifornii, do Hemlock Bay. Co za oryginalna nazwa - . Małe miasteczko, przyjazne dla turystów, ocean, plaża i wspaniałe lasy sekwoi. Kto by przypuszczał, że tak łatwo znajdziemy tam ludzi chętnych do współpracy? Chciwych i ambitnych Frasierów, którzy mieli syna, doskonale nadającego się na twojego męża.

- Czy oni zamordowali moją córkę?

**26**

- Sądzisz, że Frasierowie zabili twoją córkę? - Ian Jorgenson wzruszył ramionami. -

Nic o tym nie wiem. Lily czuła, jak wzbiera w niej nienawiść do tego mężczyzny.

- Wiem, że bardzo przeżyłaś śmierć dziecka - powiedział Olaf Jorgenson. - Ale jakie to ma teraz znaczenie, kto ponosi za to odpowiedzialność?

- Ten, kto ją przejechał, zasługuje na śmierć.

- To ci nie zwróci córeczki. - Ian Jorgenson spojrzał na nią z dezaprobatą. - My tu, w Szwecji, jak zresztą prawie w całej Europie, nie uznajemy kary śmierci. To barbarzyństwo.

Zabrzmiała tu jakaś fałszywa nuta, pomyślał Simon, obserwując uważnie młodszego Jorgensona.

- Tak - - przyznała Lily - to mi nie przywróci Beth, ale to by ją pomściło. Ten, kto morduje z zimną krwią nie ma prawa oddychać tym samym powietrzem, którym ja oddycham.

- Jesteś bezwzględna - zauważył Olaf Jorgenson.

- A pan nie jest bezwzględny, sir? Pan, który każe mordować innych?

Olaf Jorgenson roześmiał się chrapliwie.



- Nie, ja robię tylko to, co jest konieczne, i nic więcej. Zemsta jest dobra dla amatorów. Nie musisz się już dłużej zastanawiać nad tym, czy Frasierowie zabili twoją córkę. Nie zrobili tego. Powiedzieli mi tylko, że zaniepokoił ich fakt, że ona zobaczyła kilka e-maili na komputerze pana Frasiera, których nie powinna była widzieć. Oczywiście, powiedzieli jej, że to nic ważnego i że nie powinna o tym myśleć.

A więc dlatego Beth tak się dziwnie zachowywała w ostatnim tygodniu życia.

Dlaczego nie zwierzyła się matce? Nie zrobiła tego i przez to zginęła.

- Domyślam się, że to był wypadek - ciągnął Olaf Jorgenson - spowodowany przez jakiegoś pijanego amerykańskiego kierowcę, który bał się zatrzymać, żeby zobaczyć, co zrobił.

Lily poczuła, że dławią ją łzy. Była wtedy taka szczęśliwa, że wyjeżdża z Chicago, że uwolniła się od Jacka Crane'a, że się przenosi do uroczego miasteczka na wybrzeżu. Gdyby mogła przewidzieć, co ją tam spotka...

Simon wziął ją za rękę. Wiedział, że wspomnienie tragedii powróciło do niej z całą siłą. Po jakimś czasie Lily uniosła głowę i spytała Olafa Jorgensona:

- Co chcecie z nami zrobić?

- Ciebie, moja droga będzie portretował bardzo utalentowany malarz, z którym współpracuję od wielu lat. Jeśli zaś chodzi o pana Russo, to tak jak mówiłem, nie mam nadziei na nawiązanie z nim współpracy. Ma zbyt sztywne zasady moralne, więc nie warto ryzykować. Ponadto jest wyraźnie tobą zainteresowany, a to mi się nie podoba. To ciekawe, przecież bardzo krótko się znacie.

- On tylko chce być moim konsultantem - stwierdziła Lily. Simon uśmiechnął się.

- Chce mieć cię w łóżku - powiedział Ian. - Może już jesteście kochankami i dlatego ci pomaga?

- Nie bądź wulgarny. - Olaf spojrział na niego z dezaprobatą. - Tak, obawiam się, że pan Russo będzie musiał udać się na długą przejażdżkę łodzią z Alpem i Nikkim. Mamy tu dwa piękne kanały, które powstały jeszcze w siedemnastym wieku za panowania naszego wspaniałego Gustawa. Pan Russo i moi ludzie udadzą się tam jeszcze dziś w nocy. Zrobiło się zimno, więc o północy ulice będą puste.

- Nie twierdzą, że pociąga mnie taka perspektywa spędzenia wieczoru - powiedział Simon. - A co macie zamiar zrobić z Frasierami?

- Są moimi honorowymi gośćmi. - Olaf Jorgenson zwrócił się do Lily, nie do Simona.

- Przylecieli tu z wami, bo wiedzieli, że nie mogą zostać w Kalifornii. Te wasze przepisy prawne i tak dalej... Spodziewają się dostać ode mnie mnóstwo pieniędzy. Pan Frasier ma ich zresztą wystarczająco wiele w szwajcarskich bankach. Wydaje mi się, że planują spędzić resztę życia na południu Francji.

- A kiedy już zostaną namalowana, co będzie później? - spytała Lily.

- Tak, wiem, że jestem stary i niewiele mi już pozostało życia. - Olaf uśmiechnął się, pokazując piękne białe zęby, z pewnością sztuczne. - Chcę, żebyś była ze mną, póki żyję. Miałem nadzieję, że mnie poślubisz, rozumiejąc płynące z tego korzyści.

- Dlatego jestem ubrana na biało? Żeby wczuć się w sytuację?

- Najpierw naucz się dobrych manier - warknął Ian. Chciał do niej podejść, ale ojciec chwycił go za rękę. - Ona cię obraża. Powinna zrozumieć, że zrobiłbyś jej wielki zaszczyt, biorąc ją za żonę.

Olaf potrząsnął tylko głową.

• - Nie, moja droga - uśmiechnął się do Lily. - Jesteś ubrana w dokładną kopię sukni, w której po raz ostatni widziałem w Paryżu twoją babkę. Tego samego dnia wyjechała razem z Emersonem Elliottem i tego dnia cały mój świat się zawalił.

- Ma pan talent do kopiowania, prawda? - zauważyła Lily. - Ale ja nie jestem moją babką, ty głupi staruchu.

Ian uderzył ją w twarz. Simon rzucił się na niego, wymierzył mu cios w szczękę, szybko odskoczył i kopnął go w nerki.

- Stop! - krzyknął Nikki, wyciągając broń i mierząc do Simona.

Simon poprawił koszulę i odszedł na bok. Ian podniósł się na nogi, krzywiąc się z bólu.

- Ja też dziś wieczorem popłynę łodzią z Nikkim i Abpem. Sam cię zabiję.

- Przy swoich nieograniczonych możliwościach - Simon ze zdumieniem zwrócił się do Olafa Jorgensona - wychował pan tchórza.

Lily położyła mu rękę na ramieniu. Była przerażona.

- Nawet gdybym uznała, że mogę zaakceptować pana pro pozycję matrymonialną - powiedziała do Olafa - i tak nie mogłabym za pana wyjść. Jestem żoną Tennysona Frasiera. Starzec zachował milczenie.

- Nie chcę powtórnie wychodzić za mąż, przynajmniej dopóki nie przeanalizuję swoich kryteriów oceny kandydatów do małżeństwa. Nie sądzę jednak, żeby w jakikolwiek sposób mógł im pan sprostać. Ale i tak jestem mężatką, więc to nie ma żadnego znaczenia, prawda?

Starzec nadal milczał, uważnie ją obserwując. Po chwili skinął głową.

- Wrócę niedługo - powiedział.

- Co masz zamiar zrobić, ojcze?

- Nie popieram bigamii. To niemoralne. Zrobię z Lily wdowę. Nikki, zawieź mnie do biblioteki.

Kiedy Nikki popychał wózek w stronę drzwi, Olaf wyciągnął z kieszeni swetra graby,

czarny notes. Przeglądał go, dopóki nie zniknął wszystkim z oczu.

- On jest szalony - szepnęła Lily.

*Waszyngton*

Savich wszedł do domu, przytulił i pocałował żonę.

- Gdzie jest Sean? - spytał.

- U twojej mamy. Gaworzy, wszystko wpycha do buzi i jest szczęśliwy. Zostawiłam mamie dwa dodatkowe pudełka krakersów.

Savich był tak zmęczony i przygnębiony, że nawet się nie uśmiechnął. Uniósł tylko pytająco brew.

- Dillon, zarówno ja, jak i kierownictwo FBI akceptujemy twój plan. Tammy chce cię dopaść - powiedziała Sherlock. - Na pewno tu przyjdzie. Dlatego zawiozłam Seana do twojej matki.

- Jimmy Maitland powiadomił media, że poszukiwaniami Tammy Tuttle będzie teraz kierował Aaron Briggs, ponieważ ty musisz się zająć sprawą Wilbura Wrighta, przywódcy kultu odpowiedzialnego za bestialskie zamordowanie szeryfa i dwóch jego zastępców we Flowers, w Teksasie. Jedziesz do Teksasu w piątek, żeby rozpocząć współpracę z lokalną policją.

- Ty i pan Maitland szybko zabraliście się do rzeczy. - Savich mocniej przytulił żonę. - Mam wyjechać w piątek? Dzisiaj jest wtorek.

- Tak. Tammy będzie miała dość czasu, żeby się tu pojawić.

- To prawda. - Savich przeczesał włosy palcami. - Czy Gabriella jest bezpieczna?

- W ciągu dnia jest w domu twojej matki. Obie są bezpieczne. Gabriella mówi, że chce obserwować postępy Seana w chodzeniu.

Ale rodzice Seana nie będą ich obserwować, pomyślał z goryczą Savich.

- Sherlock, ona jest groźna - powiedział wreszcie. - Nie chcę, żebyś była w pobliżu.

- Wiem, Dillon. Jimmy Maitland przewidział, że będziesz się martwić o mnie i o Seana, ale ja się stąd nie ruszę. Dopadniemy ją. Teraz mamy przewagę - możemy się przygotować na jej przyjście.

- Masz rację, Sherlock. Mam pewien pomysł. Już od dawna o tym myślę.

- Jaki?

- Ona posiada moc wytwarzania iluzji, powoduje, że ludzie widzą to, co ona chce, żeby widzieli. Czy to są jakieś magiczne sztuczki, czy przedziwna cecha jej chorego umysłu, skutek jest taki sam.

Zaczął przemierzać pokój szybkimi krokami. Zatrzymał się na chwilę przed wiszącym nad kominkiem obrazem swojej babci i ponownie obrócił się do żony.

- Twierdzisz, że kiedy znajduję się blisko niej, to jestem odporny na wytwarzane przez nią iluzje. Jeśli ona wejdzie do domu, to będę wystarczająco blisko.

Podszedł do Sherlock i zaczął przeczesywać palcami jej kręcone włosy.

- Pocałuj mnie, Dillon.

- Czy mogę zrobić coś więcej?

- Och tak.

- To dobrze. Kolacja może poczekać.

Cały świat może poczekać, pomyślała Sherlock, tuląc się do niego.

- Po kolacji pójdziemy na siłownię, żeby pozbyć się stresu - zaproponowała.

- Załatwione, ale jeśli po wyjściu z sypialni nadal będziesz zestresowana, będę musiał zmodyfikować swój program - powiedział Savich i po raz pierwszy od długiego czasu roześmiał się.

*Goteborg, Szwecja*

Wieczorne niebo pokryte było chmurami. Można się było spodziewać deszczu, a nawet śniegu.

Simon, ze związanymi z tyłu rękami, siedział w małej łódce. Alpo wiosłował, a Nikki siedział obok niego. Simon czuł dotyk lufy pistoletu pomiędzy łopatkami, Ian Jorgenson płynął za nimi. W jego łodzi siedział jakiś nieznany Simonowi wiosłarz.

Kanał był szeroki, a po obu jego stronach domy Goteborga rzucały upiorne cienie. Słychać było tylko cichy plusk wody, poruszanej wiosłami.

Kanał skręcał w prawo, gdzie było mniej budynków. Nie widziało się też przechodniów.

Udało mu się rozluźnić węzeł na przegubach. Niedługo uwolni się całkowicie i będzie musiał tylko poczekać chwilę, żeby odzyskać czucie w dłoniach.

Gdyby miał trochę więcej czasu, istniałaby szansa ocalenia. Niestety budynki zaczęły się przerzedzać i spokojnie mogli go już zabić.

Simon czuł, jak krew z poranionych nadgarstków spływa mu po dłoniach, których jeszcze nie zdołał wyswobodzić.

- Stop!

Łódka lana Jorgensona przybliżyła się do nich.

- Tutaj. Daj mi broń, Nikki. Sam wpakuję kulkę temu łajdakowi. Potem możesz włożyć go do worka i rzucić na dno.

Simon poczuł, że Nikki przechyliła się, żeby podać łanowi pistolet. Teraz albo nigdy.

Poderwał się, pchnął Alpa i rzucił się w kierunku wiosłarza w drugiej łódce. Obie łodzie zachybotwały się gwałtownie, słychać było krzyki i przekleństwa. Kiedy Simon był już w wodzie, usłyszał głośny plusk, a po chwili następny.

Och Boże, ta woda była przeraźliwie zimna. Ale czego się spodziewał? Był przecież w

Szwecji, a do tego w listopadzie. Jak szybko można umrzeć z wychłodzenia? - przemknęło mu przez głowę. Zanurzał się coraz głębiej, starając się nie myśleć o zimnie i zdrętwiałych nogach. Miał tylko dwa wyjścia - uciec albo umrzeć od lodowatej wody czy kuli. Kiedy znalazł się na dnie kanału, odbił się i popłynął w przeciwnym kierunku od miejsca, gdzie, jak mu się wydawało, znajdowali się prześladowcy. Posługiwał się tylko nogami, kierując się w stronę brzegu kanału, aby móc wyjść z wody.

Zaczynało mu brakować tchu i paraliżowało go zimno.

Nie zostało mu już wiele czasu. Kiedy jego głowa znalazła się nad powierzchnią, zobaczył, że Nikki i Ian też są w wodzie i uważnie nadśluchują. Niech to szlag, jeszcze nie zdołał oswobodzić rąk.

Ktoś krzyknął. Zauważyli go. Alpo szybko skierował łódkę w jego stronę, nie zatrzymując się nawet, żeby zabrać Iana i Nikkiego.

Wreszcie Simon zdołał się oswobodzić. Miał zakrwawione nadgarstki, które powinny go piec przy zetknięciu z wodą, ale niczego nie czuł. Ręce miał całkowicie zdrętwiałe.

Gdy zobaczył, że Alpo do niego celuje, zanurkował i popłynął do brzegu.

Kiedy się wynurzył, mając wrażenie, że pękają mu płuca, obie łódki były już przy nim, a mężczyźni wypatrywali go na wodzie.

- Tam jest! - krzyknął Ian. - Strzelaj! Kule rozpryskiwały wodę tuż obok niego. Nagle usłyszał wycie syren.

Znowu zanurkował, tym razem schodząc jeszcze głębiej, i zaczął płynąć w kierunku, z którego dochodziło wycie syren. Woda była tak lodowata, aż rozboleły go zęby.

Kiedy już całkowicie zabrakło mu tchu i nie mógł znieść tego potwornego zimna, wynurzył się powoli i uniósł głowę nad powierzchnią wody.

Nie wierzył własnym oczom. Sześć policyjnych samochodów zatrzymało się nagle

nad brzegiem kanału w odległości niecałych trzech metrów od niego. Policjanci, z bronią w pogotowiu, oświetlali latarkami lano i jego ludzi.

Jeden z policjantów podał Simonowi rękę i wyciągnął go z kanału.

- Pan Russo, prawda?

**27**

- Lily, idąc obok inwalidzkiego wózka Olafa, dotarła do holu wyłożonego marmurowymi płytami w kształcie biało - czarnej szachownicy. Prawie metrowej wysokości figury stały po obu stronach szachownicy, gotowe do gry.

Gestem nakazał służącemu, żeby postawił wózek na środku holu. Popatrzył na stojącą przy białym królu Lily, a później zerknął na zegarek.

- Lily, podczas kolacji prawie nic nie jadłaś.

- Nie.

- On już nie żyje. Musisz się z tym pogodzić.

Lily zerknęła na białą królową. Ciekawa była, ile ona może ważyć. Czy mogłaby rzucić nią w tego złego starca? Popatrzyła na milczącego sługę, który w swoim białym stroju wyglądał jak szpitalny pielęgniarz.

- Dlaczego nie ma pan elektrycznego wózka? - spytała. - To śmieszne, że muszą pana wszędzie wozić.

- On już nie żyje, Lily - powtórzył Olaf ostrzejszym tonem.

- Nie wierzę w to. To pan będzie wkrótce martwy.

- Kiedy tak się odzywasz, zupełnie nie przypominasz mi swojej babki, chociaż bardzo jesteś do niej podobna. Źle się zachowujesz, Lily. Chętnie podam ci głowy Frasierów na tacy. Co jeszcze mógłbym ci zaoferować?

- Może pan pozwolić odjechać mnie i Simonowi, razem z obrazami mojej babci.



- Nie bądź dziecinna. Posłuchaj, powiem ci coś ważnego. Od żony wymagam posłuszeństwa. Jestem pewny, że Ian pomoże mi nauczyć cię dobrych manier i poskromi twój język.

- Już jest nowe millennium, Olafie, a ty jesteś bardzo starym człowiekiem. Nie zgodziłabym się tu zostać, nawet gdybyś miał umrzeć za tydzień.

Uderzył pięścią w poręcz, tak silnie, że wózek się zachwiał.

- Do diabła, zrobisz to, co ci każe. Czy musisz zobaczyć ciało swojego kochanka, żeby o nim zapomnieć? Kiedy przyjmiesz do wiadomości, że on nie żyje?

- On nie jest moim kochankiem. On tylko chce być moim konsultantem.

- Nie jest twoim kochankiem? Nie wierzę ci. Mówiłaś o nim jak o bohaterze, który pokona wszystkie przeszkody. Ale to nonsens.

- To nie jest nonsens, kiedy chodzi o Simona. Kurczowo czepiała się myśli, że Simon żyje. Obiecał jej to, a on nie złamałby danego słowa. Kiedy go zabierali przed dwiema godzinami, ujął jej twarz w dłonie i wyszeptał kilka słów.

- Lily, nic mi się nie stanie. Możesz na to liczyć. Oblizła suche wargi i chociaż z obawy o niego serce podchodziło jej do gardła, zdołała odpowiedzieć:

- Myślałam o tych nowych kryteriach, Simonie. Przyznaję, że rzeczywiście potrzebuję pomocy, kiedy w grę wchodzi mężczyźni.

Załatwione. - Simon poklepał ją po policzku. Patrzyła, jak trzech mężczyźni wyprowadzają go z tego pięknego, ogromnego domu, jak zamykają się za nimi drzwi.

- Zapomnisz o nim. - Olaf Jorgenson wyrwał ją z zamyślenia. - Ja się tym zajmę.

Rzuciła okiem na dwóch ochroniarzy, którzy przyszli za nimi z jadalni i stali w milczeniu.

- Czy pan wie, że mam wspaniałego brata? Nazywa się Dillon Savich. Nie maluje, jak

nasza babcia, tylko pięknie rzeźbi w drewnie.

- To niewiele warte chłopięce hobby. A ty rysujesz komiksy. Jak się ten komiks nazywa? *Remus*?

- Tak, rysuję polityczne komiksy. Mój bohater, Nieustraszony Remus, jest podobnie jak pan całkowicie pozbawiony moralności, ale do tej pory jeszcze nikogo nie chciał zamordować. - Lily uśmiechnęła się do służącego, który stał nieruchomo przy wózku. - Moje komiksy są naprawdę dobre. To ciekawe, że talent babci ujawnił się, chociaż w innej dziedzinie, u jej wnuków.

- Sarah Elliott była niepowtarzalna. Nikt nie będzie taki jak ona.

- Zgadzasz się z tym. Ja też jestem niepowtarzalna. Nie będzie drugiej takiej rysowniczkii komiksów jak ja. A kim ty jesteś, Olafie? Czy jesteś tylko obsesyjnym starcem, który od zbyt dawna ma za wiele pieniędzy i za wiele władzy? Powiedz, czy w swoim bezużytecznym życiu choć raz zrobiłeś coś godnego uwagi?

Oczy nabiegły mu krwią; oddychał chrapliwie. Na twarzy służącego malowało się przerażenie. Ochroniarze zeszywnieli, przenosząc wzrok z Lily na swojego szefa.

Lily nie mogła się już powstrzymać. Dławił ją bezsilny gniew, nienawidziła tego potwora. Niech mu pęknie jakaś żyłka, niech dostanie wylewu. To będzie zapłata za to, co zrobił jej i Simonowi.

- Wiem, kim jesteś. Należysz do tych niedoszłych artystów, jesteś jednym z tych żalonych osobników, którzy nie mieli talentu i zawsze byli w cieniu. Moja babcia dobrze wiedziała, jak mało jesteś wart. Powiedziała, co o tobie myśli, prawda?

- Zamknij się!

Zaczął kląć po szwedzku, więc niczego nie rozumiała. Ochroniarze byli coraz bardziej spięci, zdumieni tym, co wykrzykiwał ich szef, tryskając dokoła śliną.

Lily nie miała zamiaru się zamknąć. Wrzeszczała jeszcze głośniejsze niż on.

- Co ci powiedziała tego ostatniego dnia, kiedy wyjeżdżała z moim dziadkiem?

Błagałaś ją wtedy na kolanach, żeby wyszła za ciebie, a nie za Emersona, prawda? Czy się z ciebie śmiała? Powiedziała ci, że wolałaby od ciebie nawet Picassa, który nienawidził kobiet?

Że jesteś pozbawiony talentu i że twoja postawa budzi zażenowanie? Co ci wtedy powiedziała, Olafie?

- Powiedziała, że jestem rozpieszczonym małym chłopcem, który ma zbyt wiele pieniędzy i zawsze będzie małym egoistą! - Był ledwie przytomny, rzeził i rzucał się w swoim inwalidzkim wózku.

Lily nie spuszczała z niego wzroku.

- Dokładnie pamiętasz słowa mojej babci? To było sześćdziesiąt pięć lat temu! Mój Boże, już wtedy byłeś żaloszny, a teraz jesteś tylko przerażający.

- Zamknij się! - Olaf zaciskał kurczowo zdeformowane dłonie na poręczach wózka. Służący pochylał się nad nim, mówiąc coś po szwedzku. Olaf nie zwracał na niego uwagi.

- Wiesz, że Sarah tak bardzo kochała Emersona, że stale go malowała? - spytała z uśmiechem Lily. - Wiesz, że moja matka w swojej prywatnej kolekcji ma sześć jego portretów?

- Wiedziałem - krzyknął - oczywiście, że wiedziałem! Myślisz, że ja chciałbym mieć portret tego filistra? Ten przeklęty głupiec nie potrafił jej zrozumieć i docenić! Ja wiedziałem, ile jest warta, ale mnie opuściła. Błagałem ją na kolanach, ale mnie porzuciła!

Zaczął się gwałtownie trząść. Lily pomyślała, że za chwilę wypadnie z wózka.

Nagle Olaf krzyknął coś po szwedzku do służącego, który zaczął popychać wózek w poprzek kolosalnej szachownicy.

- Hej, Olaf, uciekasz przede mną? Nie podoba ci się to, co mówię? Założę się, że dopiero drągi raz w życiu usłyszałeś prawdę o sobie. Już nie chcesz się ze mną ożenić? Słyszała jego wrzask, ale nie mogła niczego zrozumieć. Wyrzucał z siebie niewyraźne słowa, niektóre po angielsku, inne po szwedzku. To były okrzyki szaleńca, który się w ogóle nie kontrolował. Co on teraz robi? Dlaczego tak nagle się oddalił? Stała przy pięknie rzeźbionej figurze króla i wstrząsały ją dreszcze. Jak on zareaguje na jej pogardliwe słowa? Nie myślała o ucieczce. Ochroniarze i tak natychmiast by ją zatrzymali.

Dokąd zawiózł go służący? Co Olaf mu powiedział? Dwaj ochroniarze rozmawiali po cichu, niczego nie mogła usłyszeć. Patrzyli na nią ze zdumieniem. Nie zdołałaby przebiec nawet trzech kroków, i już by ją mieli.

Lily nie odczuwała już złości, była tylko przerażona. Jednak nie żałowała swojego wybuchu. Zachowała się tak samo jak babcia - obie powiedziały prawdę temu mężczyźnie i to napawało ją dumą.

Zaczęła gorączkowo myśleć, co ma zrobić. Olaf, tym razem sam prowadząc wózek, jechał już po marmurowej posadzce i zbliżał się do niej. Ochroniarze zrobili krok do przodu, ale pokręcił przecząco głową. Wbijał wzrok w Lily, chociaż na pewno miał przed oczami inną kobietę, tę, której nie potrafił zapomnieć. Lily była pewna, że ostatnia rozmowa z jej babcią zniszczyła jego wyobrażenie o sobie, o tym, kim chciał być. Teraz, po upływie tylu lat, uświadomił sobie, kim się stał.

Lily dostrzegła szaleństwo w jego oczach; to było coś więcej niż nienawiść skierowana przeciwko niej i jej babci, na której już nie mógł się zemścić. Przez kilkadziesiąt lat ogarnięty był obsesją na temat Sarah Elliott, jedynej wspaniałej kobiety, jaka kiedykolwiek istniała, a Lily zmusiła go do przypomnienia sobie, jak było naprawdę, do powtórnego przeżycia wydarzeń tamtego dnia, kiedy Sarah powiedziała mu, że odchodzi z innym

mężczyzną.

Zatrzymał wózek jakieś dwa metry przed nią. Lily była ciekawa, czy on widzi zarys jej sylwetki. A może jest dla niego tylko niewyraźnym cieniem?

- Postanowiłem nie żenić się z tobą - powiedział stanowczym tonem. - Zrozumiałem, że nie zasługujesz na moje względy. W niczym nie przypominasz Sarah. - Podniósł dłoń, w której trzymał derringera, i wycelował w Lily.

- Frasierowie nie żyją. Nie przedstawiali już dla mnie żadnej wartości. Ty też już nie jesteś dla mnie niczego warta.

Dwaj ochroniarze jednocześnie dali krok do przodu.

On kazał zabić Frasierów?

Lily rzuciła się na wózek - przewrócił się na bok i Olaf wypadł na posadzkę.

Bez chwili wahania pobiegła w stronę ściany i przycupnęła się na podłodze za marmurowym królem szachowym. Usłyszała dwa strzały. Figura zachwiała się, posypały się odłamki.

Słyszała, jak Olaf krzyczy do ochroniarzy, słyszała ich ciężkie kroki, gdy biegli przez hol. Nie poruszyła się. Odłamki marmuru poraniły ją; z ręki spływała jej krew, plamiąc białą suknię.

Słyszała przekleństwa Olafa, który nadal leżał na podłodze. Chciał wiedzieć, czy udało mu się ją zabić. Ochroniarze odkrzyknęli coś po szwedzku. Nie podeszli do niej, wiedząc, że ich szef sam chce ją zastrzelić.

Przezołgała się za królową, a teraz powinna była przesunąć się za gońcem w stronę frontowych drzwi. Zerknęła na Olafa; jeden z ochroniarzy podawał mu własny pistolet. Ochroniarz podniósł Jorgensona z posadzki, posadził go na wózku i obrócił w jej stronę. Olaf mierzył wprost w nią.

Schowwała się za skoczka. Od frontowych drzwi dzieliły ją niecałe trzy metry.

- Niezła zabawa! - krzyknął Olaf i wystrzelił. Goniec prze wrócił się. Lily poczuła ostry ból w nodze, ale na szczęście nadal mogła się poruszać. Przywarła do podłogi za figurą skoczka.

Olaf roześmiał się i znowu wystrzelił. Wielki kwadrat marmurowej podłogi rozsypał się na kawałki, niecały metr od niej. Rozległy się jeszcze dwa strzały i biały król upadł na królową.

Lily klęczała teraz za wieżą, blisko drzwi.

Kiedy następna kula gwizdnęła jej koło ucha, padła na podłogę. Jeden z ochroniarzy ruszył biegiem do niej. Dlaczego?

Po chwili usłyszała jeszcze kilka strzałów. To nie strzelał Olaf ani ochroniarze, strzelano przez drzwi frontowe. Słyszała krzyki i głośny łomot, aż wreszcie, pod silnym naporem, drzwi ustąpiły.

Olaf i ochroniarze otworzyli teraz ogień w tamtym kierunku.

Lily zerwała się na nogi, złapała kawał odłupanego marmuru, i rzuciła nim w Olafa.

To uderzenie dosięgło go. Wywrócił się do tyłu. Ochroniarze zaczęli uciekać przed gradem policyjnych kul.

Panował piekielny hałas. Simon stał za policjantami. O mój Boże! Żyje!

Nagle zapanowała cisza. Lily podbiegła do Simona i rzuciła mu się w objęcia.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała. - Tutaj też nie było zbyt przyjemnie.

Olaf krzyczał jeszcze przez chwilę i nagle zamilkł.

- To już koniec, Lily - szepnął Simon. - Naprawdę koniec tego wszystkiego. Trochę krwawisz, za chwilę przyjedzie karetka.

- Nic mi nie jest. Poraniły mnie kawałki marmuru. Jesteś cały mokry, Simonie.

Dlaczego jesteś taki mokry?

- To tylko chwila nieuwagi. Później ci powiem.

- Nie, mów teraz. Jak zdołałeś im uciec? Co się tam działo?

- Zanurkowałem w kanale, żeby zniknąć im z oczu, ale ta sztuka się nie udała.

Pojawili się jednak policjanci, którzy wyciągnęli mnie z wody i zajęli się Alpem, Nikkim i Ianem.

Nikt nie został zabity. Zabrano ich do aresztu. To wszystko zasługa twojego brata,

Lily. Zadzwoił do swojego przyjaciela w Sztokholmie, który ma dwóch braci w policji w Goteborgu. Policjanci obserwowali dom, zobaczyli, jak Ian i jego chłopcy pakują mnie do samochodu, zadzwonili po posiłki i ruszyli za nami.

- Chciałabym poznać tych braci - powiedziała z uśmiechem Lily.

**28**

*Waszyngton*

W ten sobotni wieczór w Waszyngtonie było jeszcze zimniej niż w Sztokholmie. Na Wschodnim Wybrzeżu prószył śnieg. Lily leżała w łóżku. Nie odczuwała już bólu po zranieniach odłamkami marmuru. Szwedzki lekarz stwierdził jedynie powierzchowne obrażenia, nie przywiązując wagi do tego, że pozostaną po nich blizny.

Jeszcze w samolocie poskarżyła się na to Simonowi. Powiedział wtedy, że lubi pokiereszowane kobiety. Blizny są oznaką charakteru.

- Nie - zaprzeczyła Lily, kiedy Simon okładał ją poduszkami na przestronnym siedzeniu w kabinie pierwszej klasy - blizny są oznaką że kobieta nie potrafi dokonać właściwego wyboru.

Roześmiał się i pocałował ją. Ujął jej twarz w dłonie i zaczął mówić cichym głosem, ponieważ film już się skończył i pasażerowie szykowali się do snu:

- Lily, myślę, że stworzymy świetną drużynę - ty, ja i Nieustraszony Remus.

Leżała teraz w gościnnym pokoju w domu brata. Nie mogła zasnąć. Miała nadzieję, że przynajmniej Simonowi to się udało.

Simon zaś przewracał się ostrożnie na krótkim łóżku polowym, bojąc się, że spadnie na podłogę. Udało mu się otulić nogi kołdrą, chociaż wystawały poza łóżko. Leżał w pokoju Seana, który nadal przebywał u babci. Kiedy Savich i Dane Carver wnosili do pokoju Seana wąską połówkę, Simon oświadczył, że mógłby spać nawet w łóżeczku Seana, gdyby się tam zmieścił.

Wiedział, że Lily śpi w gościnnym pokoju. Wolałby być tam razem z nią, w jednym łóżku. Cierpliwości, znają się dopiero dwa tygodnie... Oczami wyobraźni widział ją w swoim domu, w jednej z dużych sypialni na górze przerobionej na studio. Ten pokój miał odpowiednie światło do pracy.

Lily nie rozumiała, dlaczego nie może zasnąć. W Waszyngtonie było już po północy.

Wprawdzie w Szwecji był ranek, ale oni byli tam bardzo krótko, nie zdążyli się przyzwycząić do zmiany czasu. Była potwornie wyczerpana, a jednak nie mogła zasnąć.

Bardzo martwiła się o brata. Tammy Tuttle nie przyszła, żeby go dopaść, i zarówno on, jak i Sherlock byli całkowicie wytrąceni z równowagi.

W piątek po południu, zgodnie z udostępnionym mediom scenariuszem, Dillon pojechał taksówką na lotnisko i zgłosił się do odprawy na lot do Teksasu. W ostatniej chwili wymknął się z samolotu i wrócił do domu.

Teraz, chociaż według oficjalnych doniesień Dillona nie było już w Waszyngtonie, jego dom nadal otoczony był przez agentów, włączono też bardzo precyzyjne urządzenie alarmowe. Jimmy Maitland nie chciał ryzykować.

Lily miała nadzieję, że Dillonowi i Sherlock udało się jednak zasnąć. Wiedziała, że



tęsknią za Seanem. Przewracając się na bok, odczuła ostry ból. Nie chciała już brać środków znieczulających, więc przymknęła oczy, przywołując na myśl obraz ogromnej sali zawieszonych obrazami babci. Te obrazy wrócą do muzeów na całym świecie. Olaf Jorgenson i jego syn nie będą mogli się temu przeciwstawić, Ian spędzi wiele lat w więzieniu. Olaf był w szpitalu, jego stan był bardzo ciężki.

Lily zaczęła wreszcie zapadać w sen, z którego wyrwała ją nagle świadomość, że coś się dzieje. Usłyszała jakiś ruch. To nie był Dillon, Simon ani Sherlock. To było coś innego.

Mógł to być równie dobrze wytwór jej wyobraźni albo podmuch wiatru, uderzenie gałęzi o okno sypialni. Ten dźwięk pochodził z zewnątrz. Może Simon się obudził?

Lily nasłuchiwała, wpatrując się w ciemność.

Już zaczęła się odprężyć, kiedy usłyszała ciche skrzypnięcie dębowej podłogi.

Wyteżyła słuch, serce biło jej coraz mocniej. Dywany tłumiły dźwięki, trudno byłoby usłyszeć czyjeś kroki.

Usiadła na łóżku, wyteżając wzrok. Zbyt późno dojrzała szybko poruszający się cień.

Poczuła potworny ból, jakby nóż wwierał się jej w czaszkę.

Opadła na poduszkę. Zanim straciła przytomność, dojrzała jeszcze nachylającą się nad nią kobietę. Wiedziała, kto to jest.

- Cześć, siostrzyczko - usłyszała cichy szept.

Sherlock też nie mogła zasnąć. Dillon spał obok niej, ale jego kojąca obecność tej nocy nie miała na nią wpływu. Nie mogła przestać myśleć o Tammy. Wstała z łóżka, włożyła stary wełniany szlafrok i skarpetki; postanowiła jeszcze raz obejść cały dom, chociaż już to przedtem trzykrotnie robiła, a Dillon prawdopodobnie też co najmniej trzykrotnie penetrował wszystkie pokoje. Dobrze, że Sean spał u babci, tam był bezpieczny. Kiedy będzie mogła przywieźć go z powrotem do domu? To się musi skończyć, Tammy musi zrobić jakiś ruch.

Pomyślała o czterech agentach, którzy pilnują domu. Śnieg ciągle padał, na pewno jest im zimno. Dobrze, że o dziesiątej zaniósła im ogromny termos gorącej kawy.

Przeszła przez hol i zatrzymała się nagle. W domu było zbyt cicho. Zorientowała się po chwili, że wyłączony jest alarm, brakowało tego ledwie słyszalnego szmeru. Serce podeszło jej do gardła.

Spojrzała w dół; przez przeszklony łuk nad frontowymi drzwiami widać było mdłe światło świtu. Śnieg nadal padał. Zaczęła schodzić ze schodów. Na drugim stopniu jakaś ręka uderzyła ją silnie w plecy. Sherlock krzyknęła i potoczyła się po dębowych stopniach w dół. Ktoś przeszedł obok niej, kiedy leżała na grubym perskim dywanie. Uderzyła się w głowę i była na wpół przytomna.

Wydawało się jej, że słyszy jęk. Uniosła głowę. Fala zimnego powietrza owiała jej twarz. Drzwi frontowe były szeroko otwarte.

Ktoś zrzucił ją ze schodów i wyszedł frontowymi drzwiami.

Podniosła się z trudem. Paraliżował ją strach. Tammy Tuttle - to musiała być ona. W jaki sposób zmyliła agentów i dostała się do domu? I dlaczego jej nie zauważyła?

- Dillon! - krzyknęła z całych sił. - Och, Boże, Dillon, chodź szybko!

Savich i Simon, obaj w samych bokserkach, wbiegli do holu. Zapaliło się światło.

- Sherlock!

Savich chwycił ją w ramiona i przytulił do siebie.

- Nic mi nie jest, Dillon. Była tu Tammy, zepchnęła mnie ze schodów. Alarm był wyłączony. Schodziłam na dół, bo usłyszałam jakiś jęk. Gdzie jest Lily! Na litość boską zobaczcie, co z Lily!

Simon wbiegł na górę, przeskakując po trzy. stopnie naraz.

- Nie ma jej! - krzyknął.

Savich chwycił komórkę, żeby się skontaktować z pilnującymi domu agentami.

Kiedy Dillon rozmawiał z agentami, Simon zapalił wszystkie światła. Drzwi frontowe nadal były otwarte. Tammy uprowadziła Lily, a Sherlock niczego nie zauważyła.

Savich, nadal w samych bokserkach, stał na ganku, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Śnieg ciągle padał.

Co mówią ludzie z Jednostki Nauk Behawioralnych? - spytał Jimmy Maitland, popijając tak gorącą kawę, że parzyła go w język.

- Jane Britts powiedziała mi, że o ile się orientuje, jeszcze nikt nie zetknął się z taką osobą jak Tammy Tuttle. Ona ma jakiś specyficzny dar projekcji - zmusza ludzi, aby widzieli to, co ona chce. Jej projekcje mają zadziwiająco szeroki zasięg. Wszyscy, którzy byli w holu lotniska, mieli przed oczami nie ją tylko mężczyznę. Jane mówi, że nie powinniśmy przywiązywać do tego zbyt wielkiej wagi, bo nie pobijemy jej, skupiając się wyłącznie na takich obrazach. Musimy po prostu szukać dwudziestotrzyletniej kobiety, która ma jedną rękę. Gdybyśmy tylko mogli przewidzieć, co ona teraz robi.

- Ale tego nie wiemy. Nie wiemy też, gdzie zabrała Lily.

- Przecież ona miała dopaść mnie, a nie Lily - oderwać mi pieprzoną głowę.

Jimmy Maitland był zaskoczony. Savich nigdy nie kłął. Dopiero po chwili zorientował się, że on cytuje Tammy. Simon przemierzał pokój szybkimi krokami.

- Posłuchaj, Savich. Ona porwała Lily, bo uznała, że w ten sposób bardziej się zemści na tobie, niż gdyby cię zabiła. Skupmy się, do diabła. Dokąd Tammy Tuttle mogła zawieźć Lily?

Była już czwarta rano, śnieg nadal padał. Savich siedział z zamkniętymi oczami w swoim ulubionym fotelu. Sherlock stała tuż przy nim.

- Chyba wiem, dokąd ona mogła zabrać Lily - powiedziała cicho Sherlock.

Lily była jeszcze bardziej przemarznięta, niż wtedy, kiedy leżała na gołym materacu w Goteborgu. Miała związane ręce i nogi, ale taśma trzymała się dość luźno. Leżała na boku w jakimś ciemnym pomieszczeniu, które dziwnie pachniało. Ten zapach nie był nieprzyjemny, lecz nie potrafiła go rozpoznać.

Trochę bolał ją bok, odczuwała też jakiś tępy ból z jednej strony głowy. Nie było to nic poważnego, od tego się nie umiera. Tylko ta szalona kobieta mogła ją zabić.

Chyba usłyszała śmiech, ale nie była tego pewna.

Zacisnęła zęby i zaczęła wykręcać nadgarstki, żeby uwolnić ręce. Nie wiedziała, gdzie jest. Dokąd ta Tammy Tuttle ją przywiozła? Tammy była szalona, ale jednocześnie bardzo sprytna - już dwukrotnie wymknęła się z obławy. Porwała Lily tylko dlatego, że jest siostrą Savicha. Uznała, że w ten sposób naprawdę się na nim zemści.

Lily wiedziała, że Tammy ma rację. Dillon prawdopodobnie odchodził teraz od zmysłów i miał potworne poczucie winy. Nie przestawała wykręcać nadgarstków - taśma była coraz luźniejsza.

Co to za zapach? Zorientowała się, że jest w stodole. To był zapach starego siana, oleju lnianego, z lekką domieszką wysuszonego nawozu.

Przypomniała sobie, jak Dillon mówił Simonowi, że po raz pierwszy zetknął się z rodzeństwem Tuttle w starej stodole, której właścicielką była Marilyn Warluski, niedaleko Plum River, w Maryland.

Może to ta sama stodoła. To dobrze, bo Dillon i Sherlock znają to miejsce. Czy jest tu także ta Marilyn Warluski? I czy jeszcze żyje?

Szare światło przedzierało się przez brudne szybki. Świtało.

Lily nadal usiłowała uwolnić ręce. Starła się nie myśleć o tym, że przez tyle lat

używała takiej samej taśmy i że ona nigdy nie pękała ani się nie ześlizgiwała. Na szczęście czuła, że taśma jest coraz luźniejsza.

Chciało jej się siusiu. Była głodna. Bolało ją ramię i bok. Powierzchowne obrażenia, jak powiedział ten szwedzki lekarz. Niech sam odczuje, jak to boli, idiota.

Robiło się coraz widniej. Zobaczyła, że jest w składziku z uprzężą. Przy ścianie stało jakieś stare biurko i dwa krzesła. Zniszczony kantar wisiał na gwoździu wbitym w ścianę. Było bardzo zimno. Kiedy zobaczyła szczeliny w drewnianych ścianach, zrobiło się jej jeszcze zimniej. Miała na sobie tylko nocną koszulę, wprawdzie flanelową, do kostek i z długimi rękawami, ale nie miało to wielkiego znaczenia.

Na dźwięk uchylanych drzwi odwróciła głowę. Stała w nich kobieta.

- Cześć, siostrzyczko. Jak ci idzie z taśmą? Poluzowałaś ją trochę?

- Nie jestem twoją siostrzyczką - powiedziała Lily.

- Nie, jesteś siostrzyczką Dillona Savicha i to mi zupełnie wystarczy.

Tammy weszła do składziku, usiadła na kulawym krześle i założyła nogę na nogę.

Nosiła wysokie, czarne buty na obcasie.

- Jest mi bardzo zimno - powiedziała Lily.

- Domyślam się.

- Chce mi się siusiu.

- OK, nie obchodzi mnie, czy jest ci zimno, ale siku to inna sprawa. Uwolnię ci nogi, żebyś mogła pójść do stodoły i znaleźć tam sobie jakiś ką. Ręce zwiążę ci teraz z przodu.

Walka nie była możliwa, ręce Lily ponownie zostały skrępowane taśmą, ale przynajmniej miała je teraz przed sobą.

Lily weszła do stodoły, a Tammy za nią. Wszędzie walały się bele nadgniętego siana, części zardzewiałych maszyn, a przez obluzowane deski do środka wpadał śnieg. Lily

natychmiast zwróciła uwagę na obwiedziony czarną linią krąg. W kręgu było bardzo czysto.

To tam Tammy i jej brat wepchnęli tych dwóch nieszczęsnych chłopców, a Tammy wzywała ghule, żeby ich pożarły.

- Idź do tamtego rogu i pospiesz się! - zawołała Tammy. - Mam jeszcze dużo rzeczy do zrobienia. Ruszaj się, siostrzyczko.

Lily załatwiła swoją potrzebę i zerknęła na Tammy.

- Jak dostałaś się do domu? Oni mają jeden z najlepszych alarmów.

Tammy uśmiechnęła się tylko. Przez szpary w ścianach do stodoły wpadało już jasne światło poranka i Lily widziała ją teraz wyraźnie. Tammy miała na sobie czarne buty, czarne dżinsy i czarny golf, z którego zwisał jeden pusty rękaw. Nie była ani brzydka, ani ładna.

Była zwyczajna, wyglądała wręcz przeciętnie. Nie wzbudzała również strachu, mimo że jej czarne, wysmarowane żelam włosy tworzyły kolczastą fryzurę. Miała bardzo ciemne oczy, kontrastujące z bladą twarzą, co podkreślała warstwa pudru. Usta pomalowała śliwkową szminką. Była chuda, miała wąską dłoń, której paznokcie pokryte były tym samym śliwkowym kolorem co usta. Mimo wątłej postury robiła wrażenie osoby bardzo silnej.

- Mogę się założyć, że twój brat i ta jego rudowłosa żona ogryzali nerwowo paznokcie, czekając na mnie. Ale nie przy szłam wtedy, kiedy oni tego chcieli. Niezły był ten facet z FBI, który ogłaszał komunikat w telewizji - nie uwierzyłam w ani jedno słowo.

Wiedziałam, że to pułapka. Nie spieszyłam się, najpierw rozpracowałam alarm. To nie było trudne. Siadaj, siostrzyczko.

Lily usiadła na beli siana, która była tak wysuszona, że zaskrzypiała pod jej ciężarem.

Tammy przemierzała stodołę szybkim krokiem, spoglądając czasami na zwisający luźno rękaw swetra. Lily zauważyła grymas paniki na jej twarzy, który jednak zaraz ustąpił miejsca nienawiści.

- Co chcesz ze mną zrobić?

- Postawię cię w kręgu i zawołam ghule - roześmiała się Tammy. - Przyjdą i rozerwą cię na sztuki, a twój brat dostanie ciało, którego wolałby nie oglądać. - Tammy zamilkła i nasłuchiwała, przechyliwszy głowę na bok. - Są już blisko. Słyszę je.

Lily też zaczęła nasłuchiwać. Słyszała tylko cichy szelest gałęzi drzew, pewnie wywołany spadającym śniegiem albo powiewem wiatru. To był jedyny dźwięk.

- Ja niczego nie słyszę.

- Usłyszysz - powiedziała Tammy. - Teraz podejźmy do czarnego kręgu.

Usiądziesz w środku. Nie będę ci nawet wiązać rąk do tyłu. Ruszaj się, siostrzyczko. -

Tammy wyciągnęła pistolet i wycelowała w Lily.

- Nigdzie nie pójde - odrzekła Lily. - Czy ghule zainteresują się mną, jeśli będę poza kręgiem? A jeśli mnie zastrzelisz? Czy wtedy będą mnie chcieli?

- To się okaże. - Tammy uniosła pistolet na wysokość twarzy Lily.

Simon żałował, że nie ma swojego motocykla, na którym łatwo by mu było wyprzedzić ten poranny sznur samochodów. Dlaczego Savich nie ma syreny? Dlaczego tyle samochodów jest teraz na drodze?

Kiedy wreszcie ruch się przerzedził, Savich nacisnął gaz.

Simon wyjrzał przez tylne okno i zobaczył, że sześć samochodów FBI jedzie za nimi.

- Niedługo tam będziemy - stwierdził, czując; że serce podchodzi mu do gardła. -

Opowiedz mi o Tammy.

Myślisz, że jesteś bardzo sprytna, prawda? - Tammy z wolna opuściła pistolet.

Lily potrząsnęła głową. Nagłe uczucie ulgi spowodowało, że ugięły się pod nią kolana. Była przygotowana na to, że kula przeszyje jej serce i wszystko się skończy. Jednak wciąż żyła, była w stodole z Tammy, która nadal trzymała w ręku broń.

Ten krąg... wydaje się, że Tammy chce, żeby ona znalazła się w kręgu, żywa i cała.

- Gdzie jest Marilyn? To twoja kuzynka, prawda?

- Chcesz porozmawiać o mojej słodkiej kuzyneczce? Nie jestem z niej zadowolona.

Opowiedziała o mnie twojemu bratu. A on użył jej jako przynęty. Był bezwzględny i

bezlitosny. Lubię te cechy u faceta. Czekala na mnie w hali lotniska razem z tą głupią

agentką, która miała ją ochraniać. Bronić przede mną! To było zabawne. Poderżnęłam

agentce gardło, a wszyscy widzieli, że zrobił to jakiś szalony chłopak, chociaż to byłam ja.

Milczała przez chwilę.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nienawidzę twojego brata? To oczywiste. On zabił

mojego brata, postrzelił mnie w rękę, która zwisała mi z ramienia na kilku ścięgnach,

myślałam, że zaraz umrę. Potem odcięli mi rękę w szpitalu i trzymali mnie pod strażą, bo twój

brat powiedział, że jestem niebezpieczna. Omal tam nie umarłam, a wszystko przez twojego

przeklętego brata.

Tammy zaczęła nagle głośno krzyczeć:

- Cholerna ręka! Popatrz na mnie! Ten pieprzony rękaw jest pusty! Omal nie umarłam

na zakażenie, niech go piekło pochłonie! Odstrzelił mi rękę! Kiedy poszczuję na ciebie ghule,

kiedy już rozerwą cię na strzępy, wtedy go dopadnę. Dopadnę go!

Lily nie odzywała się. Skupić się na tym, żeby uwolnić rękę. Bała się podnieść je do

ust i przegryźć taśmę, bo Tammy mogła to zauważyć. Dobrze, że miała je teraz związane z

przodu, bo to dawało większe możliwości.

Tammy odetchnęła głęboko i z wolna opuściła pistolet.

- Jesteś do niego podobna, tak samo uparta.

- Jak przedarłaś się przez agentów, którzy pilnowali domu?

- To banda głupców. Wszystko było bardzo proste. Nie pozwoliłam, żeby mnie



zobaczyli.

Lily nie mogła uwierzyć w coś tak nieprawdopodobnego.

- Mnie też nie widzieli? - spytała.

- Nie. Wyciągnęłam cię w tej nocnej koszuli. Mogłam wziąć ci płaszcz, ale pomyślałam, że kiedy się dowiesz, co cię czeka, to będziesz wolą odczuwać chłód. To lepiej, niż być martwą i już niczego nie czuć. A teraz, siostrzyczko, wchodź do kręgu.

- Nie!

Tammy podniosła pistolet i wystrzeliła. Lily rzuciła się w prawo, za belę siana. Choć kula przeleciała jej koło głowy, Lily przesunęła się dalej, cały czas usiłując uwolnić nadgarstki. Druga kula trafiła w belę siana.

Tammy podeszła do Lily i wycelowwała w jej pierś. Lily ani drgnęła, bała się nawet oddychać.

- Masz problem, Tammy - odezwała się wreszcie. - Ghule nie przyjdą, jeśli nie będę siedziała w kręgu, prawda? Musisz to zaakceptować: nie pójdę tam.

Tammy nie odezwała się. Obróciła się na pięcie i odeszła. Jej kroki odbijały się głośnym echem. Weszła do składziku i nie zamknęła za sobą drzwi.

Zapanowała cisza, tylko deski starej stodoły skrzypiały pod naporem wiatru. Po chwili

Lily usłyszała krzyk Tammy i dwa głośne strzały.

Ze składziku wybiegł Dillon z SIG Sauerem w wyciągniętej ręce.

- Lily! Och mój Boże, nic ci nie jest, kochanie? Już wszystko w porządku. Byłem w składziku i zastrzeliłem ją. Nie jesteś ranna?

Lily odczuła tak ogromną ulgę, że nie była w stanie wymówić ani słowa.

- Dillon! - zawołała po chwili. - Wiedziałam, że przyjdiesz. Zagadywałam ją, żeby zyskać na czasie. Och Boże, ona jest przerażająca. Potem zaczęła do mnie strzelać i

myślałam, że to już koniec...

Nagle zmartwiała. Już nie widziała brata. Zobaczyła Tammy, która nie trzymała SIG Sauera Dillona, tylko swój pistolet.

- Dobrze się czujesz, koteńku?

To już nie był głos Dillona. To był głos Tammy.

Lily uświadomiła sobie, że widziała Dillona tylko dlatego, że tak bardzo tego pragnęła. Tammy również chciała, by Lily zobaczyła brata.

Och Boże, Boże...

- Nic mi nie jest. Tak się cieszę, że tu jesteś, Dillon - powiedziała Lily.

Tammy uklękła przy niej i przewróciła ją na bok.

- Zaraz uwolnię cię od tej taśmy, kochanie. Przetnę ją nożem. W porządku. Już sama ją poluzowałam.

Tammy Tuttle przyciągnęła Lily do siebie, przytuliła ją. Całowała jej włosy i gładziła swoją jedyną ręką po plecach.

Pistolet leżał teraz na klepisku. Wystarczyło, żeby Lily wyciągnęła po niego rękę.

- Trzymaj mnie w ramionach, Dillon. Byłam potwornie przerażona. Jak to dobrze, że już jesteś.

Lily zaszlochała, a Tammy przytuliła ją jeszcze mocniej i znowu pocałowała we włosy. Lily wolno przesuwiała rękę w kierunku pistoletu - wreszcie dotknęła palcami kolby.

Tammy złapała pistolet i włożyła go za pasek spodni.

- Pomogę ci się podnieść, koteńku - powiedziała. - Sherlock i inni agenci są na dworze. Chodźmy tam.

Trzymając Lily blisko siebie, Tammy skierowała się do wrót stodoły. No, nie całkiem do wrót - wyraźnie skręcała w lewo, w kierunku czarnego kręgu.

W momencie kiedy Tammy pchnęła ją gwałtownym ruchem do kręgu, Lily wyrwała jej pistolet zza paska.

Tammy zachowała się tak, jakby nie zauważyła wycelowanej w siebie broni.

Odwróciła się do wrót stodoły i podniosła głowę do góry.

- Ghule! - krzyknęła. - Tym razem nie mam dla was małych dzieci, tylko miękkie kobiece ciało. Weźcie swoje noże i siekiery i porąbcie ją na sztuki! Ghule, przybywajcie!

Wrota stodoły otworzyły się. Lily zobaczyła wirujące płatki śniegu i jeszcze coś. To były słupy powietrza. Takie same, jakie widział Dillon.

Wydawało się jej, że ze śniegu formują się dwa wyraźne stożki, które zbliżają się do niej wirowym ruchem. Zamarła. Patrzyła na białe stożki, które były już bardzo blisko czarnego kręgu. Musi się ocknąć z przerażenia. Musi coś zrobić.

Wreszcie Tammy zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Wyciągnęła z cholewy buta nóż i podbiegła do Lily.

Lily podniosła pistolet.

- To już koniec, Tammy! - krzyknęła. - Widzę cię. Kiedy się zbliżyłaś, zobaczyłam ciebie, a nie mojego brata. Ghule już ci nie pomogą.

Tammy, z nożem w wyciągniętej ręce, skoczyła do niej. Lily nacisnęła spust.

Tammy nie zatrzymała się, a Lily raz po raz naciskała spust, dopóki Tammy nie upadła na ziemię... Leżała na plecach; jej klatka piersiowa była podziurawiona kulami.

Ale Lily wciąż jej nie dowierzała. Podbiegła do niej i wystrzeliła ostatni nabój z magazynka. Ciało Tammy zadygotało od uderzenia kuli. Lily znowu nacisnęła spust, lecz rozległ się tylko suchy trzask. Magazynek był pusty. Tammy wciąż żyła i jej oczy wpatrywały się w Lily, która nie mogła przestać.

Naciskała spust jak automat, suche trzaski rozlegały się w cichej teraz stodole.

Tammy leżała na plecach, skąpana we krwi. Lily sześć razy w nią trafiła. Teraz uklękła i dotknęła palcami jej szyi. Nie wyczuła pulsu.

Jednak oczy Tammy nadal utkwione były w Lily. Poruszyła wargami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Z wolna jej oczy straciły swój dziki, szalony wyraz. Już nie żyła. Było bardzo cicho.

Lily uniosła głowę. W stodole nie było już ghuli. Odeszły razem z Tammy.

**30**

*Waszyngton*

Technicy z FBI sprawdzili każdy centymetr stodoły przy Plum River w Maryland. Znaleźli papierki od batoników - prawie czterdzieści sztuk, ale żadnych ubrań czy pościeli, co wskazywałoby na dłuższy pobyt Tammy Tuttle. Nie było też siadu po Marilyn Warluski.

- Ona me żyje - stwierdził Salich.

Sherlock wyczuła w jego głosie głębokie poczucie winy . Z ta rodzina niczego nie można być pewnym - powiedziała do męża, kładąc mu rękę na ramieniu.

*Dwa dni później*

Było późne popołudnie . Śnieg wreszcie przestał padać. Waszyngton pokryty był białą pierzynką, słońce świeciło jasno.

Media ogłosiły już, że Tammy Tuttle poniosła śmierć w stodole w Maryland. Lily weszła do salonu trzymając w ręku filiżankę Gorącej herbaty. Zadzwoiłam do agenta Clarka Hoyta w Eureka Nie mogłam się powstrzymać. Był bardzo miły, nie miał nic przeciwko temu, że telefonuję w niedzielę do jego domu. Powiedział mi, że całe Hemlock Bay huczy od plotek na temat śmierci Elcotta i Charlotte. Burmistrz, rada miejska i lokalny Kościół Metodystów planują wielkie uroczystości pogrzebowe. Nikt nie chce zagłębiać się w przyczynę ich

śmierci, ale Clark mówił, że krążące pogłoski mogą być jeszcze bardziej fantastyczne niż fakty. Po chwili dodała:

- Dzwoniłam też do Tennysona. Śmierć rodziców bardzo go zasmuciła. Trudno mu zaakceptować to, co zrobili: że wykorzystywali go, a właściwie nas oboje, żeby osiągnąć swój cel. Już wiedział, że jego rodzice karmili mnie lekami, które powodują depresję, i że to oni spowodowali awarię hamulców w moim samochodzie, kiedy jechałam do Ferndale.

- Skąd wiedzieli, że się tam wybierasz? - spytała Sherlock.

- Tennyson przyznał, że kiedy telefonował do nich z Chicago, wspomniał przypadkiem, że prosił mnie, żebym pojechała do Ferndale, i powiedział im kiedy. Żal mi go, a z drugiej strony nie rozumiem, jak mógł być tak ślepy i nie widzieć, kim oni naprawdę są.

- Ciebie też wyprowadzili w pole - zauważył Savich. - Nikt nie chce widzieć zła, uwierzyć, że ono istnieje.

- Postanowiłam polecieć do Kalifornii na uroczystości pogrzebowe - oświadczyła Lily.

- Robię to dla Tennysona. To wszystko jest dla niego potworne. Uważam, że powinnam dać mu wsparcie, aby wszyscy zobaczyli, że wierzę w jego niewinność. On wie, że do niego nie wrócę, i pogodził się z tym. - Lily westchnęła. - Powiedział mi, że wyprowadzi się z Hemlock Bay i jego noga już nigdy tam nie postanie.

- Trudno mu się dziwić - powiedział Simon.

- Powiedz Tennysonowi - wtrącił Savich - że jest nam bardzo przykro z powodu tego, co się stało.

- Oczywiście. - Lily uniosła głowę i uśmiechnęła się. - Sean już się zbudził.

Savich i Sherlock już wchodzili na schody, trzymając się za ręce.

Simon uśmiechnął się do Lily. Popijał kawę, którą zrobił mu Savich. Była doskonała.

- Jako twój nowy konsultant, chcę ci powiedzieć, że dobrze robisz, jadąc na

uroczystości pogrzebowe rodziców Tennysona. To będzie kłamra zamykająca tamten okres twojego życia. Potem będziesz już tylko patrzeć w przyszłość. Dużo o tym myślałem.

- I do jakich wniosków pan doszedł, panie Russo?

- Uważam, że pierwszym krokiem powinna być przeprowadzka do Nowego Jorku.

Klientka musi być blisko swojego konsultanta. Lily odstawiła filiżankę, podeszła do Simona i usiadła mu na kolanach. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Simon westchnął, odstawił kawę i przytulił Lily do siebie.

- To jest bardzo miłe, Lily.

- To prawda. Nawet więcej niż miłe. - Pocałowała go w szyję i usadowiła się wygodnie na jego kolanach. - Chciałam ci tylko powiedzieć, Simonie, że jesteś niezrównany. Jeszcze nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę skończyło i że odzyskam nawet swoje obrazy. Jednak chcę jeszcze trochę pobyc w Waszyngtonie. Chcę do końca uporać się z przeszłością i nie ciągnąć za sobą tego bagażu. Chcę rysować *Nieustraszonego Remusa*. Chcę przez jakiś czas sama decydować o swoim losie, Simonie.

Myślała, że on zacznie wysuwać kontrargumenty, ale tego nie zrobił.

- Spędziliśmy sporo czasu razem - powiedział, gładząc ją po plecach - jednak ten czas daleki był od normalności. Jako twój konsultant będę nalegał na częste wizyty, ciągły kontakt, żebyśmy mogli razem pomyśleć o przyszłości.

- Załatwione - powiedziała, znowu go całując. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła policzek do jego szyi.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Dostałem e - maila od zaprzyjaźnionego handlarza dziełami sztuki, który mi doniósł, że Abe Turkle jest w Las Vegas, gdzie gra i wygrywa.

Pisał, że Abe wygląda jak prawdziwy drwal - nikt by nie zgadł, że jest jednym z czołowych fałszerzy obrazów na świecie.

- Ciekawe, co się stało z tym obrazkiem, który od niego dostałam.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Dillon i Sherlock byli jeszcze na górze i bawili się z Seanem. Lily zeszła z kolan

Simona, żeby otworzyć. Stał tam doręczyciel wieczornej poczty z kopertą w ręce.

- Dla Dillona Savicha - powiedział.

Lily podpisała dowód doręczenia i wróciła do salonu. Zawołała Dillona. Po chwili

zszedł na dół, niosąc Seana na ramieniu; obok szła Sherlock.

- Co tam masz? - Dillon poklepał siostrę po policzku.

- Wieczorna poczta dla ciebie.

Savich oddał Seana Sherlock i wziął kopertę. Patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Z Beach Hotel na Arabie - powiedział.

Otworzył kopertę i wyciągnął z niej kolorowe fotografie.

- Co to jest, Dillon? - spytała Sherlock.

- To są zdjęcia, które Tammy zrobiła na Karaibach, żeby pokazać je Marilyn.

Za ostatnią fotografią była kartka papieru, a na niej kilka zdań. Przeczytał je głośno:

*Panie Savich, Tammy miała rację. Plaże są tu bardzo piękne. Cieszę się, że ona Pana nie zabiła.*

*Marilyn Warluski*

# Document Outline

- [Zatoka cykuty](#)

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)